

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ

---

# Narkotyki

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ

# Narkotyki

NIKOTYNA, ALKOHOL, KOKAINA, PEYOTL, MORFINA, ETER + APPENDIX

*Wszelako dziwne jest w tej książce materii pomieszanie.*

*Henryk Sienkiewicz, Ogniem i mieczem*

## PRZEDMOWA

Ponieważ tzw. „swobodną twórczością”, to jest tzw. „śpiewaniem ptaszka na gałęzi”, nic dla społeczeństwa i narodu zrobić nie mogłem, postanowiłem po szeregu eksperymentów zwierzyć się ogółowi z moich poglądów na narkotyki, zaczynając od najpospolitszego: tytoniu, a kończąc na najdziwniejszym chyba peyotlu (któremu rezerwuję osobne miejsce), w celu choćby małego wspomżenia dobrych potęg w walce z tymi najstraszniejszymi, poza wojną, nędzą i chorobami, wrogami ludzkości. Może i ta praca (z powodu pewnego tonu w sformułowaniu gorzkich prawd) potraktowana będzie humorystycznie lub negatywnie, jak moja estetyka, filozofia, sztuki sceniczne, *istotne* portrety, dawne kompozycje itp. „swobodne wytwory”. Oświadczam oficjalnie, że piszę poważnie i chcę wreszcie coś bezpośrednio pożytecznego zdziałać, a na idiotów i ludzi nieuczciwych sposobu nie ma, jak to w ciągu mojej dość smutnej działalności miałem sposobność przekonać się. Mówi się komus: „Jesteś głupi, ucz się, a może zmądrzejesz” — nic nie pomoże, bo człowiek głupi jest przy tym zarozumiały i to, nawet jeśliby mógł przy usilnej pracy zmądrzeć, uniemożliwia mu wybrnięcie z błędnego koła. Mówi się draniowi: „To nieładnie być taką świnią, zastanów się, popraw się” — próżne gadanie: nie rozumiemy tego, że większość draniów jest świadomie właśnie draniowata — oni wiedzą o tym i nie chcą być innymi, o ile tylko mogą draniowatość tę dobrze zamaskować. „Czy można patykowi przebaczyć, że jest patykiem” — jak mówił Tadeusz Szymberski — i miał rację.

Byłem niegdyś „*fighting manem*” — człowiekiem bojowym *par excellence*<sup>1</sup>, miałem idee i chciałem o nie walczyć — nie było gdzie i z kim. Bynajmniej nie sprzeniewierzyłem się moim ideom (Czysta Forma w malarstwie i w teatrze i reforma artystycznej krytyki), tylko przyszedłem do przekonania, że są one w każdym razie obecnie nie na czasie i że może w ogóle minął dla nich ich czas. To, co twierdziłem jeszcze przed wojną, a co wyraziłem w czwartej części książki pod tytułem *Nowe formy w malarstwie...*, że sztuka ginie, dzieje się na naszych oczach, a wobec tego, czy będzie i jaka będzie krytyka artystyczna w moim znaczeniu, to jest krytyka formalna, jest bez znaczenia. Co innego, jeśli rzecz idzie o literaturę nie jako sztukę — tam jest jeszcze coś do powiedzenia i może jeszcze się na ten temat wypowiem. Obecnie jestem stosunkowo pogodnym osobnikiem lat średnich, który o żadnych „wyczynach” w wielkim stylu już nie marzy i pragnie jako tako skończyć to życie, którego dotąd przynajmniej mimo klęsk i niepowodzeń nie żałuje. Co będzie, to będzie. Zaznaczyć tylko muszę, że „dziełko” niniejsze będzie nosić charakter wysoce osobisty, a więc niejako pośmiertny. Nie jest to megalomania i chęć zaprzątania swoją (nikomu dotąd niepotrzebną) osobą ludzi zajętych czym innym i daleko przyjemniejszym. Ale pisząc o moich osobistych przeżyciach nie mogę pominąć siebie.

<sup>1</sup>*par excellence* (fr.) — w całym tego słowa znaczeniu.

W każdym razie będzie tu podana w sposób przystępny część prawdy o mnie, i to prawdy bezpośrednio dla ogółu pożytecznej.

Czymże to jest wobec potwornych plotek, które o mnie krążą. Pod tym względem w naszym już i tak wyjątkowo plotkarskim i lubiącym bawić się oszczerstwami społeczeństwie spotkało mnie zdaje się wyróżnienie. Mimo całego braku megalomanii, co z całą uczciwością podkreślam, mam wrażenie, że doborem bzdur i kłamstw, jakie o mnie mówiono i mówi się jeszcze, nie każdy przeciętnie znany u nas człowiek poszczycić się może. Nie będę wchodził tu w przyczyny tego zjawiska, ale sądzę, że pewną rolę w wytworzeniu się niechęci ogólnej w stosunku do mnie była trudność w zgłębieniu mnie intelektualnym przez ludzi bez odpowiednich do tego kwalifikacji, a po wtóre, pewne niezwracanie przeze mnie uwagi na opinię publiczną, przez co czyni, które u innego przeszłyby bez zwrócenia uwagi (np. wypicie aż trzech wódek w jakimś barze), w stosunku do mnie wywoływały niekorzystne dla mnie oburzenie, nieproporcjonalne do ich wartości. Mniejsza z tym.

A więc: zaczynam pisać dziś (6 II 1930 r.) tę książkę „na P”, to znaczy w stanie palenia. Jutro, jak zwykle, przestaję palić — sądzę, że tym razem definitywnie lub na czas bardzo długi — i rozdział o nikotynie będę pisał w miarę odzwyczajania się od papierosów, przy czym jest możliwość, że w środku pisania zapalę znowu i „nie omieszkać zwierzyć się” z tego faktu przed ewentualnymi czytelnikami. Tyle razy się to zdarzało! Z nikotyną walczę już od lat dwudziestu ośmiu i mimo częstych okresów abstynencji (do kilku tygodni) nie zdołałem całkowicie jej przezwyciężyć. Możliwe to jest i teraz, mimo zaczęcia niniejszej pracy. Zbliża się jednak chwila, w której staje się to koniecznym, o ile nie miałbym zrezygnować z wszelkich wyższych aspiracji w stosunku do siebie samego. Detale na ten temat później. Sądzę, że ten sposób opisu — to znaczy na NP<sup>1</sup>, czyli w stanie niepalenia — będzie dość istotny, ponieważ jednocześnie pragnąc ulubionego i zniechęconego narkotyku ostatniego chyba rzędu (niech będą przekleści Indianie i ci, którzy to świństwo do nas zawlekli) będę mógł lepiej zanalizować ogarniające nałogowego palacza pokusy i podać sposoby ich odparcia na tle wspomnień ohydnych samopoczucia (często maskowanego przed sobą i innymi) przy powrocie do tej świńskiej, bezpłodnej i oglupiającej trucizny. Właśnie niedawno nie paliłem aż cztery dni (a wiadomo, że drugi dzień jest najgorszy i że trzeciego zaczyna się poprawa) — aż tu „trach” i zapaliłem na nowo (zanalizuję mechanizm tego faktu później), i wszystko „fajt” od początku. Oczywiście nie wytrzymałem i zapaliłem dziś rano — po prostu, żeby zobaczyć, jak to tam wszystko wygląda na P. Nie żebym „znowu już tak” nie mógł wytrzymać, tylko tak sobie: jeszcze raz na świat spojrzeć z „tamtej strony” (upadku, oglupienia, zniechęcenia itp.), a potem już definitywnie „szlus”. Tak to się tłumaczy przed sobą te historie. Nie — najgorszą rzeczą jest słabość — *durchhalten*<sup>3</sup> — a jak, o tym napiszę w rozdziałku o nikotynie. Zapaliłem — to jest ponury fakt (kogoż to właściwie obchodzi, ale chodzi o innych, o tysiące, miliony zaczadziałych, otepiałych, sflaczałych) — i piszę dalej tę przedmowę w stanie zupełnego otumanienia. Właśnie chciałem się zająć dalej moją filozoficzną pracą (bardzo ryzykowna historia i jeszcze nie wiem, co z tego wyjdzie), ale okazało się to absolutnie niemożliwym: tępota, brak tego, co dr mat. Stefan Glass nazywa „*igriwost' uma*”<sup>4</sup>, brak możliwości jakiego takiego skupienia się. To tylko zwierzenia tymczasowe — wszystko będzie opisane z „detajłami” później. Zacząłem pisać tę przedmowę z rozpacz, nie mogąc się zabrać z powodu zatrucia nikotyną do czegoś lepszego, chcąc raz zacząć to „dzielko”, usprawiedliwić przed sobą własną swą egzystencję. Czy wszelka „twórczość” nie pochodzi z tych źródeł?

Wracając do opinii publicznej: byłem i jestem dotąd nałogowym palaczem, walczącym bohatercko od lat dwudziestu ośmiu ze straszliwym przyzwyczajaniem. Do pewnego stopnia można by mnie uważać w *pewnych okresach* za nałogowego pijaka, o ile za takiego (różne są standardy — wzorce) uznaje się kogoś, kto urzyna się przeciętnie raz na tydzień, potem nie pije miesiąc albo i więcej i który miał jedną jedyłą w życiu pięciodniówkę

<sup>1</sup>NP<sup>r</sup> — numery przy NP oznaczają ilość dni. Tego samego markowania używam na moich rysunkach. [przypis autorski]

<sup>3</sup>*durchhalten* (niem.) — kontynuować, przetrzymać.

<sup>4</sup>*igriwost' uma* (ros.) — zęczność umysłu.

(*à propos*<sup>5</sup> pewnej premiery scenicznej — okoliczność wysoce łagodząca) i do dziesięciu trydniówek, i który nigdy nie chlał wody rano przy goleniu się. Ale nigdy nie byłem kokainistą — temu przeczę stanowczo, mimo że dla wielu perwersyjnych kretynów i to moje oświadczenie może być właśnie dowodem za, a nie przeciw<sup>6</sup>. O ile można by mnie nazwać okresowym pijakiem, „*Wochensäufer*”<sup>7</sup>, na przestrzeni lat dziesięciu, to proponowałbym nazwę „*Quartalkokainist*” w okresie trzyletnim, i to z dużą przesadą. Dwa razy w życiu zażyłem kokainę na trzeźwo i zaraz postarałem się zapać to świństwo. Inne wypadki zażywania tego drogu<sup>8</sup> (z czym się nigdy nie kryłem, podpisując rysunki robione w tym stanie odpowiednią marką Co) połączone były zawsze z wielkimi „popojkami *a la maniere russe*”<sup>9</sup>. Nigdy nie byłem morfinistą, mając idiosynkrazję<sup>10</sup> do tego specyfiku (raz w życiu miałem zastrzyk minimalny i o mało nie umarłem), ani eteromanem, z powodu jakiegoś braku zaufania do eteru, mimo że używałem go parę razy w życiu: z wódką i przez wdychanie. Rysunki, owszem, były dość ciekawe i przy wdychaniu uczucie ginięcia świata i ciała, a potem „metafizycznego osamotnienia w przestrzennej pustyni” zabawne, ale jakoś to nie przemawiało nigdy do mego przekonania. Innego zdania jest dr Dezydery Prokopowicz, który opracuje w „*dzielku*” tym część eteryczną. Bohdan Filipowski, okultysta i długoletni nałogowy morfinista, zajmie się swoim ulubionym drogiem, na myśl o którym mnie robi się wprost zimno — tak straszne rzeczy przeżyłem wtedy w Petersburgu, gdy przez cztery godziny walczyłem ze śmiercią wśród torsji i zamierania serca. Tak więc stanowczo odpieram zarzuty co do nałogowego używania wyżej wymienionych preparatów, przyznając się do sporadycznego używania peyotlu i meskaliny, pierwszego wyrobu dr Rouhier, a drugiej fabrykacji wspaniałej firmy „Merck”. Również przeczę przy sposobności, jakobym oddawał się homoseksualizmowi, do którego czuję wstręt najwyższy; jakobym żył płciowo z moją syjamską kotką, Schyzią (Schizofrenią, Isottą, Sabiną, którą bardzo lubię, ale nic poza tym) i jakoby nierasowe zresztą kocięta z niej zrodzone były do mnie podobne; jakobym miał stragan portretowy na Wystawie Poznańskiej i robił dziesięćminutowe portrety po dwa złote (czego te dranie nie wymyślą!); jakobym był blagierem i rzucił się na kobiety przy lada sposobności; jakobym uwodził mężów żonom, chodził we fraku (nigdy nie miałem fraka w ogóle) na Giewont, pisał sztuki sceniczne dla kawału, nabierał i kpił, i nie umiał rysować. Wszystko to są plotki wymyślone przez jakieś obskurne baby, kretynów i idiotów, a nade wszystko przez draniów chcących mi zaszkodzić. Odpieram te znane mi plotki i z góry te wszystkie, które krążyć jeszcze o mnie w Zakopanem i jego przysiółkach będą. Szlus.

Plotka

Jeszcze jedna rzecz: może kto pomyśleć, że piszę tę książkę dla autoreklamy. Otóż nie: będą tam opowiedziane rzeczy, które mi wcale zaszczytu nie przynoszą, a głównym celem jej jest uchronienie dalszych pokoleń od dwóch najpotworniejszych „ogłupjansów” (*stupefians*): tytoniu i alkoholu, tym groźniejszych, że są one dozwolone, a szkodliwość ich niedostatecznie jest uświadomiona. Narkotykami „białymi” wyższej marki zajmuje się dziś elita ludzkości i te nie są tak groźne — to arystokracja narkotyzmu. Niebezpieczniejsze są te szare, codzienne, demokratyczne jady, na które każdy bezkarnie pozwolić sobie może.

Alkohol

Metoda moja jest czysto psychologiczna. Chodzi mi o zwrócenie uwagi na skutki psychiczne trucizn tych, skutki, które każdy, nawet początkujący, może już w miniaturze na sobie oglądać na długo przed tym, nim całkowicie opanowanym zostanie. Ja nie będę przed wami rozbijał jaj (kurzych) i wrzucał ich do spirytusu, abyście zobaczyli, jak ścina się białko pod wpływem „przezroczyściego płynu” (jak to czynił za mojej pamięci śp. książę

<sup>5</sup>*à propos* (fr.) — w odniesieniu do poruszanego tematu.

<sup>6</sup>Po napisaniu brulionu tej pracy przeczytałem niedawno w artykule, którego autora nazwiska nie pamiętam, a który dotyczy książek pani Żurakowskiej — właściwie całego artykułu nie znam, tylko ktoś mi pokazał takie zdanie (cytuję z pamięci) — coś takiego: „ani kokainowe wyczerpanie Witkiewicza, którego wybuchy nie są wybuchami”. Przede wszystkim, gdzie jest definicja ścisła pojęcia „wybuch” (w literaturze)? A po wtóre, albo autor tego artykułu jest człowiekiem głupim i nie wie, co robi, albo złym i programowo popełnia świństwo, pisząc takie brednie na podstawie plotek. W każdym razie dziwię się redakcji „Wiadomości Literackich”, że tego rodzaju nieetyczny czyn literacki na swoich tzw. „łamacz” toleruje. Oskarżenie kogoś w krytyce literackiej o nałogowy kokainizm (bo jakże zrozumieć to „wyczerpanie”) jest zwykłym oszczerstwem. Można oskarżać o wyczerpanie, ale to trzeba udowodnić, i to nie na podstawie głupich plotek. [przypis autorski]

<sup>7</sup>*Wochensäufer* (niem.) — pijak upijający się raz na tydzień.

<sup>8</sup>*drog* — narkotyki.

<sup>9</sup>*a la maniere russe* (fr.) — na sposób rosyjski.

<sup>10</sup>*idiosynkrazja* — nadwrażliwość, wstręt.

Giedroyc); ja nie będę wam pokazywał w przezroczach zakopconych płuc i rozdętego serca palacza ani zdegenerowanej wątroby pijaka, ani zanikłego, wielkości piąstki, żołądka kokainisty — „ja nie będę grał Wam pieśni smutnej, o cienie, lecz dam tryumf dumny i okrutny...” itd. — chcę wam ukazać drobne *psychiczne* przesunięcia, które w ostatecznym swym rozwinięciu dają obraz zupełnie innych niż w punkcie wyjścia osobowości, duchowo zdeformowanych, pozbawionych wszelkiego tzw. „*geistu*” (słowo polskie „*duch*” nie oddaje tego, co niemieckie „*Geist*” i francuskie „*esprit*” — dryg, mknik, wyskrzyk, wyblask, wypęd itp.), siły twórczej i tego rozpędu w Nieznane, do którego konieczna jest odwaga i beztraska, zabijana systematycznie przez ohydny nałóg. Mnie od skutków nikotyny, od której dotąd całkowicie wyzwolić się nie zdołałem, uratowało to, że często i czasem na dość długo (kilka tygodni) przestawałem palić, tak że w sumie pół lub jedną trzecią roku faktycznie nie paliłem. Oczywiście działanie takiej abstynencji *par intermittence*<sup>11</sup> nie mogłoby być tak korzystne, jak wielkie ciągle okresy wyrzeczenia się zupełnie — ale i to zrobiło swoje. Ale ci, którzy palą stale, a w 90% wypadków muszą palić coraz więcej, popełniają systematycznie duchowe samobójstwo ratami, nieznacznie, sami o tym nie wiedząc, pozbawiając każde przeżycie barw i blasków i niszcząc rzecz najcenniejszą: intelekt, za cenę przyjemności prawie żadnej. Bo czyż nałogowy palacz ma w ogóle jakąś przyjemność? Tylko negatywną — zaspokojenia wstrętnej, nienaturalnej potrzeby. Tak jest podobno ze wszystkimi narkotykami, o ile dany osobnik doprowadzi się do dostatecznie wysokiego stopnia znalagowania.

Jeśli młodzieńcowi lat szesnastu pokażecie wątrobę czterdziestoletniego alkoholika, przerośniętą i zdegenerowaną, czy przestanie pić na ten widok? Nie — zbyt daleko jest od niego ten rok czterdziesty, jest czymś niewyobrażalnym — wiem to z własnego doświadczenia. A zresztą każdy mówi: „E — czy będę żył o kilka lat dłużej, czy krócej, to jest *«ganc Wurst und Pomade*”<sup>12</sup> — chodzi o tę chwilę”. A potem, jak przyjdzie te ostatnie pięć lat, których się taki nieszczęśnik lekkomyślnie wyrzekł i które mogą być mu faktycznie odjęte, to na głowie staje taki, aby przedłużyć to życie, którego w większej ilości wypadków *przedłużyć już nie warto*. Żyje potem taki osobnik po własnej istotnej śmierci, zidiociał, wewnątrz, a często i zewnątrz zniedołężniały, niezdolny do wydatnej pracy, zhipokondryczały, liczący tylko puls co pięć minut i zażywający tony lekarstw, które nie mogą już odrodzić zdegenerowanych komórek. Trzeba ukazać skutki psychiczne, doraźne, których powolnego postępu („*schleichender Vorgang*”<sup>13</sup> — brrr! Strach!) nie każdy może zaobserwować, a szczególnie ten, co używa danego narkotyku stale, bez przerwy. Wyższe narkotyki dają wściekle reakcje — zaraz widać ich szkodliwość. Chęć pokonania tych reakcji, a nie pragnienie pozytywnych skutków, jest często przyczyną popadania ludzi w nałogi. Nikotyna nie daje wyraźnej „*glätwy*” („*katzenjammer*”<sup>14</sup>) i tym jest niebezpieczniejsza dla ogółu. Oddać się kokainie czy morfinie bez zastrzeżeń mogą w większości wypadków tylko osobniki już jakby predysponowane, degeneraci i tak niewiele co wari. Tytoń zacadza, a alkohol spala powoli najlepsze czasem mózgi. Są tacy, co mówią: „Palę i piję, nic mi to nie szkodzi i doskonale się czuję” — oczywiście do czasu. Całe masy drobnych niedomagań psychofizycznych kumulują się powoli, ażeby potem nagle wybuchnąć w postaci zupełnie określonej choroby psychicznej lub fizycznej. Ale pomyśl, o osobniku nieszczęsny, jak byś świetnie się czuł, gdybyś tego wcale nie robił, jeśli organizm twój jest tak silny, że nawet przy ciągłym zatruciu go może jeszcze znosić funkcjonować. Jakim byś był, gdybyś tego nie robił, nie dowiesz się nigdy. Szkody tej niepodobna<sup>15</sup> zmierzyć i ocenić. Wiedzą o niej trochę ci, którzy przestawali i zaczęli znowu. Cóż bym ja dał, żeby odwrócić te dwadzieścia osiem lat palenia, i to z przerwami. A dziś, kiedy mi to szkodzi stokroć więcej niż wtedy, gdy miałem lat osiemnaście, jest mi również stokroć trudniej rzucić wstrętny nałóg niż za „dobrych dawnych czasów”. A cóż musi się dziać z prawdziwymi alkoholikami i kokainistami, do jakich zaliczyć się mimo wielkiej chęci moich „wrogów” nie mogę — strach pomyśleć.

<sup>11</sup>*par intermittence* (fr.) — z przerwami.

<sup>12</sup>*ganc Wurst und Pomade* (niem. idiom) — wszystko jedno.

<sup>13</sup>*schleichender Vorgang* (niem.) — stopniowy proces.

<sup>14</sup>*katzenjammer* (niem.) — kociokwik, kac.

<sup>15</sup>*niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe.

Tak więc zaczynamy: jutro jest bal, urzynam się i pojutrze koniec. Daleko łatwiej rozprawić się z nikotyną na tle lekkiej choćby „głatewki” poalkoholowej.

7 II 1930 r.

## NIKOTYNA

Lew Tołstoj twierdził podobno, że człowiek, który nigdy w życiu swym nie zapalił papierosa, niezdolnym jest do prawdziwej zbrodni w całym znaczeniu tego słowa. Jest w tym zdaniu pewna przesada, bo wiadomo, że np. w Europie choćby na długo przed wprowadzeniem tytoniu ludzie mordowali się niezgorzej. Może dopomagał im w tym alkohol — czort wie — nie moim zadaniem jest pisać historię narkotyków całego świata. Zresztą — kiedyś nie było też alkoholu. Ale jak tylko daleko sięgnie się w dzieje ludzkie, zawsze na jakieś „omany narkotyczne” natrafic można. Widocznie świadomość doprowadzona do pewnego stopnia wyostrenia nie mogła wprost znieść samej siebie wśród metafizycznej potworności Istnienia i czymś musiała łagodzić swą własną perspikację<sup>16</sup>. Używanie narkotyków połączone było zawsze z obrzędami religijnymi, było częścią integralną różnych kultów. Religia i sztuka też były przecież kiedyś zasłonami dla zbyt okropnie jaskrawo świecącej z czarnej otchłani Bytu — Wiecznej Tajemnicy. Dopiero począwszy od Grecji, rozpoczyna się pojęciowa walka z tajemnicą tą — walka, która musi skończyć się oczywiście porażką. My żyjemy w epoce wielkiego przełomu. Wszystkie elementy przeszłości i zarysowującej się przyszłości są w naszych czasach pomięszane. Sądzę, że na tle społecznego uspokojenia, do którego zdążamy, zbliża się czas końca wszelkich omanów, a z nim także końca narkotyków. Dzisiejsza klęska narkomanii jest też ich ostatnim przedśmiertnym podrygiem na tle pomięszania przeszłości z przyszłością. Ponieważ lepiej jest, aby coś już zgangrenowanego i niezdolnego do życia odpadło prędzej, chcemy niniejszą pracą przyczynić się do przyspieszenia tego procesu. Co dawniej było na miejscu, było czymś twórczym, dziś może być balastem utrudniającym skonsolidowanie się przyszłego ustroju ludzkości. Do takich balastów należą bezwzględnie narkotyki, jakkolwiek rola niektórych (nikotyny i alkoholu) może wydawać się pewnym ludziom na razie społecznie dodatnią. Mimo przesady w rzekomym zdaniu Tołstoja twierdząc, że nikotyna może być doskonałym wstępem do alkoholizmu i wszelakiego omamienia: stwarza pewien typ mechanizmu psychicznego, który daje się zastosować do każdego innego nałogu. Człowiek palący znajduje się już na tej równi pochyłej, z której w dowolną przepaść stoczyć się można, a na dnie której może znaleźć się i zbrodnia, nawet jeśli ku niej żadnych specjalnych predyspozycji nie było. Mało jest notorycznych pijaków, którzy by wcale nie palili. Pod pojęciem prawdziwego pijaka rozumiem kogoś stale, codziennie używającego alkoholu do końca życia — chyba jeśli strach przed śmiercią zabronił mu już w ostatniej nieomal chwili przed wypełnieniem się jego życia używać zabójczego płynu i przedłużyć trochę w ten sposób zmarnowane w ogóle istnienie. Ludzie niepalący, a pijący, co — jak twierdzą — rzadko stosunkowo się zdarza, przestają zwykle pić w porę, przed czasem krytycznym, mniej więcej koło czterdziestki, i są w stanie dokończyć swych istnień we względnej jasności ducha. Przykładem klasycznym tego typu jest Boy<sup>17</sup>, który przecie pisał kiedyś hymny pochwalne na cześć alkoholu, a teraz używa go czasem jedynie, w wypadkach prawdziwie wielkich uroczystości. Dlatego wydajność jego nie słabnie i ma on możliwość rozwoju wewnętrznego aż do końca dni swoich.

Jest w człowieku pewne nienasycenie istnieniem samym, nienasycenie pierwotne, związane z samym faktem koniecznym istnienia osobowości, które nazywam metafizycznym i które, o ile nie jest zabite nasycaniem nadmiernym uczuć życiowych, pracą, wykonywaniem władzy, twórczością itp., może być złagodzone jedynie przy pomocy narkotyków. „Für elende Müsiggänger ist Opium geschaffen<sup>18</sup>” — powiedział, zdaje się, ktoś. Pozorna sprzeczność tego twierdzenia z następnymi wywodami na temat „społeczności” nikotyny i alkoholu (o ile są używane w dawkach nie przekraczających pewnych granic) w związku ze społeczną mechanizacją będzie wyjaśniona w dalszym ciągu. W ogóle dzie-

<sup>16</sup>perspikacja (z łac.) — jasnowidztwo, tu raczej: widzenie siebie.

<sup>17</sup>Boy — pseudonim Tadeusza Żeleńskiego (1874–1941), krytyka literackiego i teatralnego, tłumacza literatury francuskiej, lekarza z wykształcenia.

<sup>18</sup>Für elende Müsiggänger ist Opium geschaffen (niem.) — opium jest dla nędznych próżniaków.

lę narkotyki na *pozornie* społeczne i wyraźnie aspołeczne, ale — o tym później. Otóż nienasycenie to, o którym była mowa wyżej, a które polega na ograniczoności każdego indywiduum w Czasie i Przestrzeni i na przeciwstawieniu się jego nieskończonej całości Istnienia, nazwałem kiedyś uczuciem metafizycznym. Występuje ono w najrozmaitszych związkach z innymi stanami i uczuciami, tworząc różne z nimi amalgamaty, a opiera się o bezpośrednio daną jedność naszego „ja”, naszej osobowości. Może ono być jako takie motorem różnych działań i może nadawać specjalne zabarwienie czynnościom nie będącym bezpośrednim jego przejawem. Jeśli dominuje w psychice danego osobnika, jest przyczyną twórczości religijnej, artystycznej lub filozoficznej. Jeśli jest tylko podrzędną składową całości danej psychiki, może być powodem umetafizycznienia dowolnych sfer działalności odpowiedniego osobnika lub nadawać tylko specyficzny charakter jego przeżyciom wewnętrznym. Nie będę tu przedstawiał w skrócie moich poglądów filozoficznych i estetycznych. Ostatnie znalazły wyraz w książkach już wydanych: *Nowe formy w malarstwie...*, *Szkice estetyczne* i *Teatr*. Co do filozofii, możliwym jest, że ogłoszę niedługo podstawową moją pracę na ten temat. Na razie wystarczą może powyższe wyjaśnienia. Otóż twierdzą, że wszystkie narkotyki, tak „społeczne”, w początkowych i w małych dawkach, jak i aspołeczne, nasycają do pewnego stopnia wynikające z samej istoty Bytu, to znaczy z ograniczenia indywiduum: nienasycenie i tęsknotę, aby w dalszym działaniu przytępić te stany i zabić je zupełnie. Podobnie działają: religia, sztuka i filozofia, które początkowo wyrażają na różne sposoby metafizyczny niepokój, łagodząc zasłonami konstrukcji uporządkowania uczuć metafizycznych w kultach, konstrukcji form artystycznych w sztuce i systemów pojęciowych w filozofii — okropność samotności indywiduum w bezsensownym Byciu, następnie, w związku z uspokojeniem społecznym, degenerują się i zanikają w miarę zanikania samego niepokoju, do czego same się przyczyniły.

Jeszcze jedna kwestia: kiedyś Debora Vogel<sup>19</sup> (dr phil. i poetka) zarzuciła mi pewną niekonsekwencję w teorii historycznego rozwoju form artystycznych w związku z moim twierdzeniem, że uczucie metafizyczne, zdefiniowane wyżej, przeszedłszy punkt maksymalnego natężenia swego wyrazu, zaczyna w miarę uspołeczniania się ludzkości maleć, dążąc w granicy do zera. Dowodziłem tego na fakcie upadku religii, kończenia się filozofii w impasie negatywnego określenia granic poznania i rozwydrzenia nieprzekraczalnego form artystycznych. „Jakże więc zanik wyrażanej treści, jednej i tej samej w całej sztuce, tj. poczucia jedności w wielości samej w sobie — spytała perfidnie Debora — pogodzić z rozwydrzeniem wyrazu?” Może niedosłownie cytuję jej słowa, ale coś takiego „rzekła”. Na to „odparłem” surowo: „Zarzut niesłuszny. Dawniej ludzie byli duchowo zdrowsi, mniej przyspieszeni życiem. Siły duchowe indywidualne mniej więcej pozostają te same, a siła społeczna rośnie, wymagając coraz większego natężenia ze strony indywiduów, które nie mogą nadążyć stawianym wymaganiom standardu pracy i wysiłku. Społeczeństwo pod każdym względem przerastać zaczyna zdolności swoich elementów co do wypełniania funkcji, które na nie nakłada. W sferze sztuki dawniejsi twórcy długo żarli materiał, długo go trawili i długo dojrzewały owoce ich pracy. Artyści przeżywali siebie w tworzeniu form spokojnych i wielkich, a widzowie i słuchacze mogli doznawać mocnych artystycznych wrażeń od dzieł prostych i pozbawionych elementu perwersji, tj. tworzenia harmonijnych całości z części jako takich w swym działaniu nieprzyjemnych. Dziś, kiedy uczucia podstawowe dla sztuki, związane z poczuciem jedności i jedyności «ja», zanikają, artysta, aby wydrzeć z siebie moment metafizycznego zachwyty, musi spiętrzyć daleko potężniejsze środki wyrazu. Widz czy słuchacz, mając mały zapas uczuć tych do przeżycia, może doznać wyładowania jedynie pod wpływem dzieł szarpiących mu z dostateczną siłą nerwy. Do tego dołącza się kwestia zblazowania i wyczerpania środków artystycznych w miarę rozwoju sztuki, która już teraz dokładnie się przed nami zarysowuje. Dawniej artysta wyprzedzał mało swoją epokę, różnił się od poprzedników swych minimalnymi, w porównaniu do dzisiejszych czasów, zmianami koncepcji ogólnej i związanymi z nią deformacjami rzeczywistości i uczuć. W miarę uspołeczniania się ludzkości, postępującej mechanizacji i przyspieszenia życia artysta właśnie, jako ten osobnik wyspecjalizowany w kierunku bezpośredniego wyrażenia metafizycznych uczuć, musiał pod względem form ich wyrazu oddalić się od społecznego podłoża, którego pod względem

Artysta

<sup>19</sup>Debora Vogel (1902–1942) — awangardowa poetka i filozof, pisząca po polsku i w jidisz.

życiowym jest funkcją. Stąd pochodzi wzrastający rozdźwięk między *prawdziwymi* artystami a organizującym się w formy przyszłości społeczeństwem i ograniczenie istotnego zrozumienia ich dzieł do małych grup zanikających osobników danego typu. Sądzę, że jasnym jest, dlaczego zanik uczuć metafizycznych prowadzi do rozwydrzenia form artystycznych, które jest końcem sztuki w ogóle na naszej planecie”. Ale dość o tym — nie brnijmy w zapomniane i nikomu niepotrzebne już teorie artystyczne. Otóż narkotyki z początku zastępują pewnym nielicznym osobnikom sztukę, religię i filozofię (mówię oczywiście o zdeklarowanych nałogowcach jadów wyższego rzędu), a następnie wyjaławiają ich pod tym względem — spotęgowanego przeżywania ich osobowości — zupełnie, niszczą ich kompletnie pod każdym względem, odgraniczając od społeczeństwa, zamykając w ich własnym niedostępnym świecie obłądnych przeżyć i deformując poczucie ich rzeczywistości do granic, poza którymi wszelkie porozumienie ich z normalnymi ludźmi staje się niemożliwe. Inaczej rzecz się ma z alkoholem w małych dawkach i nikotyną. Jady te przytępią zdenerwowanego współczesnego człowieka powoli, niszcząc w nim również osobowość, ale nie rujnując w ten sposób, aby niezdolnym był do spełniania mechanicznych funkcji w dzisiejszym społeczeństwie. Europa na tle jej starej kultury i zdegenerowanej ludności może by nie zniosła zaprowadzonej od razu prohibicji alkoholowo-tytoniowej na tle niewspółmierności życia z dogasającymi uczuciami metafizycznymi, które jednak przeszkadzają, jak mały kamyk zabłąkany w tryby precyzyjnej maszyny. Ale małe początkowe dawki tytoniu i alkoholu, uspakajające w pierwszych fazach nałogu rozszarpane nerwy Europejczyków, muszą wzrastać, a przy tym wzrasta ciągle zupełnie niepotrzebnie ilość konsumentów w następnych pokoleniach, które przy odpowiedniej tresurze mogłyby się zupełnie inaczej uspokoić. Starsi zatrują się coraz bardziej, czyniąc się przedwcześnie niezdolnymi do pracy, a młodzi za ich przykładem coraz wcześniej zaczynają pić i palić, przez co ztraca się nawet uspokajające znaczenie tytoniu i alkoholu, a czas kryzysu, to jest czas, w którym trucizny te zaczynają działać aspołecznie, przesuwają się w kierunku początku życia — następuje systematyczne skrócenie okresu wydajności ludzkiej i przedwczesne zużycie najzdolniejszych jednostek, jako obdarzonych subtelniejszymi systemami nerwowymi. Skutki ujemne niedługo przeważać będą nad dodatnimi, a wtedy będzie już pod pewnymi względami za późno — im dalej w przyszłość, tym gwałtowniejszy będzie szok reakcji w razie gwałtownej prohibicji, która okaże się czy prędzej, czy później konieczną. Wydaje mi się, że ludzie kierujący, zaślepieni w jednym kierunku: ekonomicznym, nie zdają sobie sprawy z wagi zagadnień psychicznych, dotyczących poszczególnych osobników, których scałkowanie daje wysokie współczynniki w ogólnej sumie społecznej. Społeczeństwo kokainistów byłoby czymś wręcz potwornym — o tym wie każdy. Ale nie każdy jest w stanie pojąć, że w stosunku do tego, jakim byłoby społeczeństwo abstynentów narkotycznych, naród palaczy i umiarkowanych alkoholików jest proporcjonalnie również czymś strasznym. A w takich narodach obecnie żyjemy, jesteśmy ich elementami, nie wiedząc, w jak okropnej atmosferze przebywamy i jacy sami jesteśmy.

Na gwałtowne zaprowadzenie abstynencji mogą sobie pozwolić kraje względnie młode, których obywatele nie mają za sobą starej kultury i nerwów tak starganych, jak ludzie powojennej Europy. Trzeba też brać pod uwagę stopień alkoholizacji i nikotynizacji danego kraju. U nas zdaje się on wzrastać z każdą chwilą i dlatego sytuacja nasza jest groźna. Twierdzę, że ogólna walka z tytoniem i alkoholem powinna przejść krótki (np. dziesięcioletni) okres systematycznych ograniczeń, po czym we wszystkich krajach Europy, bez względu na związane z tym kwestie ekonomiczne, powinna nastąpić absolutna prohibicja tych dwóch straszliwych „*assommoirów*”<sup>20</sup>, a zawikłania i straty stąd wynikłe zrekompen-sują się w bardzo krótkim czasie w związku ze zdrowiem psychicznym i wydajnością pracy obywateli. W stosunku do beznadziejnych nałogowców, to jest takich, którym w razie zaprzestania grozi śmierć, można by zastosować system rejestracji i wydzielanych porcji, który podcina od razu kontrabandę. Systemem tym wytępilli podobno Amerykanie kokainizm w pewnych stanach, a Japończycy opiumizm na Formozie. A resztą nie mają jest rzeczą obmyślanie środków technicznych wykonania tego planu — ja ograniczam się do psychologii.

---

<sup>20</sup>*assommoir* (fr.) — pułapka.



A więc nikotyna i jej ścisły pomocnik: czad węglowy (CO). Któż z palących nie zna cudownych i przykrych skutków pierwszych papierosów. Początek palenia przypada zwykle na okres „pierwszych miłości”, tzw. „*weltszmerców*”<sup>21</sup>, czyli po prostu mniej lub więcej uświadomionych przeżyć metafizycznych, w ogóle w czasie pierwszej konsolidacji indywidualności w stanie embrionalnym, w której to epoce ludzkiego życia formują się charaktery na cały jego ciąg dalszy. Zasadniczym działaniem papierosów w tej epoce jest przytłumienie bezprzedmiotowej rozpaczy, a nawet złagodzenie różnych obiektywnych przykrości życiowych. Poza nieprzyjemnościami w rodzaju bólu głowy, mdłości (a nawet torsji) i niesmaku stan psychiczny ulega przesunięciu od złości w kierunku nie pozbawionej uroku, a nawet przyjemnej melancholii, przy czym występuje pewne intelektualne podniecenie i pozorna jasność myśli, połączona z łatwością pracy. I to jest prawie wszystko, czego można od papierosów oczekiwać. Działanie tego rodzaju trwa bardzo krótko — u niektórych parę miesięcy zaledwie — po czym zaczynają występować skutki ujemne, które przemaga<sup>22</sup> się przy pomocy wzmożonych dawek jadu. Gdyby ci, którzy zamiast starać się wysiłkiem woli zmienić swój nastrój wewnętrzny i złagodzić okropność świata przez opanowanie rzeczywistości kawałek za kawałkiem, wiedzieli, co tracą na dalszych dystansach przez wymignięcie się z problemu przy pomocy użycia tytoniu, przeraziliby się i rzucili natychmiast nałóg w stanie jeszcze załążkowym. Ocenic potworne zmiany zachodzące nieznacznie w strukturze psychicznej pod wpływem palenia mogą tylko ci, którzy nigdy nie palili w sposób ciągły i często przerywali to psychofizyczne świństwo, walcząc przynajmniej w ten sposób przeciw systematycznemu, zbyt prędkiemu podnoszeniu codziennej dawki ogłupiającego dymu. Jednak już w pierwszych stadiach palenia występuje zjawisko pewnej samoobrony organizmu, jako symptom poczucia upadku po każdym tytoniowym nadużyciu. Początkujący palacz zawsze ma wrażenie, że pali wyjątkowo, w związku ze specjalnymi okolicznościami, dla pewnych chwilowych celów, ale broń Boże, nie ma zamiaru stosować tego niecnego proceduru na stałe. Zanim tytoń stanie się nieznacznie potrzebą każdej chwili dnia, używany bywa tylko w związku ze zdarzeniami wybijającymi się ponad codzienną szarą rzeczywistość: jakiś wieczór towarzyski, wyężdżająca umysł dyskusja, sytuacja, której spotęgowanie uroku wydaje się w danej chwili ważniejsze od zdrowia na całe życie, konieczność terminowego wykonania jakiejś pracy — wszystko to są rzeczy, dla których warto pozornie poświęcić dobre samopoczucie nazajutrz, brak fizycznego i duchowego wstrętu do siebie i niesmaku, a głównie sprawność władz umysłowych. Ale nade wszystko nie zdaje sobie sprawy taki lekkomyślnik, że każde poddanie się zabójczej dialektyce narkotyku zacieśnia mu pętlę na szyi, utrudniając wybrnięcie z matni, w którą często przez snobizm, tanie szukanie nowych wrażeń i całkiem prostą głupotę nierozważnie popadł.

Piszę obecnie na P po kilkudniowym NP i dlatego tak jasno widzę całą ohydę tego zjawiska: pozytywnie nie daje mi to absolutnie nic, jak i większości palaczy, poza czysto zewnętrzną przyjemnością: zaspokojenia mizernych apetycyków smakowo-węchowo-dotykowych. Wartość obiektywna dokonanej pod wpływem palenia pracy, poza złudną szybkością wykonania, będzie bezwzględnie niższa, jeżeli się weźmie pod uwagę wysiłek, który trzeba w nią włożyć w celu definitywnego wykończenia. Bo nigdy praca palacza nie jest doskonałą od razu: musi on potem długo i mozolnie „pipczyć” i poprawiać swoje dzieła, zamiast żeby od razu wyrzucić je z siebie w idealnej postaci, odpowiadającej pierwotnemu pomysłowi. I to stosuje się nie tylko do wytworów umysłowych, ale do wszelkiej wytwórczości w ogóle. Tylko w pewnych dziedzinach trudniej to sprawdzić: jest się miernym szewcem czy krawcem i koniec. Nie wie się, że to nadużycie tytoniu zatrzymało rozwój wewnętrzny i uniemożliwiło postęp techniczny. Miałem sposobność zaobserwować to dobrze na malarstwie, które łączy problem jasności umysłowej z problemem sprawności technicznej. Na większych okresach teza moja bezwzględnie jest sprawdzalna. Tylko nie każdy ma w kierunku tym doświadczenie i dostateczną zdolność introspekcji (samoobserwacji), a nade wszystko dobrej woli. I tak jakoś to będzie — mówi się i brnie się niepostrzeżenie w otchłań postępowego upadku.

<sup>21</sup>*weltszmerc* (z niem.) — smutek spowodowany przez niedoskonałość świata.

<sup>22</sup>*przemagać* — pokonywać.

Ale z początku nie jest tak źle, dopóki nie osiągnięty został punkt, w którym szkoldliwość powiększenia dawki zaczyna rosnać w postępie geometrycznym. Coraz większa ilość narkotyku przestaje wkrótce działać jako „doping” — zaczyna się prawdziwa tragedia: już nic z siebie więcej nie można wydobyć, choćby się wypaliło sto pięćdziesiąt papierosów na dzień. Może ktoś w ogóle nie umie z siebie nic wydobyć — to inna kwestia. Ale twierdzę, że na sto wypadków takich u ludzi palących będzie dziewięćdziesiąt, których przyczyną jest zatrucie nikotyną i tlenkiem węgla, którego na tle niepełnego spalania się tytoniu i papieru dużo musi być w dymie papierosowym. Oglupienie i ośpienie wzrasta z każdym zaciągnięciem się zabójczym dymem, a jednocześnie potęguje się niepokój. Najgorsze są uczucia sprzeczne — tytoń dostarcza właśnie najgorszą taką parę: powierzchownego podniecenia i niemożności zużytkowania go z powodu paraliżu wyższych centrów. Czuję to doskonale pisząc te słowa i w miarę jak będę dalej pisał systematycznie każdego dnia na NP, każdy z czytelników odczuje tę zmianę. A jeśli nie? To byłoby okropne — dowodziłoby, że zbyt już długo paliłem i że odzwyczajenie się bez wybitnie ujemnych skutków w samym początku abstynencji jest niemożliwe. Nie, po trzykroć nie — chodzi tylko o czas. Ale oczywiście jeżeli ktoś zacznie przestawać palić pod sam koniec życia, kiedy pod wpływem ciągłego palenia bez przerwy doszedł już do dawek zbyt wielkich, dla takiego nie ma już nadziei i lepiej, żeby skończył w oglupieniu, nie pozwalającym mu przynajmniej widzieć jego upadku z całą jasnością. To są właśnie okazy dla rejestracji — brzydkie słowo i lepiej go w czyn nie wprowadzać. Mam wrażenie, że fakt, iż u nas, w Rosji i na Bałkanach tzw. „wielcy starcy” są taką rzadkością, ma swoje źródło w paleniu z zaciąganiem się. Ludzie u nas, *passer moi l'expression grotesque*<sup>23</sup>, „wyprztykują się” przedwcześnie, tak w życiu, jak i w literaturze — powtarzają się co najwyżej w coraz gorszych wydaniach. Ale to zjawisko, żeby ktoś w pełni mądrości i środków — tak życiowych, jak artystycznych — dokonał jako przemądrzały starzec swych największych dzieł i czynów, to się spotyka w wyżej wspomnianych krajach rzadko. Przypisuję to bardziej działaniu palenia niż pijaństwu. Alkohol spala przynajmniej prędko swoje ofiary, niekiedy w sposób twórczy, przy bardzo szybkim potęgowaniu dawek. Zanikotynizowane „żywe trupy” błakają się czasem bezpłodnie bardzo długo, żyjąc tylko wspomnieniami dawnych dobrych czasów i sławą przeszłości, ale nie tworzą przeważnie nic. Niemcy palą po większej części cygara, a cygarami rzadko kto się zaciąga, to jest wciąż dym do płuc, gdzie na wielkiej przestrzeni chłonnej resorbuje się olbrzymia część jądów w nim zawartych. Ilość nikotyny, którą wchłania błona śluzowa gardła i nosa, a przez ślinę żołądek, jest znikomo mała w porównaniu do ilości, którą mogą pochłonąć płuca. Francuzi przeważnie nie zaciągają się wcale — zanikotynizowany Francuz należy do wyjątków. Chociaż trzeba przyznać, że ilość zaciągających się ludzi wzrosła po wojnie i w krajach zachodnich. Anglicy ratują się fajką, przez co może więcej trucizny wchodzi im ze śliną do żołądków, ale zaciągających się tzw. „synów Albionu” jest stosunkowo mało. My, Rosjanie i Bałkańczycy wszelkich rodzajów, nie mówiąc już o prawdziwym Wschodzie, wciągamy świński dym aż do pępeków i zatruwamy się o jakie 80% więcej niż ludzie Zachodu. U nas przeważnie człowiek lat pięćdziesięciu jest skończony. Ocalili się ci, którzy albo nie palili wcale (Boy np.), albo jak Żeromski i mój Ojciec, którzy przestali w porę palić w związku z chorobą płuc. I niech nie gadają optymiści, że „nam to nic nie szkodzi, my możemy sobie na to pozwolić”. Powtarzam: kto nigdy nie przestawał palić na czas dłuższy, nie wie, kim mógłby być, gdyby nie palił w ogóle wcale lub przestał zupełnie przed ostatecznym zagłupieniem się i dezorganizacją woli. Wiadomo, że przeważna część palaczy musi w pewnym okresie zacząć pić albo używać w dużych ilościach kawy lub herbaty. Wyjątki stanowią ludzie, którzy zmechanizowali się w jakiejś bezmyślnej robocie i nie mają już w stosunku do siebie żadnych wymagań. Alkohol bowiem jak i kofeina (teina okazała się po prostu kofeina) są najlepszymi antidotami na nikotynowe zagłupienie i mogą w pewnych granicach skompensować gnuśne uśpienie kory mózgowej, zaczadzonej tytoniowym dymem. W ten sposób dochodzi się też do nałogowego alkoholizmu i kofeinizmu, które mają też swój kres dopingu i muszą doprowadzić do zjełopienia i rozkładu cielesnej karkasy<sup>24</sup>. Można jeszcze pobudzić takiego osobnika do

<sup>23</sup>*passer moi l'expression grotesque* (fr.) — pozwólcie mi na groteskowe wyrażenie.

<sup>24</sup>karkasa — korpus, powłoka.

nagłych wyładowań w wypadkach wyjątkowych, ale jego codzienne „rendement” zmniejsza się przy używaniu tych odtrutek z przerażającą wprost szybkością. Kofeina specjalnie<sup>25</sup> zmusza do daleko szybszego przyrostu dawek niż alkohol i nikotyna.

Jeśli chodzi o prawdziwą przyjemność palenia, mają ją tylko palacze początkujący albo ci, którzy na skutek rzadkiej niezmiernie specyficznej właściwości: niezdolności do przyzwyczajania się do nikotyny, zachowali pierwotną świeżość wrażeń, ograniczywszy się do kilku lub kilkunastu co najwyżej papierosów dziennie. Prawdziwy nałogowiec, a takich wśród palaczy jest olbrzymia większość, pali jednego papierosa za drugim, zabijając natychmiast najłżeszą występującą potrzebę. Jest to czysto negatywna i niegodna człowieka przyjemność, polegająca na usuwaniu najmniejszej przykrości zamiast jej prawdziwego przezwyciężenia. W ten sposób powstaje właśnie ogólny psychiczny mechanizm, który z przyzwyczajania do każdego zadania z konieczności zastosować się daje: zamiast ataku wprost — obejście i wymiganie się z trudności raczej niż ich pokonanie. Doprowadza to do zaniku woli i stwarza gotowy typ reakcji w stosunku do innych podniet, prowadząc też tą drogą do alkoholizmu i wyższych „białych obłądów”. Każdą trudność życiową przezwycięża się na podstawie pierwszych doświadczeń dodatniego podniecenia coraz większą ilością papierosów, cygar czy fajek, aż w końcu osiąga się ten punkt graniczny, od którego począwszy żadna dawka już nie wystarcza i trzeba sięgnąć po inny środek albo też zadowolnić się niedoskonałym rozwiązaniem danego problemu czy niepełnym przezwyciężeniem nadarzającej się trudności, bo do prawdziwego wysiłku woli i twórczości „z niczego”, jedynej istotnej, znałogowany do ciągłego przenoszenia trudności na zewnątrz, do liczenia na coś poza nim się znajdującego osobnik ten nie jest już zdolny. Zwykle początkujący palacze nie palą rano, oszczędzając najlepsze godziny dnia. Niektórzy zaczynają po południu, po pierwszym obfitszym jedzeniu. Inni palą pierwsze papierosy dopiero wieczorem, kiedy zmęczony aparat odbiorczy nie jest w stanie samodzielnie przyjmować wrażeń i kiedy bez sztucznego podniecenia nie jest się zdolnym do odczuwania radości życia i do istotnego przeżycia nadarzających się przyjemności. Zamiast po prostu pójść spać i odpocząć, ma się potrzebę użycia jeszcze czegoś po całodzienniej pracy, do której zmusza wytężone, wypięte do ostatnich granic nasze współczesne życie. Wtedy rozpoczyna się życie z kapitału. Ale czas palenia ma zdolność szybkiego rozciągania się od wieczorów ku południom i porankom. Potem obejmuje ranek od pierwszego śniadania, a następnie przychodzi palenie na czczo, a nawet w nocy, w przerwach od snu, i mamy do czynienia z osobnikiem, który szybko zdąża do zupełnego otepienia, tracąc w nim powoli poczucie tego, kim był, kim miał zostać i do czego był zdolny kiedyś, zanim zaczęły go „omamiać kłęby pozornie rozkosznego dymu”. Nawet bardzo zaawansowany palacz budzi się względnie czysty i zdrow pod wpływem nocnej przerwy. Kto nie przestawał nigdy palić, nie wie, jak cudownym jest dalsze przedłużenie tego stanu, aż do chwili wspaniałego zwycięstwa nad nałogiem, kiedy praca zaczyna iść lepiej niż w stanie zanarkotyzowania, kiedy wzrasta wydajność, a stan bezpłodnego zdenerwowania, objawiającego się w niespokojnych ruchach, błędnie latających spojrzeniach i drgawkach niepewnych rąk, ustępuje miejsca poczuciu kierowanej czystą wolą siły. Tak — tak budzi się normalny palacz, o ile nie jest przy tym ciężkim neurastenikiem, dla którego początek codziennego dnia jest w ogóle czymś przykrym i trudnym. Wtedy marzy o pierwszym papierosie jako o czymś, co dopiero ma nadać pierwotną wartość zaczynającemu się porankowi. A potem z tumanem we łbie brnie już w ten codzienny dzień z rezygnacją kogoś, który wpadł w zębate tryby maszyny, aby dopiero pod wieczór przekonać się, że w ogóle „żyć można”. Ale nawet jeśli mamy do czynienia z tym wypadkiem najgorszym, to stany porannego przygnębienia dają się przy odpowiednim reżymie skrócić z dwóch, trzech godzin na dwie lub trzy minuty. Tylko, broń Boże, mając takie usposobienie nie należy palić, bo ranna depresja zabita nikotyną podnosi znowu głowę koło południa i trwa nieraz aż do późnego popołudnia, aby zmienić się we wzrastające podwieczorne podniecenie i „szał nocny”, uniemożliwiający wczesne zaśnięcie, co powoduje wzmożoną dawkę tytoniu. W ten sposób zmienia się drobne, chwilowe niedomagania w poważną psychozę, obejmującą cały dzień, a nawet dobę i potęgującą się z latami w zupełną niezdolność do normalnego życia. Najbardziej podatnymi do takiego zaćmienia sobie istnienia są

<sup>25</sup>specjalnie — tu: szczególnie.

typy schizoidalne<sup>26</sup>, fizyczni astenicy<sup>27</sup>. Ale nawet notoryczni pyknicy<sup>28</sup> przez działanie narkotyków ulegają „schizoidalnemu przesunięciu” albo w razie pomieszania materiału w danych osobnikach ich schizoidalna komponenta ulega znacznemu spotęgowaniu. Pyknicy są mniej podatni w ogóle na działanie wszelkich jądów, ale i oni zbaczą pod ich wpływem daleko od drogi, przepisanej im przez ich psychiczną strukturę. Oni też tracą szalone ilości energii na przeciwdziałanie narkotynom, mimo że pozornie odhamowują się pod ich wpływem i są niby zdolni do jakichś nadzwyczajnych schizoidalnych czynów: do fanatyzmu w wierze, twórczości artystycznej formalnej i do tworzenia metafizycznych koncepcji. To wszystko jest blaga: pyknicy muszą być na swoich miejscach, a schizoidy na swoich. Schizofrenia dla schizofreników — zasada Monroe<sup>29</sup> w psychologii i psychiatrii.

Ciekawym jest fakt, że palacz pałacy na czczo, co specjalnie szkodliwe jest na serce, żołądek i system nerwowy, mniej odczuwa doraźne złe działanie pierwszego papierosa niż mniej namiętny nałogowiec, zapalający po raz pierwszy po śniadaniu. Może zanadto zajęty jest przyjemną obserwacją chwilowego zniknięcia przykrego stanu, w którym się obudził. Ale już następnych parę papierosów daje mu poznać w miniaturze to, co się będzie w nim potęgować przez cały dzień, a następnie z dnia na dzień przez całe dalsze życie. Nienaturalne podniecenie wzrasta do południa. Jeszcze umyć się (i to porządnie! — o czym mowa będzie w Appendixie) rozprasza trochę działanie jadu. (Przesąd, że wprost niepodobna ogolić się porządnie bez palenia, jako też, że niewykonalnym jest napisanie listu, usuwa pierwszy eksperyment. Głupie narowy i tyle.) Przy jednoczesnym dopingu, którego jednak nie udaje się zużytkować dowolnie w pozytywny sposób, wzrasta oglupienie i pewne rozproszenie. Może to sprzyjać jedynie pracy mechanicznej, nie wymagającej twórczego wysiłku. Dlatego twierdzą, że tytoń może być tolerowany jedynie w krajach o małym jeszcze stopniu mechanizacji i starej kulturze, gdzie ludzie mają specjalnie roztrzęsione nerwy, jeśliby chodziło o to, aby jak największą ilość ludzi oglupić do tego stopnia, aby przestali być niebezpieczni i w tym oglupieniu mogli automatycznie spełniać swoje funkcje. To ostatecznie przyjść musi w dalszym rozwoju społecznym na świecie całym. Ale działanie uspakajające tytoniu jest czasowe — możliwe jest tylko przy pewnej dawce, w pewnym okresie życia. Powiększanie dawki prowadzi do zupełnego rozstroju psychofizycznego i czyni palących niezdolnymi nawet do najgłupszej pracy — oni ją markują, ale nie wykonywują — odwalają, aby zbyć, nie dbając o istotną wydajność. Czy tym się nie da wytłumaczyć nasza przysłowiowa nieakuratność, niedokładność, samooszukiwanie się i lenistwo? Znam mechanizm ten dokładnie na sobie samym — oczywiście w miniaturze. Wiem, ile wysiłku kosztowało mnie utrzymanie się na standardzie pracy na P w okresach palenia — bo muszę przyznać sobie jedno, że nie poddałem się skutkom nikotyny. Ale po co utrudniać sobie życie lub obniżać jego poziom dla marnej przyjemności wciągania smrodliwego dymu i w dodatku dla ujemnych skutków psychicznych. Jeśli chodzi o wydajność na daleki dystans, to tytoń i alkohol w małych nawet dawkach zmniejszają ją znakomicie, dając złudne jej poczucie subiektywne. Dlatego widzimy w krajach młodszych, gdzie problem uspokojenia nerwowego na okres najintensywniejszej pracy (od dwudziestego do pięćdziesiątego roku) nie jest istotny, ten pęd ku prohibicji nawet pozornie niewinnych „społecznych” narkotyków. Dlatego w Europie nadużycia w sferze alkoholu (szkoda, że nie ma kar za przepalanie się) są karane, a umiarkowane używanie nawet popierane, jako dające dochód państwu. Jest to polityka na „mały dystans”, z dnia na dzień, bez myśli o dalekiej przyszłości. Zamiast liczenia na „krótkie uspokojenie” obywatela (niech pocierpi jedno pokolenie z rozchlastanymi nerwami) trzeba by postarać się o to, aby obywatel ten mógł po mechanicznym przepracowaniu się odgiąć się i odprężyć w jakiś istotniejszy sposób, nie tracąc energii na głupstwa, magazynując ją raczej w celu podniesienia poziomu swej pracy. Ale oglupiony alkoholem i tytoniem osobnik nie może sobie na to pozwolić — on, aby odpocząć, musi szukać jeszcze bardziej niż jego praca oglupiających rozrywek, a ma ich pod dostatkiem: wyczerpane do dna i bez skutku starające się uartystycznie

<sup>26</sup>schizoidalny — przejawiający zachowania charakterystyczne dla schizofrenika, lecz nim nie będący.

<sup>27</sup>asthenik — osoba o smukłej budowie ciała, nieśmiała i drażliwa.

<sup>28</sup>pyknyk — osoba otyła, wzrostu niskiego lub średniego, o krótkich kończynach, skłonna do okresowych zmian nastroju.

<sup>29</sup>zasada Monroe — doktryna izolacjonizmu ogłoszona przez prezydenta USA Jamesa Monroea w roku 1823.

kino; radio jako „radiokręciicielstwo” lub co najwyżej jako uczuciowe narkotyzowanie się muzyką w sposób taki, w jaki czyni to wyjący „pod harmonię” pies bez doznawania głębszych artystycznych wrażeń, do czego konieczna jest istotna muzyczna kultura i muzyczne, a nie „wyjcowe” zrozumienie muzyki; chroniczny, beznadziejny dancing, ta najpotworniejsza z nieuświadomionych plag dzisiejszych społeczeństw; jeszcze najlepsza z nich: sport, który o ile by był trzymany w ryzach, a nie rozdymany do śmiesznych rozmiarów jakiegoś kapłaństwa, mógłby przynajmniej sprzyjać odrodzeniu fizycznemu, nie niszcząc przez swoiste zagłupienie wyższych zainteresowań ludzi młodych i zdrowych. A do tego jeszcze puchnąca z dnia na dzień codzienna gazeta, której przeczytanie stanowi jedyny „poważny” wysiłek umysłowy co najmniej 80% ludzkości. To jeszcze dobrze zaawansowany palacz wytrzyma, ale o zajęciu się jakąś intensywniejszą umysłową pracą po skończeniu zajęć zawodowych mowy być nie może. Coś go pędzi, gna, pcha i brutalnie wyrzuca z samego siebie i z domu. On musi gdzieś „zajść choć na chwilę”, tam pogadać, tu niby coś ważnego załatwić, co wcale ważnym nie jest, tam posiedzieć musi, bo ktoś bez niego żyć nie może, co wcale prawdą nie jest, gdzie indziej znów ratować od czegoś kogoś, kto tego ratunku wcale nie potrzebuje itp., itp. Nieskończona jest pomysłowość palacza w kierunku usprawiedliwienia przed sobą ohydneho zdenerwowania, niepokoju i niemożności skupienia się — podaję tu skromne, najprostsze przykłady — proces ten może przybrać najróżnorodniejsze formy, zależnie od struktury psychicznej i życiowej sytuacji danego osobnika. Tysiące pretekstów znajdzie zatruty nikotyną, aby usprawiedliwić to wstrętne „gnanie”, które wywołuje w nim przeklęty bezpłodny jad. O prawdziwym skupieniu się mowy być nie może — praca odbywa się gorączkowo, jest pracą pozorną, a nie efektywną — zanikotynizowany człowiek udaje sam przed sobą, że pracuje, oszukując bezczelnie siebie i innych zewnętrznym czysto „szastaniem się” i „krzątaniem” — w istocie daje fałszywy towar za zmarnowane bezpowrotnie dary boże: czas i energię. Istotniej załatwi się to wszystko jutro, a każde jutro jest jeszcze gorsze. W ten sposób na marne idą wszelkie pomysły i projekty, unoszone ze śmierzącym dymem w sferę niewykonalnego, tzw. „niewykonalbu”. Po wieczornym mizernym „wstrząsie” występuje potrzeba czegoś silniejszego, jeszcze bardziej „*assommani*” — dancingi stoją otworem. A potem jeszcze długo w noc czyta się, paląc niesłychane ilości papierosów, głupie powieści, oryginalne i tłumaczone, którymi zalane są obecnie księgarnie, aby obudzić się nazajutrz z głową jak kubek pomyj, z niesmakiem w ustach i niesmakiem do życia, który da się jeszcze pokonać nową porcją śmierzącej trucizny. I tak żyje się „jako tako”, z dnia na dzień, tracąc z każdą chwilą poczucie istotności wszystkiego, zamieniając się nieznacznie w bezmyślny, galaretowaty twór, niepodobny zupełnie do tego skonstruowanego indywiduum, którym się być mogło. Tymczasowość, duchowa krótkowzroczność, potęgający się brak wymagań od siebie i innych, płytkość we wszystkim, poczawszy od filozofii, do koncepcji społecznych, poszukiwanie najlichszego towarzystwa, nie wymagającego żadnego wysiłku umysłowego — oto właściwości cechujące prawdziwego palacza. Aby tylko dzień przewalił się jako tako, aby tylko wykręcić się sianem z trudnych zagadnień, aby tylko zamazać przed sobą niesamowitą groźbę życia, wymagającą natężenia wszystkich sił w celu istotnego podłożenia strasliwym zagadnieniom, które ono stawia. Wszystko jakoś samo się załatwi. A pod maską ożywienia i ruchliwości — potęgująca się dosłownie za każdym pociągnięciem dymu z ohydneho zielska śmiertelna nuda i ponury onanistyczny bezwład, będący skutkiem natychmiastowego nasycania każdej chętki zagwazdrania sobie mózgu diabelskim czadem. Nieposzanowanie dla siebie tkwi na dnie tego wszystkiego. Jak człowiek świadomy tego, że z godziny na godzinę staje się coraz gorszym kretynem, może pozwalać sobie na lichą przyjemność, która go skretynia, jest właściwie niepojętym cudem. Chyba, że tego nie rozumie. Książka ta ma właśnie na celu otworzenie oczu tym, którzy giną przez nieświadomość, a nie przez brak woli. Każdy palacz jest ruiną tego, którym mógłby być, gdyby nie palił. Oczywiście daję tu przykład krańcowy na podstawie pewnych zjawisk zaobserwowanych na sobie, które wskutek częstego zaprzestawiania palenia nie rozwinęły się w swej formie ostatecznej. Ale trzeba przyjąć, że z małymi wahaniami, na każdego, nawet na największego tytana, wpływa palenie w podobny sposób.

Jeden wytrzyma lepiej ten proceder, inny gorzej, ale mimo różnicy współczynnika natężenia, zmiany u różnych osobników będą jakościowo identyczne. „*Hinter dieser*

*glanzenden Fassade sind nur Ruinen*<sup>30</sup>, jak mówi o „obumierających schizofrenikach” Kretschmer, którego książkę *Körperbau und Charakter*<sup>31</sup> powinien znać absolutnie każdy człowiek względnie inteligentny. Może by nareszcie ktoś zdecydował się przetłumaczyć na polski to wspaniałe dzieło. Ale u nas zawala się rynek księgarski ohydą literaturą dla kretynów, tymi potwornymi kryminalnymi powieściami, od których nawet mędrsi ludzie idiocją, a wartościowe rzeczy w literaturze całego świata starannie się pomija. Nie dość na tym: złudzone świetnymi rezultatami finansowymi obcych rekinów pseudoliteratury nasze rekiniątka też produkować zaczęły swoją cuchnącą tandetę, zapługawiając znakomicie i tak już konającą naszą literaturę. Tfu! — paskudztwo po prostu — „ot, butaforskie majaczenia”, jak mówił pewien generał. Palacz przyzwyczajają się brać nienaturalne, bezpłodne podniecenie za stan twórczy, przestaje rozróżniać między istotą rzeczy a maską, traci wszelką zdolność wartościowania. Plugawie własne dowcipy bierze za najczystszy „ésprit”<sup>32</sup>, ekskrementalne spod ciemnej gwiazdy wymysły uważa za objawienia, a dupowate gędzenia za ostatni wyblask „causeurstwa”<sup>33</sup>. Wymagania jego maleją i szuka tylko kupy durniów, wśród których mógłby jeszcze brylować swoim zaćmionym mózgiem, a towarzystwo ludzi wyższej marki nudzi go i męczy. Wszelki umysłowy wysiłek i skupienie staje się prawdziwą torturą i gnuśny, gnijący w śmierdzącym własnym sosie nikotynista śmieje się cynicznie z własnego upadku i myśli sobie: „E, jakoś to będzie. Żyjemy tylko raz. Po co sobie czegoś odmawiać? I tak jest mało przyjemności”, mimo że gdzieś na dnie duszy bełkoce w nim jeszcze, szczególnie w pierwszych stadiach zatrucia, tajemny głos o innym, lepszym życiu, które w sobie beznadziejnie zaprzepaścił. Stara się nie słuchać tego głosu i nienawidzi tych, którzy budzą w nim jakieś wątpliwości. Wiem, na co się narażam pisząc te słowa, bo przecież 95% członków naszego społeczeństwa pali, a co gorsza, zaciąga się, a z tych znowu jakie 50% przedstawia albo bezmyślne automaty, albo lżejszych i ciężkich psychopatów — bo są tylko te dwa gatunki palaczy. Ale niech tam... Mnie już i tak nic nie zaszkodzi.

Jeszcze jedno: tytoń bezwzględnie odbiera odwagę. O ile na tle ogłupienia, które wywołuje, pozwala przeżywać względnie znośnie stany zbydlęcenia, wywołane np. więzieniem, okopową wojną, ciężką chorobą, bezmyślną pracą, o tyle odporność palącego na gwałtowne niebezpieczeństwa, wymagające tego charakterystycznego „wytwarzania siły z niczego” dla przeżycia chwil przechodzących codzienną miarę i dla racjonalnej obrony, jest bezwarunkowo mniejsza. Chyba, że tak już ogłupiał, że w ogóle wszystko mu już jest jedno. Taki niech sobie pali do syta, niech się, psiakrew, zapali na śmierć i szybciej zniknie z powierzchni naszej planety, by nie plugawić swoim żywym trupem bądź co bądź pięknego chwilami świata. Mimo bredni intuicjonistów i antyintelektualistów nie rozumiejących słów, których używają i pokrywają nimi własne ubóstwo myślowe, jedną z niewielu największych i najpiękniejszych rzeczy jest chyba rozum ludzki. To jest truizm. I ten rozum niszczy systematycznie, otrzymując w zamian zszarzałą wizję świata<sup>34</sup>, depresję psychiczną i ohydne zdenerwowanie, udające prawdziwą siłę i napięcie! A wy, baby — o rozum może wam nie chodzi tyle co nam, ale o piękną skórę, tak. Otóż wasze zamsze, aksamity, brzoskwinie i alabastry zmieniacie na wyschnięte, brudne, poźółkłe szmaty. Może to wreszcie wam do rozumu przemówi, mimo że na ogół macie go mniej niż my. Nawet Antoni Słonimski, który nie uznaje definicji pojęć (patrz, jeśli chcesz, koteczku: słynna dla mnie polemika o *Sen srebrny Salomei* z Pomirowskim w „Wiadomościach Literackich”), krzyczał kiedyś: „Świat nie jest piłką footballową / Świat się zdobywa głową” — i tę to głowę zamieniać dla marnej przyjemności w beładny bałagan i śmietnik, z którego nic nowego i wartościowego narodzić się nie może — okropność!! Dlatego wzywam rodziców, aby katowali dzieci zaczynające palić, jeśli inaczej do ich przekonania przemówić nie zdołają. Ale mają prawo robić to tylko wtedy, gdy sami nigdy nie palili lub palić przestali. Niech mężowie niepalący gnębią (do tortur włącznie) żony, które

<sup>30</sup>*Hinter dieser glanzenden Fassade sind nur Ruinen* (niem.) — za tą lśniąca fasadą są jedynie ruiny.

<sup>31</sup>*Körperbau und Charakter* (niem.) — budowa ciała i charakter.

<sup>32</sup>*ésprit* (fr.) — inteligencja, polot.

<sup>33</sup>*causeurstwo* (z fr.) — sztuka prowadzenia konwersacji.

<sup>34</sup>Malarze, którzy przestawali palić, wiedzą najlepiej, jak działa nikotyna na ich wizję koloru, a nawet na pewność rysunku. Świat staje się po prostu ścierką, a linia rysunku traci swoją absolutną pewność, tę *jedyną*, która jest jej najistotniejszą wartością. [przyypis autorski]

palą, a żony niech zatrują (jak to one tylko podobno umieją) w maksymalny sposób życie mężów, aż póki wszyscy nie rzucą do diabła wstrętnego nałogu. Niech przyjaciele podniecają się wzajemnie w szlachetnym sporcie NP, tak mało u nas niestety rozpowszechnionym. Niech kochankowie — ale dość.

Teraz opowiem wam po kolei przeżycia tego, który palić przestał z dnia na dzień, ale niestety dopiero od jutra — bo te słowa piszę z parszywą „kumetą” w plugawym pysku, zatruty zupełnie, z trudem utrzymujący się przy tak stosunkowo łatwej pracy, jak pisanie tego „dziełka”, które tym niemniej powinno być przez każdego przeczytane i na wszystkie języki przetłumaczone. Tak, od jutra, od jutra — trudno. Ale zobaczymy, czy właśnie od jutra nie stanie się to prawdą i czy ja, Wielki Mistrz Czasowego NP, nie pokażę wam wyższej marki<sup>35</sup> i czy nie przestanę od jutra palić na zawsze. I jeśli kto mnie z papierosem w zębach zobaczy, będzie miał prawo pomyśleć, że zrezygnowałem z przeżycia końca życia na najwyższym poziomie, na jaki mnie stać, że w ogóle zrezygnowałem z siebie. Nie będę mówił tu o takich rzeczach, jak: skleroza, przyspieszenie starości i popsucie żołądka (*à propos*: ci, którzy twierdzą, że bez P porządnie się „wy-tego” nie mogą, niech spróbują jeść śliwki i robić gimnastykę Müllera, a zobaczą) — chodzi mi tylko o psychikę. Tamte wszystkie historie zostawiam specjalistom, ale oni też muszą przestać palić, aby mieć sąd obiektywny i doświadczenie. Aha — jeszcze jedno: niedobrze jest nie zaznawszy nigdy błogosławionych skutków niepalenia po raz pierwszy w życiu przestać i koniec, bez żadnych manigansów — pierwszy raz w życiu, zaznaczam. Taki pan, co nigdy nie przestawał i przestanie nagle, nie będzie palił rok, dwa może najwyżej, a potem do palenia wróci i nigdy już nie przestanie. Znowu zacznę od trzech papierosów dziennie, a skończy na sześćdziesięciu lub stu, nie marząc nawet o powtórzeniu próby. Złe skutki papierosów widzi się (nawet w lustrze) i odczuwa jasno i dobitnie, o ile po trzy-czterodniowej przerwie zapali się na nowo. Poza czysto bydlęcą przyjemnością (czyż nie ma lepszych, do diabła starego!!) pierwszego, no, powiedzmy, trzeciego łyku smrodliwego dymu od razu występuje ten stan, który oprócz czysto fizycznych objawów (zawrotu głowy, sflaczenia łydek, ogólnego fizycznego rozmamania, chęci pójścia gdzieś, smaku ohydnej spalenizny) jest próbką (Muster, *échantillon*<sup>36</sup>) tych zmian psychicznych, które są udziałem każdego palacza, z tą różnicą, że przy takim przerwaniu krótkiej abstynencji ma on je podane w sposób skondensowany, a nie rozwleczone na przebieg całego życia. A więc przede wszystkim ten charakterystyczny żal: „po co ja zapaliłem(-łam)?” Za cenę wątpliwej przyjemności smakowo-węchowej (mamy przecież lepsze, psiakrew!) odczuwa się: zmącenie myśli, odosobowienie (ale przykre), nieswojość i nieodpowiedzialność, brak decyzji w najmniejszej rzeczy, rozwiązanie samego pępka osobowości, osłabienie (wiadomo, czym są papierosy dla sportowców — kompletną zgubą, gorszą od alkoholu), a nade wszystko to specyficzne *zszarzenie* rzeczywistości, które znają tylko zapalający papierosa po kilkudniowej przerwie, ten zalew pospolitości i nudy, który można porównać do polania barwnego dywanu kubłem szarych i gęstych nieczystości. Życie traci urok momentalnie i wszystko powleka się krzepnącym szybko pokostem banalności, jałowości i zwykłości. Człowiek czuje się znękanym i brudnym, mimo że przed półgodziną wyszorował się szczotką Braci Sennebaldt z Białej i wesoły był jak ptaszek. Każda komórka zdaje się być oblepiona wstrętnym, śmierdzącym sosem — czymś w rodzaju tego kłajstru ohydneho, który gromadzi się w długo nie czyszczonej fajce. Ratunku szuka się w drugim, trzecim i dziesiątym papierosie i po paru godzinach jest się na dnie zwykłego upadku i wspomina się tylko te kilka dni niepalenia jako pobyt w jakiejś cudownej krainie krystalicznych barw, ognia, zapału, zadowolenia z siebie i najwspanialszych możliwości. A potem przestaje się nawet za tym tęsknić. Wraca palacz nieszczęsny jak biedny koń do kieratu do beznadziejnego kręcenia codziennego dnia, bez nadziei wybrnięcia, bez wyższych aspiracji (odwalić i odpocząć jak bydlę), bez możliwości postępu w jakimkolwiek kierunku, nawet w sferze swej mechanicznej pracy — jest skończony i przeważnie o tym nie wie. Ale gdzieś na dnie zostaje mu niejasne wspomnienie trochę męczących — to prawda — ale czystych chwil zmagania się z zabójczym nałogiem, kiedy to jeszcze mógł wybrnąć z matni. Zmarnował wszystkie jasne możliwości życia dla nędnego wciągania do płuc przetworów niedosta-

<sup>35</sup>marka — znak, tu przen.: osiągnięcie, rekord.

<sup>36</sup>*échantillon* (fr.) — próbka.

tecznego spalania się demonicznego zielska z piekła rodem, słusznie tytoniem zwanego (Ty-ton!). Palacz zaczynający palić po dłuższej przerwie (od kilku miesięcy zacząwszy) nie doznaje przeważnie wyżej opisanych objawów. Przeciwnie — ma znowu to rozkoszne podniecenie, w które popadł zapaliwszy po raz pierwszy, tylko bez ujemnych objawów inicjacji we wstrętny, upadający nałóg — bez nudności, bólu głowy i tym podobnych zjawisk. Myśli sobie: „Po co ja przestałem palić? Przecież to jest cudowna rzecz. Walmy dalej”. I nieznacznie, zaczynając od małych dawek, tylko zwiększając je w nierównie szybszy sposób niż wtedy, kiedy zaczynał, przechodzi do stanu normalnego, przeważnie beznadziejnego już palenia i postępującego z nim krok w krok zagłupienia. Nie ma on tych kryteriów dla ocenienia swego upadku, co ten palacz, który choćby kilkakrotnie nawet przestawał i zaczynał znowu — nie czuje skutków ostrego zatrucia, które występują po krótkiej przerwie na tle silnych objawów abstynencji, wskutek braku antidotów wytwarzanych przez organizm. Ten, co zrobił krótką próbę lub kilka takowych, przestanie czy prędzej, czy później na całe życie. Wspomnienie cudownych chwil wyrzeczenia się nie da mu na pewno spokoju i grozić będzie w momentach nawet najlepszej zabawy widmem zmarnowanego beznadziejnie życia, które mimo wszystkiego, co przeciw niemu powiedzieć można, jest przecie jedno i jedyne. Dlatego ci, którzy przestaną i potem znów zaczną, nie martwią się tym zbyt i nie przesadzają okropności swego upadku. Zdobyte w ten sposób doświadczenia umocnią ich tylko i w pewnej decydującej chwili zerwą z popełnianym systematycznie postępowym umysłowym samobójstwem na zawsze. Bo nie tyle chodzi o płuca, arterie, gardło, serce i żołądek, ile o mózg i system nerwowy, o rozum i jasną wizję rzeczywistości, bez których nawet płuca centaury i żołądek świni nic nie pomogą.

Dla zaprzestania palenia trzeba wybrać odpowiednią chwilę. Najlepiej nie robić tego (jak niesłusznie czynią niektórzy) w okolicznościach wyjątkowych: na wakacjach, w podróży czy bezpośrednio po zakochaniu się, a nawet po zaręczeniu. Powrót do normalnej codzienności przypomni zaraz o niedawnym jeszcze nałogu i zmusi do usprawiedliwienia pierwszej niechęci do zwykłego życia uczuciem braku okropnego, w swej zdradliwości pochłaniania najlepszych władz ducha, narkotyku. Najlepiej jest przestać palić w ciągu spełniania najbardziej zwykłych codziennych zajęć. Można jeszcze co najwyżej uczynić to w sobotę lub wilię jakiegoś święta (byle nie przed Bożym Narodzeniem lub Wielką Nocą), aby jeden dzień mieć wolny dla przyzwyczajania się do nowego stanu. Pod żadnym pozorem nie trzeba przez kilka dni przyjmować wieczornych zaproszeń. Śpiączka zaraz po kolacji i niemożność prowadzenia normalnych rozmów towarzyskich (brrr — co za ohyda!) są bardzo dogodnymi pretekstami do „zapalenia sobie jednego”. „Jeden przecie nie zaszkodzi” — bąknie skwapliwie<sup>37</sup> jakiś palacz, który jak wszyscy nałogowcy lubi widzieć kuzyna, sąsiada czy przypadkowo spotkanego gościa, a nawet (a może właśnie *właśnie* — kto wie?) przyjaciela w tym samym upadku, w którym on sam się znajduje. Stan bezpośrednio po przestaniu należy przeżyć w skupieniu, w towarzystwie najbliższych (na dalszych nie ma się co prawda nawet ochoty), bo stan ten (o ile się wreszcie za trzecim lub czwartym razem przyrzeczenia dotrzyma) nigdy już nie wróci. A nadzwyczajny to jest okres — tak jakby się zażywało jakiś nieznaną narkotyk. Bo i tak jest zaiste. Organizm truty systematycznie zmuszony jest do wytwarzania jakichś anty-ciał do walki z zalewającą go trucizną. Zwolnione ze swych wstrętnych obowiązków te raczej przeciwciała (po co łączyć cudzoziemską przyczepkę z polskim słowem) szaleją same. Zatrucie tą antynikotyną jest tak przyjemne, że wynagradza po stokroć przykrości abstynencji. Trzeba się tylko wsłuchać w głos swych komórek i bebechów, a nawet „psychicznych głębi”, a nie wmawiać w siebie, że żyć bez papierosów niepodobna, i nie jęczeć ciągle: „ja chcę palić, nie mogę mówić, pracować, nic mi się nie chce robić” itp. Należy mówić, robić coś, przeżywać tak właśnie, jak nakazuje dane usposobienie — należy je w swoisty sposób wykorzystać. A przede wszystkim co do pracy: w trzy do czterech dni występują już dodatnie skutki wyrzeczenia w związku z wydajnością roboty tak umysłowej, jak fizycznej, a to, co się przez pierwsze trzy dni straci wskutek pewnej, nawet rozkosznej, niemrawości, okupi się latami całymi naprawdę „radosnej twórczości”, choćby to było nawet rąbanie drzewa lub rachowanie na maszynie. Ale trzeba stosować ten sam wysiłek

<sup>37</sup>skwapliwie (daw.) — szybko, chętnie.



co zwykle, a nie zwać niechęci do jego wykonania na stan NP. (To samo stosuje się do stanu NΠ — niepicia.) Wzrasta skutek niepalenia sumiennosc wykonania wszelkich robót, jak również wynalazczosc we wszystkich kierunkach, a stąd i ekonomia wysiłku. Wzrasta też apetyt i ilość potrzebnego snu — ale tylko początkowo. Cztery do pięciu dni można żreć, ile wlezie, a potem już łatwo opanować ten zdrowy zresztą instynkt organizmu, budzącego się do nowego życia. Wcale nie trzeba obżerać się tak intensywnie i tyć jak tuczona świnia, jak to niektórzy robią. W ciągu trzech tygodni kwestia odżywiania się jest uregulowana kompletnie przy minimum dobrej woli w tym kierunku. Tylko nie dać się opanować temu „zastępczemu” pozwalaniu sobie na wszystko inne, jako wynagrodzenie za cierpienia tytoniowej wstrzemięźliwości. Tej właściwości pozytywnie przyjemnej pierwszej fazy abstynencji nie mają, o ile wiem, inne narkotyki. Znam trochę (*trochę*, powtarzam do stu tysięcy diabłów!) głód alkoholowy i ten jest jako stan psychiczny w pierwszym okresie bezwzględnie nieporównywalnie przykrzejszy od głodu tytoniowego. Wykorzystać należy ten stan wspaniały nie każdy potrafi, bo nie każdy umie słuchać głosu swego daimoniona. Dlatego na ten punkt zwracam największą uwagę. Wystarczy pójść na samotny spacer, aby mieć wszystkie atuty w ręku. I niech nie plotą pesymiści, że zdolność wykonania tego jest w związku z indywidualną konsystencją i że niektórzy nie mogą, i że „*meine Wahrheiten sind nicht für die Anderen*”<sup>38</sup>. Wszystko zależy od nastawienia z góry. Niektórym poleca się zaprzestanie palenia po uprzedniej „popojce”, o ile już dawniej pić nie przestali. Jedno drugiemu pomaga znakomicie. Do drugiego śniadania mogą kropnąć już tylko jedną wódkę na NP, do wieczora piwo, a nazajutrz koniec ze wszystkim i stan cudowny, krystaliczny, wzniosły! Najlepiej jest przestać palić od samego rana. Trzeba się przygotować na nieprzyjemne pół godziny — po umyciu się jest już dobrze. Ale nie każdy wytrzyma te pół godziny, które jest naprawdę przykre: trzeba w ciągu tego krótkiego czasu zwalczyć całą ohydę ranka, po uprzednim napaleniu się nocnym, bez pomocy papierosa. Można też palić do umycia się i przestać równo z umyciem się. Można i o dwunastej w południe, wyszedłszy na mały spacer, lub o piątej, a nawet siódmej wieczorem, ale to już tylko jako niejako przygotowanie do przestania rannego. Najlepszy jest jednak system od chwili przebudzenia się — z uprzednią „popojką” lub bez — wobec wielkości celu to nawet jest prawie że obojętne.

Zaraz rano występuje już pewne ożywienie zankylozowanych<sup>39</sup> w jądzie komórek, i to nie tylko mózgowych i nerwowych, ale i całego ciała. Odczuwa się komórki tak, jakby koło odczuwało kulki w osi, świeżo wymyte i naoliwione. Przychodzą oczywiście z początku takie myśli, raczej myślowe wywłoki: „To jednak jest nonsens. Co mi tam! Będę palił i koniec. Żyłem dotąd tak — co ja będę sobie głowę zawracał jakimiś abstynencjami, które więcej może energii zabierają niż samo palenie”. Na takie myśli trzeba po prostu plunąć — nie wolno wdawać się w najlżejszą choćby dyskusję z demonem narkotyku — wiadomo, że jego dialektyka, *polegająca na zlekceważeniu czasu*, musi być silniejsza. Tu wola, ta zwykła, prosta, nieskomplikowana, nudna czasem jak cholera wola, musi powiedzieć swoje: „Nie będę palił(a), choćby tam (gdzie, gdzie?) nie wiem co”. I wytrzymać. Już pierwsze wytrzymanie daje odskocznnię do następnego. A dobry daimonion nie daje długo czekać na nagrodę. Zjawia się ona w postaci rozkosznego poczucia wolności i swobody i tej „*igriwosti uma*”, błyskotliwości umysłu, o której mówi Stefan Glass i ja też za nim. Energia psychofizyczna wzrasta z minuty na minutę i fale jej mijają się z falami zdrowej senności i zdrowego oglupienia, i dzikiego apetytu. Żreć, ile wlezie, i spać, choćby co chwila — nic to. Dobra nasza — *bonne la nôtre*. Tylko nie zwać całej poprawy na stan NP i prócz wysiłku zasadniczego, tego z zaciśniętymi „zęboma”, podpuszczać ciągle ten zwykły wysiłek codzienny, który się robi normalnie, aby podolać zwykłym zajęciom i obowiązkom. Najgorszy jest ranek następnego dnia po nocy, w czasie której śpi człowiek (ewentualnie „sprytne bydlę w surducie”) z siłą czterdziestu susłów parowych. Nie chce się taki osobnik zbudzić z tą myślą, że rano nie czeka go rozkoszny pozornie „papirosik” ranny, na czczo lub po tzw. „kawusi”. Uczucie pustki i nudy zdaje się być nie do przewyciężenia. Poczucie nonsensu jest tak wielkie, że zapalenie tego „papirosika” wydaje się szczytem sensu w ogóle, czymś, bez czego świat jest nieznośnym chaosem,

Sen

<sup>38</sup>*meine Wahrheiten sind nicht für die Anderen* (niem.) — moje prawdy nie są dla innych.

<sup>39</sup>*zankylozowany* (z gr.) — zesztynniały.

istnienie więzieniem, a życie, które podjąć trzeba, jakimś smrodliwym ciężarem. Zerwać się, nie myśleć nic, psiakrew, odwalić osiem ćwiczeń Müllera, choćby zęby pękały od zaciśnięcia, buch do tubu, metalowej misy lub łazienki (o tym osobno w Appendixie) i do roboty „wo czto by to ni stało<sup>40</sup>”, „coute que coute<sup>41</sup>” (tak zwane po rosyjsku „*kutkiekutnoje rozpołożenie ducha*”). Tak — przyznaję to: przychodzą tak straszne chwile poczucia bezsensu wszystkiego, nie tylko całego Istnienia, ale najnormalniejszego, najszcześniejszego, najbardziej bydlęcego życia, że choć gryźć granity i popijać benzyną. Wytrzymać: godzinę, dwie, choćby trzy. Wypić mocnej herbaty czy kawy nawet, jeśli serduszko jest w portkach i puls spadł poniżej pięćdziesięciu uderzeń na minutę. Nic to — zaraz będzie lepiej. Zaraz przyjdzie *ten* rozkoszny stan poczucia *tego*, że się panuje nad wstrętym słabym bydlakiem w sobie, że się jest ponad nim, że się jedzie na nim, jak na burej suce, ku niedosiężnym zawsze celom swego przeznaczenia, a nie gwadza się, gwajdli i gwędoli pod nim z zaprzepaszoną ludzką godnością i wolą w strzępach, jako nędzna ofiara podłego mechanizmu, nakręconego żółkłymi łapami najpodlejszego z diabłów, tego „od nikotyń”. Coraz więcej będzie chwil takich i po pięciu lub sześciu dniach wahań, po okropnym kryzysie „bezsensowności Istnienia w ogóle”, na szósty (lub u niektórych na dziesiąty) dzień czuje się, że pierwsza podstawa jest zbudowana — że jest nieomal dobrze. Nie dać się skusić tej „dobroci” i rznąć dalej — oto zadanie. Wyrobić w sobie to poczucie obowiązku dążenia do doskonałości — złe samopoczucie powinno być w tym stanie uważane za luksus, na który nas nie stać i koniec. A z chwilą kiedy to uczucie (a jest o nie w stanie NP o 100% łatwiej niż w P, nie mówiąc już o II) się zjawi, można uważać palacza za prawie uratowanego. Zadowolenie ze zdobywania nowych obszarów ducha, nie zamroczonych odurniającym, kretynizującym, jełopizującym dymem, staje się nieludzką rozkoszą, której szanujący się osobnik (nawet stosunkowo dość bydlakowaty i głupi) wyrzec się już nie jest w stanie. A teraz zwierzenia ze stanu niepalenia NP dzień po dniu, pisane na gorąco, zupełnie szczerze, bez żadnej propagandystycznej przesady:

NP<sub>1</sub> = Bydlęca rozkosz istnienia. Zanik dość znaczny (chwilowy, jak to wiadomo z doświadczeń uprzednich) intelektu. Wściekły apetyt i senność. Wzmrożona odczuwalność w stosunku do wszystkiego — tak ujemna, jak dodatnia. Przewyciężenie rannego pesymizmu bez P dało wiele zadowolenia.

NP<sub>2</sub> = Chwile dzikiej rozkoszy z powodu „oczyszczenia się”. Wzmrożone uczucia metafizycznego nienasycenia. Chwilami dzika chęć zapalenia w celu uwolnienia się od pewnego smutku przemijania. Lekka nieobecność samego siebie w świecie. Zwężenie ogólnopsychicznego pola widzenia daje pewien optymizm, zresztą nieistotny, ale dobry na pierwsze dni NP. Całe życie na P stopione w jedną pigułkę. Występują z niebywałą wyrazistością wspomnienia bardzo dawnych okresów na NP.

NP<sub>3</sub> = Daleko krótszy okres porannego zniechęcenia. Krótkie okresy dość silnej rozpaczycy niczym nie usprawiedliwionej szybko zostają zatłamszone narastającą chęcią życia. Chwilami potworny nonsens wszystkiego na NP kusi do palenia: cóż bowiem jest ten skromny dymek wobec *tego*, że i tak wszystko sensu nie ma. Ale poczucie dalszego dystansu i możliwości rozwiewa te pokusy. Dzika rozkosz czystości wewnętrznej potęguje się ku wieczorowi. Daleko większa zdolność przystosowania się do zmiennych warunków i niespodzianek.

*Nota dra D. Prokopowicza.* Często spotyka się ze zdaniem, że papieros ułatwia skupienie myśli przy pracy umysłowej. Zdanie to jest tylko pozornie słuszne, gdyż w rzeczywistości sprawa ta przedstawia się w sposób następujący:

W normalnym stanie światło świadomości oświetla dużo przedmiotów naraz, tak że z jednej strony potrzeba pewnego wysiłku woli, aby skupić uwagę na jednej rzeczy, z drugiej strony — gibkość myśli ułatwia nieoczekiwane skojarzenia. Zaciągnięcie się papierosem przykręca niejako lampę świadomości, toteż oświetla ona mniejszy krąg: co przedtem było w półmroku — teraz tonie w ciemności. Wskutek tego łatwiej jest — wobec mniejszego wyboru przedmiotów — skupić uwagę na jednej rzeczy (na tym więc polega ułatwienie skoncentrowania uwagi), ale z drugiej strony w tej zadymionej atmosferze

Światło

<sup>40</sup>*wo czto by to ni stało* (ros.) — co by się nie działo.

<sup>41</sup>*coute que coute* (fr.) — za wszelką cenę.

kontury rzeczy stają się zamglone i obrzmiałe, ztraca się świeżość i ostrość widzenia, zleniwiała myśl asocjuje z trudem i na niedaleką metę.

## ALKOHOL (C<sub>2</sub>H<sub>5</sub>OH)

Tyle o tym nieszczęsnym alkoholu jest już napisane, że niedobrze się robi, gdy się w tej sprawie „dotyka pióra”, jak mówił (negatywnie zresztą) w pewnym wywiadzie Ferdynand Goettel<sup>42</sup>. Cóż robić — coś powiedzieć w tej materii trzeba, gdy się wypilo w przeciągu piętnastu lat „niemało” hektolitrów tego płynu i posiada się taką wiedzę co do jego tak dodatnich, jak i ujemnych skutków.

Jestem za absolutną prohibicją<sup>43</sup>, ale muszę przyznać, że czasami, mimo że można by się ostatecznie bez niego obejść, alkohol załatwia mnóstwo nieporozumień, tak wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Według mnie powinien jedynie być dozwolony, do czasu, artystom i literatom, którzy wiedzą z absolutną pewnością, że w krótkim czasie mogą się „wyprztykać” i że bezwzględnie bez pomocy alkoholu nic by wartościowego nie stworzyli. Ale ten problemat wobec nieistotności literatury, która zaczyna kończyć się w naszych czasach (o czym obszernie gdzie indziej), i końca sztuki, który nawet zdaje się dla największych gigantów optymizmu przestaje być mitem<sup>44</sup>, traci także na swej — pozornej już — jadowitości. Co komu po tym i czy warto, aby nawet artyści truli się narkotykami, wobec tego, że ich ostatnich podrygów formalnych nikt już naprawdę nie potrzebuje. A w innych sferach jeśli nie doraźnie, to w każdym razie na przestrzeni już paru lat daje alkohol skutki psychiczne tak ujemne, że odruchem każdego szanującego się człowieka i społeczeństwa powinna być absolutna (nawet małe piwo wykluczone!!) abstynencja i prohibicja. I niech nie gadają alkoholicy tzw. „umiarkowani” (najgorszy gatunek) o zwiększeniu potrzeb na inne narkotyki, o „zdrowotności” małych dawek, o konieczności używania sfalszowanych produktów itp. bzdurach. W ten sposób żadna wielka idea nie byłaby nigdy wprowadzona w życie. Tylko ostre postawienie kwestii przez małą grupę ludzi umożliwia powolne filtrowanie się przemian w bezwładne cielska społeczeństw. Ale następnie tylko zorganizowana akcja może utrwalić choćby w części dobre skutki i rozpuścić skoncentrowaną ideę w rozczyń, z początku słaby, którego siła będzie jednak wzrastać stale, w miarę ciągłego, wytężonego działania. Umiarkowanie postawiona kwestia skazana jest z góry na zagładę. Świat posuwa się naprzód (względnie w tył w pewnych sferach) skokami i bez rewolucji w najszerszym znaczeniu bylibyśmy dotąd w okresie totemizmu, magii i ludożerstwa. Może bylibyśmy szczęśliwsi — kto wie? Ale jeśli już raz społeczeństwo zgnębiło indywiduum, to powinno je dognębić szybko do końca. Kłamiwy okres demokratycznych pseudoswobód ma się ku końcowi. Pojęcie demokracji było ostatnią maską dla ginących dawnych wartości w stanie rozpadu. Dlatego uważam, że mimo iż Europa jest nerwowo roztrzęsiona i zniekształcona wojną i mimo kryzysu, który to wywołać na czas pewien może, powinno się dążyć do zupełnej prohibicji na tle psychologicznego, a nie fizjologicznego uświadomienia wszystkich obywateli. Nawet jeśli na razie umiarkowany alkoholizm może mieć pozornie dodatni wpływ w kierunku bezbolesnego zmechanizowania ludzkości, okupione to będzie depresją, której skutki trzeba będzie zwalczać przez setki lat, podczas gdy abstynencja da się osiągnąć za cenę moralnego i fizycznego jednorazowego wstrząsu jednego pokolenia.

Faktem jest, że przy pomocy alkoholu da się dokonać w danej chwili czynów, których by się bez użycia go w tej właśnie chwili nie dokonało. Chodzi o to, czy w danym fachu i przy danej strukturze psychicznej warto ryzykować ruinę w przyszłości dla pozostawienia po sobie działania czynów i tworów, które ostatecznie można by osiągnąć przy większej pracy i wysiłku bez tej pomocy.

Zdaje się, że naprawdę jedyną sferą, w której *jeszcze* (zwracam uwagę na to *jeszcze*) problemat ten ma pozory istotności, jest twórczość artystyczna i literacka. Bo osta-

<sup>42</sup>Goettel, Ferdynand (1890–1960) — pisarz i dramaturg.

<sup>43</sup>To znaczy tak co do wina, jak i piwa. Alkoholicy urodzeni „wódczani” będą pić piwo i wino tylko w szalonych ilościach. A reszta rozpije się też powoli, podlegając *jeszcze* powolnym skutkom działania ubocznych składników tych napoi, prócz zatrucia samym alkoholem. Zresztą piwo i wino w 95% to tylko wstęp do „stiff-drinków”, czyli po prostu wody. [przypis autorski]

<sup>44</sup>Przepowiedziany został przeze mnie *jeszcze* przed wojną w r. 1912 w pracy niestety (?) nie ogłoszonej, która weszła potem w pewnej transformacji w książkę *Nowe formy w malarstwie...* [przypis autorski]

tecznie rzecz biorąc to, czy się dany „pismak” czy „artystyczny błazen” (bo tak musimy określić ten zanikający rodzaj *ci-devant*<sup>45</sup> pracowników umysłowych w stosunku do wielkości przemian społecznych) skończy wcześniej czy później, mała będzie stąd pociecha czy zmartwienie, tym bardziej że nigdy (w przeciwieństwie do innych sfer działalności) nie będziemy mogli przewidzieć, czego by mógł jeszcze dokonać i czy skończył się we właściwym czasie. Sferę tę cechuje fantastyka psychologii, nieobliczalność i nerwowość — występuje w niej pierwiastek tzw. „natchnienia”. Mówię to bez oczu wzniesionych w górę, zupełnie po prostu — natchnienie jest faktem, i to faktem tak samo pod pewnymi względami zwykłym, jak jedzenie i picie. Tyle tylko, że nie można poznać dokładnie warunków jego powstania — czasem nawet jeden kieliszek wódki może być przyczyną stworzenia rzeczy naprawdę wielkich jako *point de declenchement*<sup>46</sup> (nie ma na to polskiego słowa — a szkoda). Wszystko zależy od dystansu, na jaki jest zamierzone dane życie i dana twórczość. Zwracam tylko pewnym ludziom uwagę na przykry wypadek: oto można uważać siebie za krótkodystansowca i zniszczywszy się gruntownie przedwcześnie i nie dokonawszy obiecanych sobie i innym dzieł znaleźć się wobec szalonych pragnień na dalszy dystans i nie mieć już wtedy ani dość siły, ani odpowiedniej organizacji wewnętrznej dla ich spełnienia. Natchnienia też nie łowi się przypadkiem, poza pewnymi granicami, w których ono narzuca się samo. Jeśli ktoś w przerwach od chwil takich będzie tylko pił, uganiał się za dziewczynkami, siedział w kinie lub na dancingu, zmarnuje w sobie ten dar bardzo szybko. Jedyna rzecz dla artystów i literatów to wypełnianie chwili pustki twórczej intelektualną pracą. Ale mało kto dzisiaj to robi. Ich to nudzi, biedaków — wolą się bawić; ale niedaleko zajadą w ten sposób. Widać to już na poprzednim pokoleniu, a ci „najmłodszy” trwonią swe siły zdaje się w jeszcze szybszym tempie i alkohol wraz z nikotyną nie jest w tym procesie bez przyczyny. Ale mniejsza o nich — to jest rasa wymierająca. Mogłaby wymrzeć w trochę piękniejszych i potężniejszych formach — trudno. Lecz jeśli chodzi o wszystkich innych działaczy i pracowników, to musimy oświadczyć się bezwzględnie przeciw alkoholowi. Ja sam do trzydziestego roku życia nie piłem prawie nic. Później czasami używałem alkoholu przy pisaniu pierwszego szkicu rzeczy scenicznych. Bynajmniej nie pisałem po pijanemu — tylko wskutek chęci szybkiego naszkicowania całości musiałem się wzmocnić paroma wódkami, po prostu dla dodania sobie sił. Powieści moje, wbrew mniemaniu niektórych, są kompletnie „*narkotik — und alkoholfrei*”<sup>47</sup>. Rysowałem zaś po pijanemu, to przyznaję, i to nie tylko po pijanemu, ale eksperymentowałem ze wszystkimi znanymi narkotykami i mimo że stanów tych jako takich nie uznaję, w portretach w tych właśnie stanach robionych dokonałem na bardzo małą skalę rzeczy, których bym jednak bez tego nigdy wykonać nie potrafił. Zaznaczę tylko, że nie uważam prac tych za skończone dzieła sztuki, ale za coś w swoim rodzaju zupełnie odrębnego. Portret jako taki jest psychologiczną zabawą przy pomocy artystycznych środków, ale nie dziełem sztuki — mógłby nim być oczywiście przy pewnych warunkach, jak i trzy jabłka na serwecie czy walka byków. Ale dość o tym — nudne to jak cholera — ani sztuką, ani teorią nie myślę się więcej zajmować.

A więc któż nie zna dziwności pierwszych chwil poznania się z alkoholem. Nie będę wdawał się tu w analizę tych momentów, aby nie zachęcić kogo do ich zakosztowania. Wciągnięcie się w alkoholizm postępuje daleko szybciej niż przyzwyczajenie się do nikotyny. Byłem pijakiem bardzo początkującym, ale wiem coś o tym. Alkohol działa potężniej niż nikotyna — dodaje tzw. „skrzydeł” myśli i uczuciom. Wszystko zdaje się łatwym i bliskim, po najtrudniejsze rzeczy, wydaje się, że trzeba tylko sięgnąć. Sięga się i nawet za pierwszym, drugim razem coś w tej ręce zostaje. Sięga się trzeci raz i czwarty — zostaje coraz mniej. Ale przyjemność łatwego sięgania jest wielka i tak się szybko człowiek „wysięga”, że potem nie zostaje mu nic, a sięganie trwa dalej i ogranicza się tylko do zamiarów. Alkoholicy żyją zamiarami — przestają oceniać obiektywne wyniki swych własnych, pozornych wysiłków. Bo wysiłek jest pozorny i za każdym razem spuszczenia się na pomoc „przezroczystego płynu” osłabia się zdolność dokonania prawdziwego aktu woli, który stwarza podstawę do dalszego działania. Alkohol tę podstawę niszczy,

<sup>45</sup>*ci-devant* (fr.) — dawny, były a. z dawnych czasów (pierwotnie o szlachcie trzymającej się sposobu życia sprzed Rewolucji Francuskiej).

<sup>46</sup>*point de declenchement* (fr.) — punkt początkowy, punkt odbicia.

<sup>47</sup>*narkotik — und alkoholfrei* (niem.) — wolny od alkoholu i narkotyków.

przyzwyczajając nałogowca do zastępowania autentycznej woli przez protezę. O ile nikotyna jest tylko środkiem pomocniczym, dopinguje, ale ostatecznie wykonać trzeba wszystko samemu, o tyle alkohol daje *złudzenie* stwarzania i w tym leży jego wyższe niebezpieczeństwo. Jest to jednak tylko złudzenie: pozwala on kombinować dany materiał, ale nie stwarza rzeczy nowych, chyba tam, gdzie w grę wchodzi kwestie techniczne, po prostu zręczność rąk (czy innych członków) przy szybkim rysunku (i to specjalnie przy rysowaniu z natury), improwizacji np. fortepianowej, przy grze w bilard (małe dawki!!), w tańcu improwizacyjnym i innych mniej szlachetnych czynnościach. Ale bezwzględnie zgubnym jest wszędzie tam, gdzie chodzi o operowanie pojęciami. Ułatwia połączenia — może pomóc do skonstruowania *ad hoc* humorystycznej mowy np., ale nie pomaga tam, gdzie chodzi o sprawność ośrodków najwyższych, przy komponowaniu poezji, dramatów i powieści, wszystko jedno, że dwie pierwsze istności są dziełami sztuki, a trzecia nie — materiałem ich są pojęcia. Uczuciowe skojarzenia następują szybko i bez wysiłku i często z nich jeszcze, jako z materiału, dadzą się wyrobić na trzeźwo wyższe wartości, ale jeśli chodzi o samo „koncypowanie”, działanie alkoholu jest złudą, szczególnie dla typów schizoidalnych. Jeszcze pykniek łatwiej sobie poradzi z krótkim spięciem mózgowym, na tle zwalów lipidów, którymi są obłożone jego nerwy i gangliony. Ale dla początkującego nawet „schyzia” alkohol jest zabójczy. Obnaża nerwy, które wprawdzie drygają i dygocą, ale jak części jakiegoś rozklekotanego gruchotu, a nie zdrowym tętnem potężnej maszyny. Ale przyjemność doraźna jest większa — alkohol usuwa nudę, tę integralną część prawdziwie wielkiej twórczości, bawi zbyt samym aktem tworzenia, a nie daje skontrolować wyników przez ogólnie optymistyczny ton całości procesu — dotyczy to nie tylko pracy, ale wszystkiego. Nie pozwala on bowiem widzieć ujemnych stron żadnego zjawiska, pozbawia krytycyzmu, każe się zachwycać najbezpieczniejszymi bzdurami, zmusza do widzenia utajonych konstrukcji tam, gdzie jest śmietnikowy chaos, dezorganizacja i zgnilizna. Stąd jest alkohol przyczyną powstawania psychologii „nie uznanego geniusza”, tak rozpowszechnionej szczególnie u nas i w Rosji, może właśnie wskutek nadużywania tego trunku. Wszystko to są skutki alkoholu, rzecz by można, dodatnie, ale chwilowe. Nikotyna słabą daje reakcję — alkohol wprost potworną. Jako lekki na razie objaw abstynencji powstaje nazajutrz tak zwany „*katzenjammer*”, czyli po polsku „głątwa”. Na niej to można oglądać w zarodku stan końcowy, który u niektórych występuje już w rok lub dwa od chwili zaczęcia nadużywania alkoholu, zależnie od siły systemu nerwowego i innych organów. Ten stan musi być zalany nową dawką, jeśli nie natychmiast (co czasem, jeśli dawka nie jest zbyt wielka i nie jest początkiem nowego chłania, jest korzystne), to po pewnym czasie. Gdyż zatrucie takie trwa trzy do czterech dni, a w następstwie nawet po minięciu objawów ostrych wywołuje charakterystyczną nudę alkoholików: wszystko zdaje się nie to, horyzont daleki jest zagwazdrany, poczucie, że cokolwiek się zacznie, musi skończyć się klęską, zgniły pesymizm, wrażenie krótkości życia, nic nie warto zaczynać — e, co tam, pięć lat będę krócej żyć i być — po jednym — zwykle ktoś przyjdzie w tym samym stanie, co ułatwia znacznie rozpoczęcie nowej serii i koniec — dany osobnik znajduje się już na pochyłości. Znowu wracają dawne złudzenia: nie jest wcale tak źle — od jutra zacznie się nowe życie, przecież się nie będzie więcej pić. Chodziło tylko o zobaczenie tego, co jest na dnie. Jest tam jeszcze coś, więc oczywiście pod wpływem wody burzy się to i bulgoce, i przewala się, i zwykła kałuża codzienności zdaje się groźnym, wspaniałym morzem, a pływające po niej odpadki imitują wielkie okręty, wiozące skarby ku nieznanym brzegom. Mało kto zatrzyma się po trzech kolejkach. Przeważnie (jest to typ pijaka rosyjskiego) dojeżdża się do *samego* dna, nie zadawalniając<sup>48</sup> się wzburzeniem powierzchni swego bajorka. Tam następuje przejrzanie pustki i konieczność chłania dalej, aż do zupełnej zraty wszelkiej oceny, aż do plugawego, tragicznego taplania się we własnym nieudaniu się, w którym następuje ostateczne zadowolenie. Jedni piją właśnie te „parę wódeczek” i potem coś jeszcze w ogóle robią — jest to typ na dalszy dystans niebezpieczniejszy — są to kandydaci na alkoholików codziennych. Inni zachlewają się na całego i muszą zrobić parę miesięcy, tygodni, potem dni przerwy. Ale ostatecznie dwie te „linie rozwojowe” konvergują<sup>49</sup> ku wspólnemu

Melancholia

<sup>48</sup>zadawalniać — dziś popr.: zadowalać.

<sup>49</sup>konwergować — zbiegać się.

kierunkowi — pierwsi zwiększają dawkę „paru wódeczek” do dwudziestu, trzydziestu i więcej, tamci zmniejszają interwały większych tak zwanych „stuknięć”. Oba grozi ten sam wynik: zidiocenie, zanik woli, niemoc, niemożność wszelkiego czynu. Oczywiście na to mi powiedzą optymiści, że mieli „wujka”, który umarł jako czerstwy, różowy staruszek lat dziewięćdziesięciu dwóch, który codziennie do obiadu i kolacji chłwał „literatkę” *vel* „angielkę” czystej wody, albo babkę, która zakrapiała się od rana „ziólkami”, czyli wchlewała co dwie godziny jedną małą wódeczkę zabarwioną jakąś, nieszkodliwą zresztą, trawką. Ale tym znowu odpowiem: wyjątki nic nie znaczą, a staruszek byłby może jeszcze czerstwiejszy, a babka nie umarłaby w wieku osiemdziesięciu pięciu lat, tylko stu. Ludzie starsi twierdzą często, że za długo żyją — więc może lepiej byłoby, gdyby chłali? Kto wie? Nie będę tu roztrząsał tych problemów neo-pseudo-maltuzjańskich. W Australii zjada się starców i zbyteczne dzieci z powodu życia koczowniczego i bezmieszkaniowego tamtejszych, wymierających z degeneracji, plemion. Etyka jest kwestią względną — polega na stosunku indywidualium do grupy społecznej, zależnego od tysiąca czynników zmiennych. A zresztą ta zasada nieszkodliwości alkoholu stosuje się tylko do ultrapykników inie może być brana pod uwagę, gdy chodzi o tonus<sup>50</sup> i tętno całego społeczeństwa, mimo że według mnie pyknicy zaczynają brać w ogólnym rozwoju górę nad podupadającymi schizoidami, których perihelium<sup>51</sup> przeszło pod koniec osiemnastego wieku. Przeczytajcie w ogóle Kretschmera, czytelnicy — dobrze wam to zrobi, mimo że krytyk, p. Furmański, woli i zaleca nawet *Dzikuskę* (czyje to jest, nawet nie wiem), po przeczytaniu mojej powieści, która za cel uboczny powinna mieć zachęcenie ogółu do większego przeintelektualizowania codziennego dnia nawet.

Otóż wracając do alkoholu: alkohol jest *nudny*. Wiedzą o tym ci, którzy zaczęli go choćby z lekka nadużywać. Daje z początku iluzję nieskończonych obszarów ducha, które przy jego pomocy zdobyć można. (Nikotyna jest też nudna, ale przynajmniej nic prawie nie obiecuje.) Wydaje się po pierwszych (w życiu w ogóle i następnie na początku „popojki”) kieliszkach, że kryją się w alkoholu niesłychane, odkrywczcze właściwości. Jedyne łatwość kombinacji znanych elementów daje niedoświadczonemu pijakowi to złudzenie. A gdy pozna, że był oszukany, często bywa już za późno, aby zawrócić z raz powziętego kierunku. Z rozpaczą w sercu gna dalej po pochyłości upadku, zalewając strach przed zidioceniem i tą specyficzną ponurością stanów abstynencji nowymi dawkami „wody ognistej”, potęgując dozę, aby wrócić do pierwszych chwil ekstazy. Na próżno. Jak każdy narkotyk czy ekscytans<sup>52</sup> alkohol ma swoje granice. Poza pewną dawką nie da już chwil pierwotnego upojenia, którym wciągał nieszczęśliwca w swe, wątpliwej wartości, że tak powiem popularnie, sezamy. Przychodzi kres podniecenia — rozpacz może być pokonana jedynie ogłupieniem. Ale nawet w okresie swej największej „interesującości” alkohol może być powodem zupełnego wykrzywienia życia, skierowania go na jakąś lokalną bocnicę albo nawet na ślepy tor, zaraz za stacją wyjściową — i to niezależnie od złych skutków na dalszą metę, tylko z powodu ukazywania omamianemu jego uczuć, przeżyć i ludzi (a nade wszystko stosuje się to do kobiet) w zupełnie fałszywym świetle. I często takie zboczenie z drogi pod chwilowym działaniem C<sub>2</sub>H<sub>5</sub>OH ma potem znaczenie dla całego życia i może spowodować dalszy programowy alkoholizm, jako jedyny środek na odprowadzenie ciosów losu, nie mówiąc już o potwornych klótniach, zabójstwach itp. rzeczach, o których tyle się już napisało. Ale to są zjawiska końcowe albo wyjątkowe. Mnie chodzi o oświetlenie samych początków nałogu, w którym się one kryją, i ukazanie tych stanów „głatwowych”, w których można obserwować je w zarodku. Jednorazowe upicie się, a nade wszystko następująca potem „głatwa” są często miniaturowym odbiciem całego zmarnowanego później beznadziejnie życia.

A więc dalej: do pewnego punktu tylko podnieca alkohol wyobraźnię i pozornie stwarza nowe kombinacje pojęciowe, wytwarza fluid porozumienia między niezgodnymi w istocie typami i ułatwia uczuciową zgodę, potęgując czasem pewne rozmowy i przeżycia do granic ekstazy w chwili działania. Zawsze po ocknięciu się z zachwyty, a szczególnie w czasie następującej nieuniknionej „głatwy”, widzi się bezwartościowość przeżytych stanów i wypowiedzianych słów — niestety często bywa za późno, aby się cofnąć, i pije

<sup>50</sup>tonus — stałe napięcie mięśni, pozwalające utrzymać postawę.

<sup>51</sup>perihelium — punkt na orbicie najbliższy Słońcu.

<sup>52</sup>ekscytans (z łac.) — środek pobudzający.

się potem znowu, aby powrócić do „sztucznego raj”, w którym zanika poczucie bezsensu wszechświata i wszystko zdaje się koniecznym w swej doskonałości, jak elementy prawdziwego dzieła sztuki związane formalną koncepcją ogólną. Tej złudnej formy używa często bezforemnej miarzdze życia kłamliwy pocieszyciel — alkohol. Forma ta ginie jak mgiełka wraz z oparami spirytusu, mimo że przed paroma godzinami zaledwie miała pozory żelazobetonowej konstrukcji — rzeczywistość rozwiera na nas swą galaretowatą, śmierzącą paszczę i wlepia w nas szydercze, rozlazłe z dzikiej rozkoszy nabrania oczy — wszystko to skarykaturowane do potworności pod wpływem ogólnego odwartościowania i sflaczenia wewnętrznego na skutek poalkoholowej „głatwy”. Ale zawsze jeszcze do czasu przy pomocy zwiększonych dawek trucizny można powrócić do dawnej ekstazy i mieć choćby marne złudzenie życia. Z „popojek” zostają jednak wspomnienia lepszego świata, mimo że w okresach abstynencji coraz trudniej można zrealizować wyniki tzw. „złudnych wzlotów” w niezmierną zaiste doskonałość. Zniechęcenie, złość o byle co, fatalne traktowanie najbliższych i najzyczliwszych, nawet najukochańszych ludzi, niemożność skupienia uwagi, ciągłe szukanie byle jakiego towarzystwa, niepokój kwaśny i gorzki, bezsenność w nocy i ciężki sen poranny, z którego trudno się przebudzić, zamiast radości przebudzenia lęk przed życiem, zanik odwagi tak cywilnej, jak i wojskowej i ciężar niezdolności w głowie przy jakim bądź intelektualnym wysiłku — oto pierwsze objawy (słabe na razie) zbliżającego się końca pierwszego aktu tragedii. Wtedy jeszcze można bez wysiłku zawrócić. Ale któż to wykona. Durnie są wszyscy na tym punkcie, nawet najrozumiejsi spośród was — widok przerosłej wątroby jeszcze was nie straszy. Objawy takie należy „zalać” — to jest wasze jedyne wyjście. Ale potem (okres ten pierwszy jest indywidualny co do długości — u jednego może trwać rok, u drugiego dwadzieścia lat) przychodzi czas, że dawka alkoholu, którą organizm znosi bez ostrego zatrucia, przestaje wystarczać dla pokonania wymienionych wyżej stanów. Gorzej: po krótkim czasie, w którym występują objawy alkoholicznej nudy, tak tragicznym dla prawdziwego, przywiązanego naprawdę do swego ulubionego płynu alkoholika (czuje on się wtedy jak zdradzona kochanka co najmniej), następuje okres spotęgowania złych stanów pod wpływem nadużycia C<sub>2</sub>H<sub>5</sub>OH. Jest to czas, w którym bezwzględnie należy przestać pić, gdyż dalsze brnięcie w nałóg grozi już nie tylko coraz gorszą „głatwą” i pomniejszych cierpieniami otoczenia, ale także odpowiedzialnością karno-sądową za różne, nie tylko moralne, uszkodzenia otoczenia. Rozpoczyna się okres złości — alkohol dojechał do dna, na dnie zaś jest pustka stworzona przez ciągłe życie z kapitału, zalewany systematycznie upadek ducha i zdawanie się na rozwiązanie tych problemów przy pomocy „paru wódeczek”. Alkoholik już pod wpływem paru kieliszków staje się zły. Znikły dawne „kordialne” przeżycia i idealizacja ludzi i świata pod wpływem zalania ganglionów straszliwą cieczą. Wszystko, co najgorsze, wychodzi z człowieka, który przecie jest tylko tresowanym bydlęciem i niczym więcej. Rolę pogromcy odgrywa społeczeństwo, które nawet wbrew daleko sięgającym swym instyktom (to twór, który ma swoje formalne instynkty od najdawniejszych czasów, od epok totemicznych klanów począwszy) toleruje umiarkowany alkoholizm dla doraźnych celów uspokojenia metafizyczno-bydlęcych stanów swoich „obywateli”. A więc przyjaciele zamieniają się na wrogów, których złe traktowanie zaczyna się od mówienia im tzw. „gorzkich prawd”, których dla ich dobra jedynie nie szczędzi im zagorzały pijak, pozorny obrońca prawdy i wróg wszelkiego zakłamania się, on, zakłamany po uszy przez swój nałóg, nieszczęsny ochłap człowieka, nie mający prawa spojrzeć w oczy trzeźwemu indywidualium. Najświętsze uczucia przetwarzają mu się w symbole upadku, nie oszczędza najbliższych, a nawet oni stają mu się głównymi przyczynami jego nieszczęścia i rozkładu. A więc przede wszystkim cierpią Bogu ducha winne często (nie zawsze) kobiety. Traktuje je pod psem, do bicia (i ubicia) włącznie, przekonany o swojej bezwzględnej wyższości. A potem idzie społeczeństwo, które zabiło „wielkiego indywidualistę”. I tego rodzaju objawy zdarzają się nie tylko u nędzarzy, ale na szczytach społeczeństwa, w czasie nawet obiektywnego powodzenia. Bo zrodzona z alkoholu megalomania i egoizm nie znają granic swego nasycenia. Wójt małej wsi nie nasyci swej żądz panowania, póki nie stanie się co najmniej królem syjamskim, mały gryziopiórek musi być wielkim i sławnym na cały świat pisarzem, byle oficerek — wielkim wodzem, na którego tupnięcie buta muszą ginąć miliony ludzi, mała świnka biznesowa — wielkim transaktorem

Duma

wszechmamy, który dopiero wtedy obsypałby ludzkość dobrodziejstwami. Świat jest za mały dla takiego pana. On chciałby wszystko pożreć, wszystko wyrzygać i jeszcze raz pożreć, a zamiast zębów w paszczy ma tylko plugawy ozór i jadowitą ślinę, którą z zawści opluwa wszystko to, co jeszcze niedawno mogło być dla niego świętością, a dziś jest tylko przedmiotem niezdrowej żądz zblazowanego impotent. Najmniejsze objawy podobnego rodzaju, które można obserwować od najgorszych, narożnych szynków (koniecznie narożnych — szynczki lubią rogi) aż do pałaców i miejsc posiedzeń największych mogolów i główniarzy rządzących danym krajem, powinny być ostatnim sygnałem dla alkoholika, aby bezwzględnie pić przestał i przez męczarnię kilkumiesięcznej abstynencji wyrwał się z macek ssącego go polipa. Ale on zna jeden tylko ratunek: zachlanie się aż do zupełnego skretynienia, o ile przedtem nie dobierze się do niego prokuratura. A potem jest już koniec. Wyleczony, może nawet taki łachman nieszkodliwie żyć — niczego ani dobrego, ani złego nie dokona — jest już pełnym flakiem, chyba że jest artystą (brrr!). Wtedy może jeszcze na gruzach swej jaźni dokonać ostatniego interesującego szpryngla w nicłość. Ale są artyści, którzy się niszczą twórczo, i są tacy, którzy zapijają tylko własną nicość, prócz dziwnego gatunku takich, którzy się sami jako ludzie w związku ze swoją twórczością tworzą.

Co do wydajności pracy w stanie alkoholizacji, to stanowczo na razie będzie ona większa. Ale alkohol daleko bardziej zużywa ośrodki nerwowe niż nikotyna i reakcja następująca po takim zużyciu będzie tak wielka, że na dalszy dystans nie opłaca się bezwzględnie. Jest mnóstwo innych środków, które mogą w nagłej potrzebie wykonania w danym, krótkim czasie gwałtownej i wymagającej ciężkiego umysłowego czy nawet fizycznego wysiłku pracy zastąpić zupełnie zabójczy, przezroczysty płyn, nie wywołując następnie ochłapnięcia<sup>53</sup> zmęczonych centrów, a nade wszystko nie wytwarzając przyzwyczajenia: kola (szczególniej przy kombinacji wysiłku fizycznego z umysłowym), strychnina, a nade wszystko glicerofosfat czy fosfit. Wszystkie te środki wypróbował autor osobiście ze znakomitym skutkiem. Są one nieszkodliwie dopingujące, a preparaty fosforowe odżywiają po prostu odfosforzone pracą gangliony<sup>54</sup>, nie wywołując żadnego podniecenia. Oczywiście używanie ich stałe musiałyby też doprowadzić do skutków ujemnych — niemożności wysiłku bez podniety zewnętrznej. Mowa jest tu o wypadkach nagłych, z których wyrwać trzeba z minimalną szkodą dla organizmu. Poleca się też wymienione specyfiki dla ludzi odzwyczajających się od palenia i picia. Praca „pod alkoholem” jest gospodarką rabunkową na krótki czas — a występująca potem niezdolność wysiłku bez podniety zewnętrznej mści się w sposób potworny i wplątuje nieszczęsnego pracownika, chcącego oszukać najistotniejsze prawo funkcjonowania jego maszyny, w to błędne koło, z którego nie ma już innego wyjścia, jak zachlanie się na śmierć lub, co gorzej, do obłądu. Stany obłądowe, tak podobno przykre w rozwiniętej formie, można obserwować w elegancko wykonanym, miniaturowym wydaniu w stanie lekkiej choćby „głątewki” po małej, rozkosznej „popojce”. Drżenie całego ciała, które nie wiadomo, czy kończy się na ciele — są to raczej drgawki duszy, nie mogącej pozbierać do kupy zdyslokowanych części, niemożność mówienia — jakieś miamlanie bez związku, którego człowiek wstydy się, lypiąc dookoła bolesnym wzrokiem, jakby szukał ratunku w nieczułym dookolnym świecie. Nieokreślony lęk przed jakimiś potwornymi klęskami, które zdają się czaić zza każdego węgla (koniecznie węgla — coś jest demonicznego w węgle domu — nieprawda?) i który wywołuje to specyficzne oglądanie się na boki i za siebie i błędny wyraz bezradnego zakłopotania. Niepokój wywołujący nieskoordynowane ruchy — to charakterystyczne rzuwanie się gdzieś przed siebie i okłapywanie natychmiastowe w tym poczuciu, że nie ma ratunku znikąd, chyba w nowej dawce alkoholu lub w środkach uspakajających, które przecie dłużej używane (nawet najniewinniejsze: waleriana, bromural itp.) wywołują stałe ogłupienie, a w razie przestania ich zażywania — niepokój i bezsenność, na które już może nie być ratunku, chyba leczenie zakładowe, na które nie każdy pozwolić sobie może. Na podstawie wyżej opisanych objawów widać już ten stan, w którym znalazłby się alkoholik, gdyby pić przestał — widać oczywiście w niesłychanym pomniejszeniu. Zgroza przejmuje, gdy się widzi alkoholika zalewającego systematycznie ten potęgający się

<sup>53</sup>ochłapnięcie — tu: okłapnięcie.

<sup>54</sup>ganglion — zwój komórek nerwowych.



z każdą chwilą stan rzeczy, żyjącego ciągle jakby nad otchłanią najstraszliwszych stanów ducha, pokrytych cienką warstwą nikłego oparu alkoholowych złudzeń. Ale specyficzna lekkomyślność, którą wywołuje dłuższe używanie alkoholu, nie pozwala mu widzieć tej sieci lepkiej, koło której krąży beztrąsko, jak tęczowa muszka w ciepłych promieniach sierpniowego (koniecznie sierpniowego — inaczej ani rusz) słońca i w którą musi czy prędzej czy później wlecieć, by do końca życia czasem miotać się bezsilnie w jej pozornie lekkich, a w istocie mocniejszych od stalowych lin zwojach. Najstraszniejsze jest w nikotynie i alkoholu to nieznaczące, podstępne okrażanie ofiary, która złudzona dłuższy czas trwającym okresem pozornej swobody cieszy się nowymi wrażeniami i pozorami siły, nie zwracając uwagi na charakterystyczne ostrzegawcze objawy „głątowe”, nie czując, że koło zacieśnia się i że bezmierne horyzonty, które pozornie otwiera trucizna, zwężają się w czarną, cuchnącą norę, w której czatuje obłęd i rozkład. A potem nagle przychodzi świadomość grozy położenia, kiedy przeważnie jest już za późno. I mamy te tysiące czy miliony ludzi, którzy tylko „dożywają” życia do końca, nie wierząc w istocie w jego sens i sens własnej pracy i złudnych zamiarów poprawy. Społeczeństwo, w którym panuje ta psychoza tymczasowości, udzielająca się ludziom nawet nie zatrutym żadnymi jadami, nie ma przed sobą przyszłości. Wychowane w atmosferze takiej nawet zdrowe osobniki przejmują się nią i stają się niezdolne do życia.

Trudno jest przestać pić zupełnie ludziom używającym alkoholu stale, w małych dawkach, ale jeszcze trudniej tym tzw. „*Quartalsaiifer*<sup>55</sup>”, pijakom okresowym, na których co pewien czas nachodzi konieczna potrzeba zachlania się na śmierć — tak zwanego po rosyjsku „*zapoja*”. Jestem za przestawianiem gwałtownym, bezapelacyjnym. Wszelkie te stopniowe odzwyczajania się są tylko okłamywaniem siebie przez nieszczęśników nie mających siły na bezwzględne postawienie kwestii. Łatwiej jest wykonać postanowienie takie alkoholikowi chronicznemu. Periodyczny powinien na czas ataku skumulować na początku walki wszystkie środki odżywcze (fosfity) i nawet lekko uspakajające (waleriana, bromural itp.) — cel opłaci te małe nadużycia. Ale nade wszystko, o ile pali, powinien jednocześnie absolutnie przestać palić. Objawy abstynencji przy wyrzuceniu się nikotyny znakomicie pomagają przeciw jej nierównie potężniejszemu koledze, stwarzając przy tym dodatkowy motorek dla wytwarzania woli. W ogóle wszelkie programowe przemiany wewnętrzne i zewnętrzne u ludzi palących i pijących powinny zaczynać się od wyrzucenia się tych dwóch najszkodliwszych, bo najpowszechniejszych i najbardziej nieznaczenie opanowujących narkotyków. Na zupełne poddanie się kokainie czy morfinie może sobie pozwolić tylko najwyższa arystokracja wśród degeneratów. Są to poniekąd ludzie i tak, i tak zgubieni. Oczywiście walka z tymi specyfikami musi być tak samo bezwzględna jak z tytoniem i alkoholem, ponieważ mogłyby one przy dalszej degeneracji ludzkości demokratyzować się i stać się przedmiotem takiego codziennego użytku, jak „papierosik”, i „wódeczka”, te dwa pozorne niewiniątka, kryjące pod maskami przyjemnych dziewczynek zgniłe mordy najbardziej zakazanych prostytutek. Ale trochę śmieszny jest dla mnie ten wszechświatowy hałas, jaki się wytwarza dookoła arystokratycznych „białych obłędów” wobec mnożących się bez końca (szczególniej u nas, zdaje się) sklepów o zachęcających wystawach, w których zupełnie bezkarnie sprzedaje się dwie najpotworniejsze trucizny, doprowadzające do ruiny nie tylko garstkę ginących niedorodków, ale ogół społeczeństwa i jego najcenniejsze jądro, z którego ma wykwitnąć Nowe Życie. Walka, którą tu rozpoczynam, opierając się na własnych, smutnych doświadczeniach, z nadzieją osobistej poprawy i poprawy tych, którzy mnie wysłuchają, może być tylko wtedy skuteczna, o ile weźmie się do niej jakaś potężna organizacja i jeśli poprze ją państwo zamiast opierać większą część swych dochodów na powolnym truciu swych obywateli. Może pod wpływem słów tych paru cennych skądinąd palaczy i pijaków przestanie palić i pić do końca życia, ale wychowanie następnych zdrowych pokoleń będzie możliwe jedynie przy przeprowadzeniu bezwzględnej prohibicji tytoniowo-alkoholowej. *I have spoken*<sup>56</sup>. Jeszcze jedno: pijak przestający pić nie powinien stanowczo pozwolić sobie nawet na tzw. „kieszeczek winka” ani na „małe piwko” lub „porterek”. Koniec — szlus. Sam piekielnie lubię piwo tylko dla jego smaku, ale zaznaczam, że raz szklanka porteru była przyczyn-

<sup>55</sup>*Quartalsaiifer* (niem.) — pijak na co dzień zachowujący trzeźwość, co pewien czas spożywający jednak duże ilości alkoholu.

<sup>56</sup>*I have spoken* (ang.) — przemówilem.

na upadku autora po czternastomiesięcznej zupełnej abstynencji. Tylko prawdziwy tytan woli może sobie pozwolić na smakowe przyjemności na tle napojów wysokokowych. Jest to pochyłość, po której można zjechać łatwo na samo „dno nędzy”, mając już w tym kierunku pewne predyspozycje, dlatego że każdy łyk nie tylko rozsmakowuje do dalszych (nawet przy wstręcie do samego smaku wody, jak to jest np. u autora), ale świadomość niestety staje się coraz mniejsza: następuje odhamowanie, specyficzny nastrój „ostatniego razu”, tak przyjemny dla schizoidów, którzy lubią żyć w zawieszeniu między zamiarem a wykonaniem, między wstrętem a pożądaniem, na samej granicy spełnienia się najistotniejszych pragnień. Co innego te „pyknisie” — ale i tym to dobrze nie robi. Á propos: pewien krytyk mojej powieści narzekał na zbyt wielką ilość terminów psychiatrycznych, których używam. Otóż myślałem, że zdołam go (i innych też) zainteresować rzeczami, których nie znają, a poznać by powinni. Jest dla mnie skandalem, że dotąd wspaniałe, epokowe dzieło Kretschmera *Körperbau und Charakter* nie zostało, jak i wiele innych cennych książek, przetłumaczone na polski język. Rosjanie mają natychmiast wszystko, co jest wartościowym na świecie, w swoim własnym języku. Jest to coś, co doprowadzić może do ostatniej cholery, jeśli ktoś powinien coś wiedzieć, a jest ostatnim nieukiem, jak większość naszej inte- i pseudointeligencji.

Otóż mały wykład teorii Kretschmera na zakończenie. (Uwaga: niektórzy zarzucają jej, że nie obejmuje wszystkich typów, że jest niedokładna itp., i odrzucają ją zupełnie. Jest to pierwszy krok na drodze do klasyfikacji i gdyby zawsze wszyscy byli tak wymagający, to by ludzkość nie zrobiła ani kroku naprzód. Ale nasi inteligenci są bardzo wymagający, tylko nie od siebie. Uczcie się, a potem gadajcie, ile chcecie. Za mądre artykuły, za mądre sztuki, za mądre powieści. Wszystko dla nich za mądre, bo nie chcą się niczego nauczyć, psie-krwie. Weźcie pod uwagę ilość popularyzujących dzieł w Niemczech. Tam byle robociznik wie więcej od naszego niejednego filaru krytyki. A tym ciągłym obniżaniem poziomu do gustów przeciętnej publiczności danego okresu wychowujecie pokolenia kretynów, dla których i *Dzikuska* będzie za mądra. Co się dzieje z naszą literaturą i teatrem — to skandal. Ja nie przedstawiam siebie bynajmniej za ostateczny ideał mędrca, ale mogę powiedzieć, że zrobiłem nieomal wszystko, aby się na możliwie najwyższym poziomie umysłowym utrzymać. A tego nie mogą powiedzieć niektóre tzw. „filary”. Możliwe, że moja filozofia okaże się w pewnych punktach błędna. Rzeczowa krytyka to wyjaśni. Ale nawet w błędnych rozwiązaniach zagadnień ludzi piszących choćby tylko z pewnym zrozumieniem istoty zasadniczych problemów filozofii mogą znaleźć się możliwości prawdziwych odkryć dla innych, którzy potrafią znaleźć wyjście z zaznaczonych przez tamtych trudności.)

Otóż tezy Kretschmera są następujące: ludzkość dzieli się zasadniczo na dwa typy, których psychika jest ściśle związana z budową ciała. Każdy typ ma swoje dwa nieomal przeciwne bieguny. To na razie dla ogólnej klasyfikacji zupełnie wystarczy. (Druga teza Kretschmera jest następująca: szpital wariatów uważa on za szkło powiększające, przez które patrzeć można na społeczeństwo normalnych ludzi, widząc tam wszystkie typy ludzkie rozwinięte w ich ostatecznych możliwościach, aż do zupełnej karykatury.) A więc są: *astenicy* — długa, lodygowata szyja, profil trójkątny, pierś zapadnięta, duże kończyny, grube kości i wiązania, budowa szczupła. *Typ psychiczny* — *schizoid*; w ostatecznym rozwoju — schizofrenia: rozszczepienie jaźni — oddzielenie się od życia; rozdwojenie; przeciwne pragnienia. Fanatyzm, formalizm. Typy biegunowe: przeczulenie i obojętność. Artyści, twórcy religii, ludzie niezadowoleni, nienasycony, metafizycy, wielka różnorodność. Krótkie spięcia. Nagłe zmiany nastrojów. Bezwzględność. Zamknięcie w sobie. Brak silnych uczuć.

*Pyknicy*: krótkie szyje, głowa nisko osadzona w kierunku piersi, grubi, tężdy, cienkie przeguby, małe kończyny, profile dobrze wyrobione. *Typ psychiczny* — *cykloid*; w ostatecznym rozwoju — cyklotemia<sup>57</sup>: psychoza cyrkularna od manii do melancholii i na powrót. Biznesmani, organizatorzy, ludzie dążący do kompromisów, pogodzenia sprzeczności. Pogoda ducha. Stosunek do życia otwarty. „*Dusza na razpaszku*” itp. Bieguny: maniak podniecony i melancholik. Usposobienie długofaliste — zmienność łagodna o dłu-

<sup>57</sup>cyklotemia — dziś: cyklofrenia.

gich okresach. Wielkie radości i wielkie smutki. Uczuciowość. Do tego dochodzą jeszcze typy: atletyczny i dysplastyczny i kombinacje ich z poprzednimi.

Może niezupełnie dokładnie streszczam. Raz czytałem tę książkę, ale będę czytał jeszcze. Książka ta daje zupełnie nowe ustosunkowanie się do siebie i do drugich. Powinna być czytana absolutnie przez wszystkich. Może tylko jedynie muzycy, jako tacy, mogą z niej nic nie skorzystać, ale w życiu i im się przydać może.

#### KOKAINA

Zdaje się, że chyba jednym z najgorszych świństw spomiędzy tzw. „białych obłądów”<sup>58</sup>, czyli narkotyków „wyższego rzędu”, jest kokaina. Nie będę opisywał tu przyjemnych skutków tego jadu, ponieważ opis takowych znajdzie czytelnik niestety w powieści mojej pod tytułem *Pożegnanie jesieni*, która doczekała się z tego powodu krytyki aż w „Wiadomościach Farmaceutycznych”, czym nie każdy, „młody” do tego, autor poszczycić się może. Niech nikt nie myśli, że lekceważę tu ten dział wiedzy — sam w dzieciństwie, kiedy zajmowałem się chemią, marzyłem o zawodzie aptekarskim i dotąd jeszcze pozostała we mnie utajona sympatia do przedstawicieli tego fachu. Ale tym niemniej jest w tym jakaś odrobina niezupełnie „tak znowu” analitycznie zrozumiałego humoru. Otóż w artykule drukowanym w wyżej wspomnianym organie pod tytułem *Rosliny prorocze i nowy narkotyk roślinny, peyotl*<sup>59</sup> profesor farmakognozji<sup>60</sup> Uniwersytetu Wileńskiego, dr Muszyński, w te odezwał się słowa: „Miast<sup>61</sup> opisywać własnymi słowami działanie kokainy, pozwolę sobie zacytować wyjątki z jednej z najnowszych powieści polskich Stanisława Witkiewicza (czemu bez Ignacego? Poza tym muszę dodać, że w innym języku jak w polskiej powieści nie pisałem) pod tytułem *Pożegnanie jesieni* — 1927. Nie jestem krytykiem literackim (chwała Bogu!) i nie mogę opiniować o wartości tego utworu, jeśli jednak chodzi (komu?) o moje wrażenia osobiste, to nazwałbym ją powieścią plugawą. Nie wspomniałbym również o niej, by nie wzbudzać niezdrowej ciekawości, gdyby nie to, że jest to jedyna znana mi powieść polska, w której odmalowane są z niezwykłą precyzją wrażenia kokainomana. Oto treść jednego z rozdziałów tej powieści: Atanazy Bazakbal bierze udział w orgii kokainowej, poprzedzonej orgią alkoholową, u swego przyjaciela hr. Łohoyskiego i przeżywa takie wrażenia...” Tu następuje trzydziestoczworo-wierszowy dosłowny cytat z mojej powieści. (Nawiasy w cytacie z prof. Muszyńskiego są moje.) Cemu prof. Muszyński nie zacytował jakiej powieści „zagranicznej”, chociażby we własnym swym przekładzie — nie wiem. W każdym razie decyduje się nawet obudzić „niezdrową ciekawość” w czytelniku za cenę możliwości zacytowania mojego opisu wizji świata początkującego kokainisty. Gwarantuje to chyba dobroć tego opisu. Nie jestem farmakologiem i fizjologiem, ale zgadzam się z opinią prof. Muszyńskiego — opis *jest* dobry. Jeśli nie krępował się żadnymi względami w odesłaniu czytelników do mojej powieści prof. Muszyński, mogę nie krępować się i ja sam, tym bardziej że po opisie „sztucznego rajy” tam zamieszczonym następuje dokładny wykaz złych skutków przebywania w tym rajy, o którym to ustępie prof. Muszyński zapomniał, a który może odstraszyć niejednego od próbowania otwarcia złudnych sesamów „białego obłądu”. Przepraszam, że babrzę się tak długo w tym problemie, ale nie wiem, czemu fakt skrytykowania przez prof. Muszyńskiego mojej powieści (niestety niezmiernie mało tego było) jest dla mnie przedmiotem dzikiej *wprost* rozkoszy.

A więc muszę jeszcze dodać, że początkowe wrażenia od kokainy są złudne i że następnie nie wypełnia ona tych obietnic, które robi. Możliwe, że jak twierdzą niektórzy, długie używanie jej, które w 95% kończy się paskudnymi męczącymi wizjami, zupełną ruiną, obłądem i samobójstwem, daje coś innego. Jednak nie życzę nikomu próbować tego procederu na podstawie skutków nalogowego kokainizmu, które obserwowałem na paru moich znajomych. Zażyć na próbę może człowiek wyjątkowo odporny na nalogi (do jakich, wbrew opinii, muszę zaliczyć siebie samego), i to człowiek, któremu

<sup>58</sup>Wyrażenie nie moje. [przypis autorski]

<sup>59</sup>Odbitka. Warszawa. Nakładem mgr farm. Fr. Heroda, redaktora „Wiadomości Farmaceutycznych”, 1928. [przypis autorski]

<sup>60</sup>farmakognozja (z gr.) — wiedza o lekach.

<sup>61</sup>miast — dziś: zamiast.

to coś dać może w innych wymiarach, artystycznych np. Ale probowanie tego niebezpiecznego środka dla zabawy uważam za wielką lekkomyślność, a ludzi, którzy używają go niepowołanym i powiedziałbym „niegodnym” tej próby, mam za szaleńców. Niestety człowiek zakokainowany (jak każdy zresztą nałogowiec, przypomnijmy sobie te ohydne „gwałcenia” na „jeszcze jedną wódeczkę”, to zawzięte częstowanie się „papierosikami”) ma skłonność do podnoszenia wszystkich na poziom jego „*paradis artificiel*<sup>62</sup>”. I to może popełnić ktoś, który na samą myśl tę na trzeźwo wdrygać się będzie ze wstrętu i oburzenia. A jest tak dlatego, że: 1. pewne chwile kokainowego odurzenia są rzeczywiście bardzo przyjemne i bez żadnej chęci demonicznego szkodzenia komuś można chcieć mu to wątpliwe dobro wyświadczyć i 2. kokaina paraliżuje wszelkie ośrodki hamujące, zmuszając często do czynów, które nazywają się nieobyčajnymi, a którego to terminu używa prof. Muszyński w znaczeniu „niezwykły”. Oczywiście nie dowodzi to, że ja byłem zgwałcony pod kokainą przez jakiegoś hrabiego — w ogóle nie tylko przez hrabiego, ale w ogóle, powtarzam, zgwałcony nie byłem, jako że wbrew opinii do homoseksualizmu mam wstręt nieprzewyciężony. Ale przez dziwną intuicję opisałem tę scenę w powieści, kiedy w normalnym stanie nic w sobie homoseksualnego nie mający osobnik daje się uwieść człowiekowi o wrodzonej inwersji. Jak mi mówił potem pewien mój znajomy, znający monografię o kokainie Meyera, są tam cytowane realne wypadki tego rodzaju, o których nigdy nic nie słyszałem.

Niebezpieczeństwo kokainy polega nie tyle na przyjemnościach, których dostarcza, co na nieproporcjonalnie przykrzejszej reakcji, która po jej używaniu następuje. Twierdę, że ludzie, którzy stają się nałogowcami, nie starają się przy następnych użyciach tej ohydnej trucizny „dostać” znowu ekstazy, nieosiągalnej już zresztą w pierwotnej formie, tylko chcą za jaką bądź cenę usunąć gniotącą ich „głatwę”. Kokaina ma zdolność stwarzania depresji tak realnej, że żadnym sposobem nie można sobie wytłumaczyć jej pochodzenia i przez to jej unieszkodliwić. Jeszcze przy „głatwie” alkoholowej jest to w pewnym stopniu możliwe. Można odróżnić realne nieprzyjemności, które znacznie się wtedy potęgują, od samego tła rozpacz i pesymizmu ogólnego, który jest wynikiem ubocznych skutków nadużycia narkotyku. Z kokainą nie udaje się to rozróżnienie: jest się w samym centrum ohydy świata i istnienia w ogóle. Nic nie jest w stanie przekonać o tym nieszczęsnego „głatwiarza”, że ostatecznie w wyjątkowych tylko wypadkach życie jest jednym wielkim pasmem udręczeń. Najdrobniejsze przeciwności urastają do rozmiarów nieprzewyciężonych zwalów niepowodzeń, małe przykrości stają się prawdziwymi nieszczęściami, a cień terażniejszości tak zohydzonej i zdeformowanej pada na całą przeszłość, czyniąc z niej serię potwornych pomyłek i bezsensownych cierpień, myśl zaś o przyszłości w tym oświeceniu, raczej zaciemnieniu, staje się torturą nie-do-wytrzymania. Stan jest wybitnie samobójczy. Odwartościowanie rzeczy, które dotąd stanowiły jedyny cel życia, uobrzydliwienie nawet najszlachetniejszych zajęć i rozrywek, zgangrenowanie samego rdzenia istoty ludzkiej — oto zwykły kompleks wrażeń składających kokainową „głatwę”. O ile podczas trwania działania jadu, na skutek osłabienia wszelkich wrażeń ujemnych, wszystko wydaje się łatwym do spełnienia, a każde najdrobniejsze wrażenie (od sęka w ścianie poczawszy do dzieł sztuki) przesycone jest jakąś niesamowitą doskonałością, którą w normalnym stanie posiadają tylko wyjątkowo udane układy artystyczne czy życiowe, o tyle potem następuje (i to często przy potęgowaniu dawek trucizny podczas tego samego okresu zatrucia) nagłe przekręcenie wszystkich wartości dodatnich na ujemne, tylko w niesłychanie wyolbrzymionej proporcji. Ten stan rzeczy narzuca się z siłą tak straszliwą, że mowy nie ma o wytłumaczeniu go sobie jako czegoś chwilowego — jest to prawdziwy światopogląd o takiej logice struktury, wskutek zaatakowania absolutnie wszystkich sfer psychiki, wszystkich uczuć i zainteresowań, że walka z tym zdaje się być czymś nadludzkim, a wobec metafizycznej wprost konsekwencji tego gmachu ohydy logicznie bezsensownym. Albo wgryźć się w ziemię, albo kropnąć nową dawkę jadu — oto dwa jedyne możliwe wyjścia. Można ominąć je kolosalną dawką bromu czy czegoś podobnego i ocknąć się w stanie dalekim od pogody ducha i radości życia, ale w każdym razie znośnym: stanie szarej codzienności — coś jakby nastrój w poczekalni jakiegoś urzędu czy stacji kolejowej: czeka się przynajmniej na coś, a to już jest

<sup>62</sup>*paradis artificiel* (fr.) — sztuczny raj.

wiele. Kokainowa „głatwa” wyklucza nawet oczekiwanie: zasadniczym motywem stanu tego jest chęć jak najszybszego zakończenia potwornego nonsensu, jakim jest życie. Jeśli wyobrazimy sobie teraz taki stan, spotęgowany do siły ostatecznej, przypuśćmy, po kilku miesiącach używania towarzystwa „białej wróżki”, to możemy na podstawie tych danych po jednorazowych zatruciach wyobrazić sobie w przybliżeniu, co się dzieje w duszy nałogowego kokainisty, chcącego uwolnić się od bezecnego przyzwyczajenia. Poza tym wyobrażeniem nie jestem w stanie podać żadnych danych więcej, ponieważ, jak to już wspomniałem, dwa razy tylko pozwoliłem sobie na eksperyment „dwudniówki” i nigdy bym więcej na to, jak i na jednorazowe zresztą użycie „śniegu”, sobie nie pozwolił, mimo iż muszę skonstatować, że w rysunkach robionych pod wpływem kokainy w małych, dziecinnych wprost z punktu widzenia nałogowego narkomana, dawkach — i to zawsze w kombinacji z dużymi stosunkowo dawkami alkoholu — dokonałem pewnych rzeczy, których bym w normalnym stanie nie dokonał. Jeśli się jednak weźmie pod uwagę te szalone spustoszenia umysłowe, które wywołuje nałogowy kokainizm, rzecz jest niewarta po prostu funta kłaków. Chyba że ktoś uzna, że pewien charakter kreski w rysunku lub że pewna, nie dająca się inaczej dokonać deformacja twarzy ludzkiej czy harmonia barw lub układ całości jest dla niego czymś naprawdę najważniejszym, bez czego życie jego jest istotnie diabła warte. Ale myślę, że coraz mniej jest osobników, nawet między artystami, którzy by w ten sposób myśleli. Ja, który byłem do pewnego stopnia idealnie w tym kierunku predysponowany, przewyciężyłem ten światopogląd „artystycznego zatracenia się w życiu” i to powinno być ostrzeżeniem dla młodych ludzi, których może skusić tego gatunku „usprawiedliwianie” „białych obłądów”. Lepiej nie wykonać pewnej ilości pewnego gatunku zdeformowanych bohomasów niż zatracić to, co jest w dzisiejszym człowieku jeszcze najistotniejszego, to jest prawidłowo funkcjonujący intelekt. Bo pod tym względem kokaina jest jeszcze większą złudą niż alkohol. Nie tylko nie stwarza rzeczy nowych, ale nawet nie wywołuje nowych wartościowych połączeń elementów w istocie znanych. Przeciwnie — pod pozorami objawień przedstawia naiwnie zachwyconemu „śmiałkowi” rzeczy dawno dokonane, a nawet pogrzebane, tylko odświeżone, uszminkowane, wystrojone w skombinowane stare łachmany i fatalaszki, udające nowe, specjalnie dla nich stworzone suknie. Bo nawet strojów nowych nie jest w stanie stworzyć piekielna „*fée blanche*”<sup>63</sup>. Niszcząc wszelką kontrolę, nie dając żadnych naprawdę nowych stanów i ujęć metafizycznych, zmusza tylko omamionego, aby podziwiał jako cud niebywały najgłępszą i najpospolitszą rzeczywistość. Nie odmawiam tu wartości jedynej naszej rzeczywistości świata, stworzeń, przedmiotów i nas samych. Ale chodzi o wybór — są przecież jakieś kryteria wartościowania w stanie normalnym. Kokaina odejmuje możliwość sądu, pojmowania różnic i zmniejsza zdolność wartościowania: niszczy wszelkie kryteria. Zostajemy bezbronni i naiwni jak kretyni (nie jak dzieci) i podziwiamy kilka godzin jakąś plamkę na obrusie jako najwyższą piękność świata, aby potem być rzuconymi na pastwę najstraszliwszych zwątpień w samą esencję Istnienia i najpiękniejszego, najwznioślejszego życia. Z daleka tylko słyszymy w bezsilnej wściekłości piekielny chichot „białej wróżki”, szydzącej z nas i wabiącej nas do jeszcze dalszych orgii w jej piekielnym towarzystwie. Nie dać się temu — choćby za cenę porządnego otrucia bromem czy innym ratowniczym świństwem w tym rodzaju, nie dać się i zapomnieć na zawsze — a nade wszystko nie dać się skusić na ten pierwszy raz. Zbyt drogo to można okupić.

#### PEYOTL

Teraz czeka mnie zadanie specjalnie trudne: nie być fałszywie zrozumianym, co przy wątkowym stanowisku, które muszę zająć w stosunku do peyotlu, jest bardzo możliwe. Mogę być posądzonym o to, że odsądziwszy od czci i wiary trzy wyżej opisane jady, chcę udowodnić, że jedynie godnym używania jest właśnie ten czwarty i że uratowałem się od trzech nałogów przy pomocy oddania się innemu. Ludzie są bardzo sceptyczni na ten temat i poniekąd mają rację. Kiedy przy pomocy peyotlu przestałem zupełnie pić na czas dłuższy (około półtora roku), a w ogóle nie wróciłem już — przed definitywnym wyrzuceniem się alkoholu i innych trucizn, których przeważnie dla eksperymentów rysunkowych sporadycznie używałem (eukodal, harmina, czyli syntetyczna banisteryna Mercka,

<sup>63</sup>*fée blanche* (fr.) — biała wróżka.

lub tak zwane *ya-yóó*, eter i meskalina, syntetycznie otrzymany jeden z pięciu składników peyotlu) — do dawek alkoholu, których używałem przedtem, otóż w tym okresie spotykałem się często z następującymi powiedzeniami, w których zawierała się wątpliwość w zaprzestanie picia i innych procedurów, o których nałogowość byłem najniesłuszniej posądzany: a więc mówiono mi: „oto wyrzekłeś się picia, aby wpaść w nałogowy peyotlizm”, albo: „ho, ho, więc to tak: z deszczu pod rynnę” itp., itp. Otóż przede wszystkim: nie ma prawie na świecie całym nałogowych peyotlistów. Są podobno w Meksyku nieliczne, wyjątkowo zdegenerowane indywidua, które żują stale tzw. „*mescal-buttons*”, czyli kawałki suszonego peyotlu. Są to ostatnie wyrzutki spośród ginących niestety szczepów czerwonej rasy, bardzo nieliczne i widocznie tak do upadku predestynowane, że nawet peyotl, do którego przyzwyczajanie się jest niesłychanie trudnym, uczynić mogły swoim nałogiem.

Nie będę tu powtarzał rzeczy, które każdy znaleźć może w specjalnej literaturze naukowej, zaczynając od dzieła dr Aleksandra Rouhier *Peyotl, la plante qui fait les yeux émerveilles*<sup>64</sup>, aż do ostatnich badań prof. Kurta Beringera nad syntetyczną meskaliną Mercka pod tytułem *Meskalinrausch*. Opowiem tylko o moich osobistych doświadczeniach z peyotlem, który uważam za absolutnie nieszkodliwy przy sporadycznym używaniu, a dający poza niebywałymi wizjami wzrokowymi tak głębokie wejrzenie w ukryte pokłady psychiki i tak zniechęcający do wszelkich innych narkotyków, a przede wszystkim do alkoholu, że na tle prawie absolutnej niemożności przyzwyczajania się doń powinien być używany we wszystkich sanatoriach, gdzie leczą wszelkiego rodzaju nałogowców. Zaznaczę tylko na dowód niemożności przyzwyczajania się do peyotlu, że Indianie meksykańscy używający tej rośliny, czczonej przez nich jako Bóstwo Światła, od tysięcy lat nie zażywają jej inaczej, jak w czasie religijnych uroczystości, które razem ze zbiorem kaktusa w pustyni — wyprawa przeciąga się czasem do paru tygodni — trwają niecałe dwa miesiące, przy czym nie można na jej czcicielach stwierdzić jakichkolwiek skutków szkodliwych, jak to ma miejsce np. u peruwiańskich czcicieli koki, której żucie wywołuje zupełnie regularny kokainizm i tak moralną, jak i fizyczną degenerację.

Oczywiście, od czasu kiedy posłyszałem o peyotlu i wizjach, które wywołuje, marzeniem moim było spróbowanie cudownego drogu<sup>65</sup>. Niestety uważany był w Europie za rzadkość tak wielką, że nigdy nie miałem nadziei dostąpienia tej łaski. Opowiadanie o wizjach uważałem oczywiście za przesadzone, jak każdy, który nie mając pojęcia o peyotlu, słucha nawet tego, który osobiście przeżył nieporównaną chwilę oglądania na własne oczy innego, niewspółmiernego z naszą rzeczywistością świata, z niedowierzaniem, a nawet z posądzaniem na dnie już nie o przesadę, ale po prostu o błąd. Dodać należy, że o „umoralniającym” działaniu „świętej” (w każdym razie dla Indian) rośliny nie wiedziałem nic i nic, poza broszurką *Czciciele św. kaktusa*, o niej nie czytałem. Wszystko, co nastąpiło, było piekielną wprost niespodzianką.

Dostałem maksymalną dawkę peyotlu: siedem pigułek wielkości grochu, zupełnie nieoczekiwanie od p. Prospera Szmurły, za co do końca życia będę miał dla niego niczym nie dającą się wyrazić wdzięczność. A trzeba dodać, że był to oryginalny peyotl meksykański, pochodzący z niewielkiego zapasu dr Osty, prezesa Międzynarodowego Towarzystwa dla Badań Metapsychicznych. Preparaty, które dostawałem następnie od dr Rouhier, wydobyte z kaktusów hodowanych zdaje się na Côte d'Azur, nie dorównują mi co do zdolności wywoływania wizji, a przewyższają znacznie co do skutków ujemnych. Z powodu pewnych zajęć nie mogłem zażyć tajemniczych pigulek tego samego dnia i przeżyłem dwadzieścia cztery godziny w naprężeniu nerwowym, graniczącym z gorączką, tym bardziej że p. Szmurło opowiedział mi pobieżnie o swoich wizjach, nie zachwalając ich jednak zbyt. Ale nawet jego opowiadania uważałem za lekką „koloryzację”. Znane są przesadzone opowiadania o snach u ludzi, nie mających nic wspólnego z rzeczywistością — przyparciu do muru odwołują czasami wiele znaczących szczegółów. Ale sen to dla niektórych coś nic wspólnego nie mającego z rzeczywistością życia. Inaczej twierdzi Freud, dla którego nawet zmiany czynione w snach przez opowiadającego są wyrazem istotnych stosunków panujących w warstwach podświadomych. Twierdzą, że to samo stosuje się do

<sup>64</sup>*Peyotl, la plante qui fait les yeux émerveilles* (fr.) — peyotl, roślina, która wprawia oczy w zadziwienie.

<sup>65</sup>*drog* — narkotyk.

wizji peyotlowych, które ukazać mogą człowiekowi to, co sam przed sobą starannie ukryć się stara. Opiszę wizje z maksymalną dokładnością, a zamiast deformować odpowiednio rzeczy zbyt osobiste, opuszczę je zupełnie.

Pierwszą dawkę, dwie pigułki, zażyłem o godzinie szóstej wieczorem. Ponieważ nie czytałem o objawach wywołanych działaniem peyotlu, miałem zupełnie czysty obraz całego przebiegu zjawiska, bez najmniejszej autosugestii. Około pół godziny po pierwszej dawce, tuż przed zażyciem następnej, doznałem uczucia lekkiego podniecenia — coś jakby po dwóch kieliszkach wódki albo po małej dozie kokainy. Uważałem to podniecenie za zdenerwowanie wskutek oczekiwania mających nadejść wizji. Okazało się później, że był to już objaw peyotlowy. Przez cały czas męczyła mnie obawa przed torsjami — bałem się utracić drogocenny preparat, zanim zdąży wessać się w krew. Na szczęście tak się nie stało. Mogę powiedzieć, że siłą woli pokonałem nudności ze strachu przed zmarowaniem jedynej, ostatniej dawki peyotlu, na którą zupełnie przypadkowo natrafiłem. Pozasłaniałem szczelnie okna, ponieważ światło zaczęło mnie z lekka razić, i przechadzałem się po pokoju, odczuwając przyjemne ogłupienie i lekkość. Zmęczenie po trzech seansach portretowych zniknęło zupełnie. O godz. 6.50 zażywam trzecią dawkę i kładę się na łóżku z obawy przed torsjami. Samopoczucie dziwne. Bez rezultatu oczekuję na wizje i z nudów, nie mając istotnej potrzeby, zapalam papierosa. Ale po paru pociągnięciach rzucam go ze wstrętem. Od tej chwili aż do piątej po południu następnego dnia nie paliłem bez żadnego wysiłku, odczuwając obrzydzenie i pogardę dla papierosów. O 7.20 wstałem już z pewnym trudem i zażyłem ostatnią, siódmą pigułkę. Bezwład i zniechęcenie. Puls osłabiony i rzadki — z normalnych osiemdziesięciu kilku spadł na siedemdziesiąt. Samopoczucie coraz gorsze, źrenice rozszerzone. Wypiłem filiżankę kawy i leżę. Jak tylko próbuję się podnieść, czuję się dość fatalnie: zawrót głowy, nudności i dziwne poczucie własnego ciała — jakby nie było zupełnie tożsame ze sobą i z lekka rozluźnione. Muszę zaznaczyć, że nigdy prawie (dwa razy może, i to bardzo słabo) nie miałem tzw. „hipnagogów”, to jest przedsennych wizji przy zamkniętych oczach, co jest zresztą zjawiskiem u bardzo wielu ludzi dość częstym, nieomal codziennym. Czuję coś w rodzaju spotęgowania wyobraźni, ale nie mogę jeszcze nazwać tego wizjami. Są to obrazy płaskie — coś w rodzaju widzeń hipnagogicznych. Wiry jakby z cienkich drucików, jasne na ciemnym tle, czasem z lekka tęczowo zabarwione. Z początku płaskie — potem zaczęły powoli dostawać trzeciego wymiaru, rozkręcając się to ku mnie, to ode mnie, w przestrzeni czarnej, która z płaskiego normalnego tła, które się widzi zwykle przy zamkniętych oczach, staje się głęboka i ruchoma, nawet wtedy, gdy nie widać na niej wcale drucikowatych wirów — jest taka niewiadomym sposobem, sama w sobie, mimo że się w niej nic nie zmienia. Zjawisko to jest tak nikłe i subtelne, że trudno je zanalizować w czasie jego trwania, a następnie trudno odtworzyć ten paradoksalny stan rzeczy w pamięci — wie się, że tak było i koniec — nic na ten temat więcej nie da się powiedzieć. Hipnagogiczne obrazy potężnieją, ale ciągle jeszcze nie uważam ich za wizje we właściwym tego słowa znaczeniu, którego naprawdę nie znam — ale wyobrażam sobie, że musi to być coś zupełnie innego, bardziej realnego.

Godzina 8.20 — Zaczynają się pojawiać coraz wyraźniejsze obrazy, ale prawie bezbarwne, występujące zaledwie z czarnego tła. Przypomina to przekopiwane i wyblakłe następnie odbitki fotograficzne z niedoeksponowanych klisz. Ktoś ubrany w szerokokorondowy kapelusz z czarnego aksamitu wychyla się z włoskiego balkonu i przemawia do tłumu na dole. Skąd wiem, że ten balkon jest włoski, nie mogę pojąć, ale wiem — to wystarczy. W ogóle charakterystyczną rzeczą przy wizjach peyotlowych jest fakt podpowiadania jakby przez jakiś tajemny głos, wychodzący z jakichś „piwnic jaźni”, znaczenia widzianych obrazów i uzupełniania tego, czego w samym obrazie nawet śladu nie ma. Ale to zjawisko wystąpiło u mnie tylko na początku uwyrażnienia się hipnagogów, a następnie czasami, prawie w pełni działania preparatu dr Rouhier, który działał o wiele słabiej, jak to już zaznaczyłem. Wtedy miałem dziwne wrażenie, szczególnie na początku seansu, że wiem o widzeniu rzeczy, których właściwie nie widzę, ale tym niemniej mógłbym dokładnie je opisać, tak jakbym je widział rzeczywiście. Jest to jedno z tych wrażeń peyotlowych, które niezmiernie trudno wyrazić słowami i jeszcze trudniej dać do zrozumienia czytelnikowi, o co właściwie chodzi. Podobnie rzecz się ma z psychopatycznymi stanami przy zażyciu czystej meskaliny, które opiszę później. Peyotlowe sensacje i *dziwniejsze* wizje —

bo są niektóre zupełnie realistyczne — są tak trudne do zrekonstruowania, jak niektóre sny, w których nie wiadomo, o co chodzi i co się dzieje, i których żadnymi porównaniami nawet w przybliżeniu ująć nie można, a mimo to, szczególnie zaraz po obudzeniu się — uczuciowo jakby — ma się zupełnie dokładne o ich treści pojęcie. Obrazy łączą się w dziwne sploty z uczuciami muskularnymi, z czuciami wewnętrznych organów i tak powstaje nie dająca się rozplątać całość, o niesłychanie subtelnym nastroju ogólnym, która wymyka się wszelkiej analizie i rozsypuje się w gruzy, w nieokreślony chaos przy najmniejszym wysiłku w celu jej skonsolidowania. W ogóle między normalnymi hipnagogami i snem a peyotlową wizją jest ścisły związek — ten sam materiał podświadomy jest tu i tam symbolicznie opracowany. Tylko że peyotl odznacza się wyraźnymi czterema stadiami w całym przebiegu transu, które u wszystkich prawie są jednakowe, a następnie daje pewne specyficzne bogactwo widzenia w związku z artystyczną, dekoracyjną stroną rzeczy, która ma przeważnie cechy podobieństwa z wielkimi stylami sztuki minionych epok. W tym leży nie docieczona dotąd tajemnica, co do której pewne, dość fantastyczne zresztą przypuszczenia przedstawię później. Domysły te powstały w czasie samego transu, kiedy przygnieciony wprost nawalem i przepychem wizji, starałem się w stanie oszołomienia nie tyle psychicznego, co wzrokowego wytłumaczyć sobie choć w przybliżeniu, czemu to właśnie widzę, a nie co innego. Hipoteza moja konstatuje jednak raczej specyficzność peyotlowego widzenia, a nie tłumaczy jego istoty, która wątpię, aby kiedykolwiek zbadaną być mogła. Fizjologia i toksykologia będą tu absolutnie bezsilne, aż po krańce naszego istnienia, a psychologia będzie mogła podać tylko teorię związków zjawisk, ale nigdy nie wytłumaczy ich pochodzenia i istoty.

Samopoczucie trochę lepsze, ale gdy wstałem, zawołany do telefonu, poczułem się dość „głupio”. Na brzegach mebli i drzwi widzę świetliste obwódki czerwone i fioletowe, ale ani mnie to cieszy, ani dziwi. W tej chwili, zbłądziwszy w podwórzu i wszedłszy przez tylne schody, wchodzi do przedpokoju nieoczekiwanie i z nieoczekiwanej strony p. Szmurło w pelerynie. Wrażenie jest spotęgowane — doznaję lekkiego przerażenia, jakbym zobaczył widmo, ale mija to szybko — kładę się znowu i czuję się gorzej. Puls spada z siedemdziesięciu trzech na sześćdziesiąt kilka i jest bardzo słaby, nitkowaty. Czuję się tak, jakbym miał ochotę umrzeć, i mówię to panu Szmurle, który twierdzi, że przykre te subiektywnie wrażenia są zupełnie nieniebezpieczne. Pojawiają się zjawy zwierzęce, morskie potwory, jakiś jakby znany mi brodac. Wszystkiego tego nie uważam jeszcze za wizje właściwe — oczekuję jakiegoś cudu i „robię wyrzuty peyotlowi”, że daje zbyt przykre wrażenia fizyczne za zbyt małą cenę. Jeśli to mają być te osławione wizje, to wolałbym nic nie zażywać i jeść w tej chwili dobrą kolację zamiast mieć ochotę na torsje i puls zredukowany, jak się zdaje, tylko do stopnia koniecznego, aby w ogóle żyć. Na tle tych spotęgowanych hipnagogów przesuwają się czasem smugi kolorów: czerwony, fiolet, niebieski i cytrynowo-żółty. Są one jakby w innej płaszczyźnie niż widzialne postaci — trochę bliżej i pochodzą „z innego widzialnego świata”. Czuję stanowczo szalone spotęgowanie wyobraźni, ale jeszcze nic znowu tak aż nadzwyczajnego. Kiedy otwieram oczy — bo trzeba nadmienić, że rzadko widzi się coś przy oczach otwartych — świat jest prawie normalny. Tylko jakby jakaś lekka deformacja i to *samej przestrzeni, a nie przedmiotów* i pewna „niesamowitość rzeczywistości”, słabo przypominająca stan zatrucia kokainą. Tylko o ile alkohol i kokainę zaliczyć można do jądów *realistycznych* — potęgują świat, nie dając nastroju niesamowitości — o tyle peyotl nazwałbym narkotykiem metafizycznym, dającym poczucie dziwności Istnienia, którego w stanie normalnym doznajemy niezmiernie rzadko — w chwilach samotności w górach, późno w nocy, w okresach wielkiego umysłowego przemęczenia, czasem na widok rzeczy bardzo pięknych lub przy słuchaniu muzyki, o ile nie jest to po prostu normalnym wrażeniem metafizyczno-artystycznym, pochodzącym od pojmowania bezpośrednio samej Czystej Formy dzieła sztuki. Ale wtedy ma to inny charakter: nie jest przerażeniem nad dziwnością bytu, tylko raczej łagodnym usprawiedliwieniem metafizycznej jej *konieczności*.

9.30 — Chęć zapomnienia o rzeczywistości. Rozmowa — przyciszona zresztą — między p. Szmurło a moją żoną mężczy mnie. Kiedy p. Szmurło pochylił się cicho nad mną, chcąc zbadać, czy mam rozszerzone źrenice, i ujrzałem nagle jego twarz tuż przy mojej, wydał mi się jakimś dziwnie spotworniałym i niemal odepchnąłem go od siebie. Wszystko, co działo się dotąd, odbywało się jakby przed jakąś kurtyną. Później dopiero



dowiedziałem się o tym, zażywając peyotl kilka razy. Zjawisko to powtarzało się zawsze, ale wtedy nic nie wiedziałem jeszcze, że kurtyna odsłoni się. Nareszcie stało się. A wszystko zaczęło się od małego złotego posążku faunowatego Belzebuba! Skąd wiedziałem, że to Belzebub, nie wiem i nigdy się nie dowiem. Tajemny głos mówił tytuły obrazów, które gdybym w normalnym stanie widział, nigdy bym się ich znaczenia nie domyślił. Ale — zapomniałem: pierwsze poczucie tego, że to *już jest wizja*, przyszło *à propos* obrazka, który wytworzył się w *sposób ciągły* z drucikowatych wirów, powtarzających się stale w przerwach między zjawami potworów. Druciki zaczęły się konsolidować w przedmioty: powstały z nich pióropusze, które zmieniły się w drzewa. Wśród nich również z zupełną ciągłością przetwarzania się kształtów jednych w drugie, która odtąd trwała przez cały czas seansu, powstały stylizowane, zrobione z tęczyowych już teraz wyraźnie drucików na ciemnym tle strusie. Te zmieniły się w plesiosaury i przez chwilę nieruchomy obraz trwał zasadniczo niezmiennie. Plesiosaury poruszały szyjami nad jakąś sadzawką, a wokół chwiały się strusio-ogoniaste krzewy. Powiedziałem głośno: „Teraz mam, zdaje się, pierwszą wizję”. Zacząłem dyktować mojej żonie treść niektórych obrazów, aby je zapamiętać wśród straszliwego wzrokowego zamieszania, które się odtąd zaczęło i trwało 11 (jedenaście!) godzin z krótkimi przerwami, gdy otwierałem oczy, aby odpocząć, coś zjeść lub narysować. A więc wracając do Belzebuba; nagle rozdarła się zasłona, „*le grand rideau du peyotl s'est déchiré*”<sup>66</sup> (koniecznie po francusku) i z ciemności wychyliła się ku mnie pierwsza wizja realna. To nie były już żadne hipnagogi, żadne płaskurki i złudy: to *była* nowa rzeczywistość. I do tego to poczucie, że teraz jestem zdany na łaskę i niełaskę narkotyku, że choćbym nie wiem, co zrobił, nie powstrzymam tego prądu dziwacznych zdarzeń, który był przede mną w przyszłości. Chyba siedzieć całą noc z otwartymi oczami. Ale i to, jak się przekonałem później, niewiele by pomogło, gdyż przy wpatrywaniu się rzeczywistość codzienna też deformuje się i to w sposób tak przerażający, że z ulgą wraca się do „świata zamkniętych oczu”, bo właśnie to zamknięcie daje nam pewną, ale nie całkowitą jednak pewność co do jego nierealności. Chociaż i to zawodzi. Mają rację Indianie twierdząc, że kto niegodny ośmieli się zażyć peyotlu, nie oczyściwszy się wprzód ze swych grzechów, strasznie może być ukarany. Sprawdziło się to na mnie. Nie powinienem był tego robić, a właśnie na kilka dni przed peyotlowym świętem upiłem się i zażyłem przeklęte „coco”. „Masz za swoje — teraz skacz!” Z początku niby nic. Ale co się działo potem! Nie wszystko będę mógł opisać — nie tylko ze względu na siebie samego, ale i na czytelników. A chcę, aby ta książka mogła być czytana przez wszystkich. Nie wiem tylko, czy zdołam „przełać” w czytającego te słowa całe piękno i całą okropność tego, co widziałem. Co innego jest fikcja w powieści, a co innego rzeczywistość. Z fikcją nie robi się ceremonii — można „walić na całego” i zawsze jest za mało. Przynajmniej moim zdaniem — bo są ludzie, którzy skarżą się na intensywność stylu w literaturze: wolą kaszkę na mleku niż abisyńskie suki prażone żywcem na bringhauserach i podlewane sokiem *ya-yóó*. Ale mnie się zdaje, że każdy powinien pisać jak najintensywniej, na ile go tylko stać, i to tak samo w *subtelnościach*, jak i w *brutalnościach*. Nie twierdzę bynajmniej, że „zły język” (*bad language* w znaczeniu angielskim: ordynarny, świński i brutalny) jest warunkiem dobrej literatury. Jedni muszą tak pisać, inni mogą tego sposobu nie używać. Chodzi o natężenie tak w anielstwie, jak i w diabelstwie — a tego brak jest naszej literaturze. Ach, dosyć dygresji — tego też nie lubią niektórzy, a dla mnie dygresje to czasem cały smak powieści; chodzi oczywiście o ich intelektualny poziom. A więc Belzebub... Nigdy nie zapomnę tego piekielnego wrażenia, gdy będąc zupełnie zdrowym na umyśle (z chwilą kiedy nie patrzyłem na rzeczywisty świat, nie było we mnie prawie śladu niesamowitości tej „*étrangeté de la réalité*”<sup>67</sup>, o której pisze Rouhier) i gdy zdawałem sobie dokładnie sprawę z tego, że mam silnie zamknięte oczy, zobaczyłem o jaki metr ode mnie małą rzeźbę ze szczerego złota (aż czułem jej ciężar), tak wyczelowaną, wyrobioną, wy — *passez moi l'expression grotesque*<sup>68</sup> — pichconą (wyrażenie pewnych malarzy na „wylizanie”), że zdawała się być dziełem jakiegoś naprawdę belzebubicznego zminiaturzalego Donatella nie z tego świata albo jakiegoś zeuropeizowanego Chińczyka, który całe życie swoje strawił na wykucie tej jednej jedynej rzeczy. Cud stał się. „Widzę to, widzę to” —

<sup>66</sup>*le grand rideau du peyotl s'est déchiré* (fr.) — wielka zasłona peyotlu rozdarła się.

<sup>67</sup>*étrangeté de la réalité* (fr.) — dziwność rzeczywistości.

<sup>68</sup>*passez moi l'expression grotesque* (fr.) — pozwólcie mi na groteskowe wyrażenie.

powtarzałem sobie w myśli. Ile czasu trwała ta chwila szczęścia (bo jednak te pierwsze „razy” to są zawsze najlepsze, to nie ma co gadać: potem są rzeczy większe, potężniejsze, wszystko jest rozwinięte, wykończone, ale to już nie to — ten smak nie da się już nigdy zreprodukować) — nie wiem. Ale potem przekonałem się, jak złudna jest ocena trwania podczas peyotlowych wizji. Nazwałem to w „języku peyotlowym” — „spuchnięciem czasu”. Bo trzeba jeszcze zauważyć, że peyotl, może wskutek chęci ujęcia w słowa tego, co się ująć nie da, stwarza neologizmy pojęciowe sobie tylko właściwe i zdania nagina w ich składni do swoich straszliwych wymiarów niesamowitości (świetny wyraz i będę go właśnie w tym znaczeniu używał, choćby stu profesorów powiesiło się na własnych kiszkach — język jest rzeczą żywą, gdyby zawsze uważano go za mumię i myślano, że nic w nim zmienić nie wolno, to ładnie wyglądałaby literatura, poezja, a nawet to kochane i przeklęte życie). A może ta chęć tworzenia nowych kombinacji znaczeniowych to jest owo słynne „schizofreniczne przesunięcie” — *Schizophrenische Verschiebung*, o którym pisze Beringer *á propos* meskaliny Mercka. (Merck to jednak piekielne jest nazwisko dla tych, którzy zadawali się z białymi jadami. *Á propos* — ekstrakt peyotlowy jest czarno-brunatno-zielony jak asfalt zmieszany z gęsimi ekskrementami i ma smak wstrętny: gorzki, ostry i przy tym rzygliwy.) Podobno nawet pyknicy doznają lekkiego schwiania w kierunku schizofrenicznej psychostruktury — a cóż dopiero mówić o prawdziwych „schyzjach” pod wpływem peyotlu. Ale o tym później w związku z meskaliną.

I nagle („o cudzie wyższego rzędu!”, jak by wykrzyknął poeta) — Belzebub ożył, nie przestając być martwym złotym Belzebubem, uśmiechał się, strzygł oczami i nawet kręcił głową. Mimo to dobrze wiedziałem, że to, co widzę przed sobą, jest tylko kawałem szczerzego złota. Są w wizjach peyotlowych trzy gatunki przedmiotów: martwe, martwe *ożywione* i stworzenia żywe. Te dzielą się na realne i fantastyczne — realne mogą być: 1. znane, proste i 2. skombinowane ze znanych elementów, w połączeniach nie odpowiadających żadnej rzeczywistości. Fantastyczne „urągają” po prostu, jak się to pisze (ale nigdy się niestety nie mówi), wszelkim wysiłkom ich adekwatnego opisu: pojmuje się je jedynie w chwili widzenia, a i to nie bardzo. Z chwilą gdy znikną z peyotlowej rzeczywistości, żadna siła nie potrafi ich zrekonstruować. Spróbuję później dać mniej więcej przynajmniej poznać, do jakiej kategorii mogą one należeć. Kto tego typu stworów nie widział, ten nigdy nie potrafi ich sobie odtworzyć. A do tego to piekielne wprost wykończenie wykonania! Rzeczywistość peyotlowa robi wrażenie naszej oglądanej przez mikroskop, oczywiście tylko co do dokładności „odrobienia”. Pole widzenia jest początkowo małe — wizje zaczynają się mniej więcej w jego środku. Ale jeśli się nie otwiera oczu przez czas dłuższy, to pole rozszerza się i czasem nawet prawie „obejmuje” zapeyotlowanego tak, jak normalna rzeczywistość — zachodzi bokami, a nawet daje dziwne specyficzne wrażenie: widzenia plecami. Przy tym zaznaczyć trzeba (koniecznie), że pole widzenia peyotlowe ma jednakową ostrość na całej swojej przestrzeni: nie ma w nim ostrego widzenia w punkcie rzucającym i coraz bardziej rozwianego w miarę zbliżania się do krańców — całe posiada ostrość najbliższego sąsiedztwa punktu rzucającego przy zwykłym patrzeniu. Następnie muszę jeszcze zaznaczyć, że to, co tu jest opisane, stanowi może 1/2000 (jedną dwutyśiączną) całości wizji tej niezapomnianej dla mnie nocy. Prawie wszystko to, czego nie zanotowałem w ciągu samego transu, zginęło bezpowrotnie w szalonym nawale obrazów, ciągle zmiennych i przechodzących jedne w drugie w sposób nieuchwytny i nieznacny, przy niebываłych jednocześnie kontrastach obrazów między sobą.

Widzę wielki gmach z czerwonej cegły, zwrócony do mnie kantem. Z każdej cegły wyrasta jakaś twarz dziwna, karykaturalna. Twarze te potwornieją i po chwili cały gmach jest najeżony towarzystwem przypominającym gargule<sup>69</sup> na Notre Dame w Paryżu. Potworny Negr, którego czaszka powiększa się i otwiera. Widzę mózg wewnątrz — powstają na nim wrzody, które zjadają go z szaloną szybkością. Całe lata procesu tego widzę w sekundach. Z wrzodów zaczynają wytryskiwać snopy iskier i po chwili cały mózg i głowa Negra spalają się w kolorowych wytryskach płomieni, jak niektóre przyrządy do ognia sztucznych. Zjawy stają się coraz bardziej nieprzyjemne. Ale nie odczuwam na razie żadnego strachu. Dzieje się to w obecności mojej żony i p. Szmurło, więc mimo dziwności przeżyć czuję się dość bezpiecznie. Objawy sercowe ustępują, jako

<sup>69</sup>gargul — gargulec, rzygacz, ozdobne zakończenie rynny w kształcie głowy zwierzęcej bądź ludzkiej.

też skłonność do torsji i osłabienie. P. Szmurło twierdzi, że w czasie transu peyotlowego bardzo łatwym jest poddanie sugestywnym obrazów nawet ludziom w ogóle niezdolnym do podlegania sugestii. Wszystkie próby hipnozy i narzucenia mi jakichś wyobrażeń czy czynności były zawsze w normalnym stanie bezowocne. Zgadza się z wielkim zainteresowaniem na propozycję p. Szmurły, który mówi mi, abym się przeniósł w wyobraźni do Hadesu. Momentalnie widzę podziemie oświetlone w głębi purpurowym blaskiem. U sufitu sklębione czarno-zielone łby bawołów z ogromnymi rogami — głowy bawole, a rogi jak u wołów włoskich. Z tych łbów wyrastają powoli ogromne nogi żabie, które zwisają prawie aż do ziemi. Chwilami fikają dziko, jakby wstrząsane elektrycznym prądem, potem wciągają się znowu w łby u sufitu, jakby były zrobione z protoplazmy. P. Szmurło proponuje mi dla odmiany dno oceanu. Wizja następuje wprost natychmiast — u mnie, który nigdy nawet z maksymalną dobrą wolą nie mogłem się poddać najmniejszej sugestii wyobraźniowej, co najwyżej pod wpływem nakazu najlepszych sugestionerów nie mogłem otworzyć oczu lub musiałem wymawiać jedno i to samo słowo w odpowiedzi na wszelkie pytania. Jestem wśród zielonkawej wody. Widzę cień rekina nad głową, a potem jego samego przepływającego tuż nade mną, z brzuchem odwróconym do mnie i ruszającą się górną szczęką. Realność i dokładność widzenia jest nieporównanie większa niż w rzeczywistości i niż w fantazji. Jeżeli to, co widzę, jest syntezą i przeróbką obrazów widzianych jeśli nie w rzeczywistości, to w kinie czy w jakichś atlasach, to czym wytłumaczyć niesłychaną wyrazistość wizji peyotlowej, jej trójwymiarową namacalność w stosunku do zawsze bardzo lotnych, nikłych i nie dających się wyobraźniowo nigdy poza pewien stopień realności spotęgować obrazów pamięciowych i ich kombinacji. Na lewo ciemne skały, pokryte czerwonymi ukwiałami i polipami. U ich stóp walczą czarne głowonogi.

Godz. 10.00 — Ociężałość i oglupienie. Pewna „deformacja przestrzenna” przy otwartych oczach. Walka rzeczy bezsensownych i nie dających się określić. Szereg komnat, które zmieniają się w cyrk podziemny. Dziwne bydlęta pokazują się w łóżach. Towarzystwo mięszone — ludzko-zwierzęce jako publiczność. Łoże zmieniają się w wanny, połączone z jakimiś dziwnymi pisuarami w stylu meksykańskim, azteckim. Chwilami poczucie dwóch warstw widzialności: obrazy w głębi przeważnie czarno-białe, na ich tle przepływające ukośnie pasy zgnilej czerwieni i brudnego cytrynowo-żółtego. W wizjach przeważają potwory lądowe i morskie i straszne mordy ludzkie. Żyrafy, których szyje i głowy zamieniają się w węże wyrastające z żyrafowatych korpusów. Baran z nosem flaminga, ze zwieszającym się różowym fłaczkiem. Z tego barana powyłaziły okularniki — w ogóle cały rozlał się na masę węży. Foka na plaży — pejzaż morski zupełnie realistyczny, słoneczny. Morda foki staje się „twarzą” perkoza dwuczubego (jak się w ogóle mówi o ptakach? Morda, pysek, gęba — wszystko wydaje się nieodpowiednie), wystają jej czarne czuby na łbie. Po czym z tej uptasionej foki w sposób ciągły powstaje Hiszpan, jakby z obrazu Vélazqueza, w kapeluszu z ogromnymi czarnymi piórami. Te wszystkie wizje są wielkości „naturalnej” albo nawet jakby trochę pomniejszone. Pierwsza wizja „brobdignagiczna”, jak nazywa widzenie o powiększonych rozmiarach dr Rouhier, w przeciwieństwie do „liliputycznych” w wymiarach miniaturowych. Olbrzymia, „beziemienna paszcza”. (Wyrazy lub zdania w cudzysłowach są cytowane dosłownie z protokołu seansu, który pisałem sam w przerwach od wizji. Raczej przerywałem wizje sam, otwierając oczy, ponieważ bałem się, że w natłoku zjaw zapomnę o tych, o które specjalnie mi chodziło.) Paszcza jest tak olbrzymia, że nie mieści mi się cała w polu widzenia. Pęka i drze się w strzępy. Przekrój ziemi, ale ustawiony prostopadle do poziomemu. Widzę warstwy najrozmaitszych kolorów i niesłychanie bujną, jakby tropikalną roślinność. Znowu walka „bezprzedmiotowych potworów” — staram się na próżno zapamiętać ich kształty zmieniające się co chwila. Są one maszynowate, ale żywe. Wyciory, cylindry, rodzaj karykatur maszyn i lokomotyw, zmieszanych w jedno ze spotworniałymi owadami w rodzaju koników polnych, szarańczy i modliszek. Maszyny porośnięte włosami. Cylindry stalowe olbrzymie, kręcące się z szaloną szybkością, porośnięte w pewnych miejscach niesłychanie delikatnym, rdzawym futerkiem. Maszyny potężnieją i zamieniają się w potwornej wielkości turbiny, które tajemny głos nazywa „motorem centrum świata”. Szybkość obrotu jest wprost niepojęta. Nie rozumiem, czemu mimo tej szybkości widzę wszystko wyraźnie. Chcę, żeby „turbina świata” szła wolnej. Pojawiają się hamulczyki zrobione z tego

Maszyna

cudownie delikatnego ryżego futerka i olbrzymie wały stalowe pod wpływem tarcia o nie zwalniają powoli, tak że mogę dokładnie obserwować ich dziwnie prostą, a przy tym potężną maszynierię. Są to „brobdignagi” wymiarów nieomal astronomicznych. Nie mogę zdać sobie sprawy z odległości, z jakiej je oglądam. Pojawia się pejzaż górski, wulkaniczny. Oglądam go jakby z aeroplanu. Kratery zioną czerwonym, *nie świecącym* ogniem. Ich brzegi zaczynają się wyginać i wykręcać i nagle widzę, że to nie są w ogóle wulkany i kratery, tylko olbrzymie ryby sterczące głowami do góry. Są teraz zielone, a ich czerwone paszcze cmokają i mlaskają, a wyłupiaste oczy lypią na wszystkie strony. W ogóle lypiące ze wszystkich stron oczy są zasadniczą cechą peyotlowych wizji, a ich spojrzenia są tak szatańsko spotęgowane, że żadne oczy żadnych ziemskich stworów nie są w stanie, nawet w najwyższym natężeniu najdzikszych pasji czy napięcia myślowego, dorównać im co do potęgi wyrazu. Cała skala uczuć, od najsubtelniejszych do najpotworniejszych, ale jakże dziko spotęgowana. Uplastycznienie wyrazu od anielskich twarzy aż do mord przekropanych doprowadzone jest do ostatecznych granic możliwości. Peyotlowe oczy zdają się pękać od niewyraźnego żaru skondensowanych w nich, jak w jakichś piekielnych pigułkach, uczuć i myśli. Przystają one być martwymi galkami, poza obrotami i wykrętami, [w] których — cały wyraz jest przecie tylko w opowie i jej zmianach — przez odwieczną konwencję widzimy niby psychiczną rzeczywistość tajemniczej, niezgłębialnej osobowości. To są prawdziwe „zwierciadła duszy” — zwierciadła piekielne, którymi ludzie nas demon peyotlu, wmawiając w nas, że może i w życiu możliwym jest poznanie obcej psychiki, stopienie się z nią w jedność w żarach jakiejś straszliwej miłości, w której naprawdę ciało z duchem stanowi absolutną jedność, choćby za cenę unicestwienia. I dobra jest przy tym ta aż dźwięcząca sobą cisza wizji stwarzanych przez azteckiego Boga Światła — cisza spotęgowana niewiarygodnym korowodem zdarzeń, który w jej objęciach przepływa przed nami w nicość. A jednak nicość ta nie jest zupełna. Coś zostaje po peyotlowym transie niezniszczalnego, coś wyższego stwarza w nas ten prąd widzeń, z których wszystkie prawie mają głębie ukrytego w nich symbolizmu rzeczy najwyższych, ostatecznych. I niech nikt nie myśli, że wychwalam tu nowy narkotyk, niby wyrzekłszy się tamtych, podobnych mu, tylko niższych w działaniu. Są to rzeczy jakościowo różne w duchowej skali, a nie tylko co do samej wartości obrazów wzrokowych, poza tym już, że stanowią pewien bezpośredni sposób widzenia siebie i swoich przeznaczeń, dając po jednorazowym użyciu drogowskazy na dalekie przestrzenie przyszłości. A o przyzwyczajeniu się, w tym znaczeniu jak do innych jądów, nie ma nawet mowy: peyotl nie daje fizycznej, bydlęcej euforii, którą tamte „białe wróżki” wciągają powoli do swych zakazanych rajów, niszcząc przy tym wolę i odwartościowując rzeczywisty świat i życie. Peyotl jest fizycznie nieprzyjemny w swym działaniu: poza krótkimi okresami dość słabego „błogostanu” nie ma się do niego żadnego „cielesnego” pociągu. Za to psychicznie, ale nie w formie złudy i chwilowego omamienia, daje niezmiernie wiele i to zdaje się tylko za pierwszym razem lub przy rzadkim bardzo użyciu. Znane są te pierwsze widzenia i jasnowidzenia, które przy następnych próbach już się nigdy w tej sile, co pierwotne zjawisko, nie powtórzyły. Ja sam zażywałem peyotl kilka razy — za każdym razem miałem wizje coraz słabsze, działanie wizyjne uświadamiające co do siebie za następnymi próbami prawie żadne, a pociągu tego prawdziwie narkotycznego nie uczulem nigdy. Zresztą zależało tu dużo co do dwóch pierwszych punktów od wartości samego preparatu. Ale począwszy od samego pierwszego razu nigdy nie chciało mi się peyotlu tak, jak czasem alkoholu lub niestety prawie całe życie nikotyny. Może na podstawie tego, co dotąd opisałem, można by wątpić w tę całą zachwalaną przeze mnie „moralną” wartość peyotlu. Bo ostatecznie, że ktoś widział kombinację modliszki z lokomotywą walczącą z wyciorem do lampy, jakimś dziwnym cudem uhipopotamionym, to jeszcze nic nie mówi o jego możliwościach moralnego udoskonalenia. Postaram się rzecz tę wyjaśnić nieco później. Na razie opiszę jeszcze dalsze wizje. Boję się tylko, że czytelnik będzie miał ich niedługo dość, tak jak ja gdzieś koło piątej nad ranem, kiedy błagałem niewiadome potęgi o to, aby zwiły z mego umęczanego mózgu ten bezlitosny korowód potworów i potwornych zdarzeń. P. Szmurło próbuje ze mną jasnowidzenia. Zapytuje mnie, co robi w tej chwili dr Tadeusz Sokółowski. Od razu widzę go opartego o kominek, na którym stoją ozdobne chińskie wazy. Przed nim pochylona na krześle siedzi kobieta, której twarzy nie widzę. Szmurło

telefonuje do Sokołowskiego — okazuje się, że stał oparty o pianino i rozmawiał z siedzącą przed nim na krześle kuzynką. Rzeczywistość, ale w pewnej wariacji — podobnie jak rzeczywistość widziana wprost otwartymi oczami i zdeformowana przez nakładanie się na nią wizji wewnętrznej. Po wyjściu p. Szmurły ogarnia mnie szalony apetyt — cały dzień nie jadłem nic prawie, stosując się do przepisów co do zażywania „świętego ziela”. Wstaję i zabieram się do sałaty. Ale odczuwam przy tym takie lenistwo i ruchy moje są tak powolne, że zjedzenie kilku pomidorów zajmuje mi przeszło pół godziny czasu. Żując powoli jak krowa, rozwalony w fotelu, zamykam oczy i widzę w tej samej prawie chwili brzeg jeziora, pokryty tropikalną roślinnością<sup>70</sup>. Wiem, że to jest Afryka. Jako też pokazują się na brzegu Murzynki i rozpoczyna się kąpiel. Wśród splątanej gęstwy wyrasta powoli posąg bóstwa w formie wieży śpiczastej, z obręczowym ornamentem. Posąg rusza oczami, Murzynki pluszczą się w błękitnobrudnej wodzie. Widząc to jednocześnie zdaję sobie dokładnie sprawę, że siedzę w fotelu w moim pokoju i żuję pomidory. To poczucie „zdrowia na umyśle” i jednoczesności niewspółmiernych światów jest jedną z największych rozkoszy peyotlowego transu. Kładę się znowu. Na tle bezimiennych potworów ukazują się olbrzymia oficerska lotnicza czapka, średnicy jakichś czterech metrów. Czapka zmniejsza się i pod nią zarysowuje się zupełnie realistycznie, w żółtym świetle, śmiejąca się twarz pułkownika lotnictwa p. B., stojącego o trzy kroki ode mnie w skórzanej kurtce. Śmieje się, wydając jakieś rozkazy. Tu jasnowiedzenie „omyliło się” — p. B. robił o tej porze niestety zupełnie co innego. Dalsze widzenia znajomych osób, które wymuszałem na sobie autosugestią, nie odpowiadały w ogóle rzeczywistości, mimo szalonego realizmu obrazów. Jednak przeważnie widziałem je leżące w łózkach. Ale po sprawdzeniu okazało się, że widziane szczegóły niezgodne były z faktycznym stanem rzeczy.

Dalej będę prawie dosłownie cytował protokół wizji pisany w przerwach przeze mnie samego. A więc: na tle dzikich bezładnych splotów „czegoś niewiadomego” wystąpiła wspaniała plaża. Po niej wzdłuż morza jedzie mały Murzynek na bicyklu — nie na rowerze, tylko na takiej dawnej machinie o jednym ogromnym, a drugim małym kółku. Murzynek zmienia się w śmiesznego pana z bródką. Wiezie on na kolanach mnóstwo zabawek, które powoli zmieniają się we wspaniałe wykonane azteckie rzeźby. Zaczynają one wspinać się w górę po sznurowych drabinkach, łypiąc na mnie oczami. Wykręcają przy tym śmiesznie głowy w moją stronę. Widzę je z tyłu. Albo z tego powodu, że „przyjąłem” peyotl w stanie „niegodnym”, albo dlatego, że zbyt często zmuszałem się siłą do widzenia pewnych rzeczy, wizje często stawały się potworne z przewagą najprzeróżniejszych gadów i kombinacji erotycznych, przekraczających jako fantastyczność wszystko, co w sztuce całego świata na ten temat wykonanym było. Nie mogę ze względu na możliwą obrazę przyzwoitości wdawać się w szczegółową analizę tych widzeń. Lubię *czasem* oglądać potworności, ale tu peyotl przewyższył wszelkie moje oczekiwania. Na całe życie dość mam tej jednej nocy. Zdaje mi się, że mam dosyć wyobraźni — jednak gdybym tysiąc lat żył i co noc zmuszał się do wyobrażenia sobie najdziwniejszych rzeczy, na jakie mnie stać, nie wymyśliłbym jednej milionowej tego, co widziałem tej nocy letniej. Zaznaczę tylko wizje, nie wdając się w szczegółowe opisy. Zwracam uwagę, że pod wpływem peyotlu ma się ochotę na neologizmy językowe. Pewien mój przyjaciel, pod względem mowy najnormalniejszy w świecie człowiek, tak określił w transie swoje widzenia, nie mogąc dać sobie rady z ich przekraczającą wszelkie normalne kombinacje słów dziwnością: „Pajtra-kały symforowe i końdziol w trykrętnych pordeljansach”. Takich sformułowań stworzył wiele pewnej nocy, gdy sam leżał otoczony widziadłami. Pamiętam to jedno tylko. Cóż więc dziwnego, że ja, który w normalnym czasie miewam takie skłonności, też czasem musiałem stworzyć jakieś słówko, aby uporać się z rozplątaniem i rozczłonkowaniem piekielnego wiru stworów, który walił się na mnie przez całą noc z czeluści peyotlowych zaświatów. Widzę szereg kobiecych organów płciowych nadnaturalnej wielkości, z których wysypują się flaki i żyjące robaki. Na końcu wyskakuje z nich zielony embrion wielkości san-bernarda i fika kozły z niesłychaną uciechą. Cudownej piękności morze, oświetlone jakimś hiperśłońcem. Z boku „połosate” potwory ocierające się o siebie — coś w rodzaju

<sup>70</sup>Byłem kiedyś przed wojną na Cejlonie i w Australii, jako też oglądałem fotografie meksykańskich świątyń, ale nic nie usprawiedliwia tej dokładności widzenia realnego przechodzącego o nieskończoność najdokładniejsze wspomnienia z tylko co widzianych rzeczy. [przypis autorski]

rekinów w kolorach: białym, czarnym i pomarańczowym. Potem widzę ich przekroje, jakby ktoś w moich oczach porznął olbrzymie rekinowate salcesony niewyraźnej piękności. Mrówkojady kręcące się z zawrotną szybkością tyłem. Kolczatki — wśród nich niesłychanie milutki gryzoń w rodzaju białego stepowego skoczka, pokryty futerkiem o *dwa razy* rozwidlających się włosach. Mimo szybkości przemian widzę to z mikroskopijną dokładnością. Pani Z. — bardzo piękna kobieta, przedstawia mi się w szalonej deformacji, jak na moich kompozycyjnych portretach robionych pod wpływem narkotyków; ale mimo to nie traci nic ze swej normalnej piękności. Jest to niepojęty cud. Robi przy tym filuterne oko, co na tle ogólnego zniekształcenia twarzy stwarza niezmiernie komiczny efekt.

12.10 — Puls siedemdziesiąt dwa. „Spuchnięcie czasu” dochodzi do niemożliwych rozmiarów. Przeżywam całe tygodnie w ciągu kilku minut. Metalowe, złociste rzeźby indyjskie, z inkrustowanymi drogimi kamieniami cudownych kolorów ożywają i wykonują wspaniałe tańce, pełne artystycznej logiki ruchów. Są to całe kompozycje taneczne, których cienia nawet nie wymyśliłbym w normalnym stanie. Piekielne przemiany stylizowanych mord i pysków zwierzęcych, zakończone węzowiskiem na *Wielką Skalę* — całe kilometry przestrzeni rojące się od węży w cudownych kolorach: zielonych, złotych, błękitnych i czerwonych. Niektóre węże łączyły się po kilka naraz w fantastyczne potwory. „Pramateria żabia” — kupa czegoś żabiego, z pryszczami jak u ropuch, falująca, dysząca — z niej lypały żabie oczy i chwilami wylaniały się jak z roztopionej magmy zastygające na chwilę żabie kształty. Moja żona nie mogła już ze zmęczenia zapisywać wizji i postanowiła pójść spać, ale na kanapie w moim pokoju z obawy, żeby mi się coś nie stało, ponieważ puls był jeszcze chwilami niewyraźny. Przy wpatrywaniu się w jej twarz nastąpiły straszliwe deformacje, przy czym reszta pola widzenia pozostawała zupełnie nie zmieniona. Zamknięte oczy powiększały się niepomiarowo, powieki pękały wreszcie ukazując oczy wielkości kurzego jaja, lypiące straszliwie jak u gadzinowych potworów, widzianych przy oczach zamkniętych. Nos zadarł się, usta rozszerzyły się i z twarzy uśpionej powstała jakby okropna karnawałowa maska, żywa i robiąca przeraźliwe miny. Dzbanek stojący w drugim kącie pokoju ożył. Wypuścił białe macki jak mątwą, ciągnące się ku mnie i wijące się w powietrzu. Z dwóch czarnych pęknięć w białej emalii powstały oczy o groźnym i wciągającym wyrazie, które wpatrzyły się we mnie z jakimś niesamowitym uporem. Woląłem zamknąć oczy, bo rzeczywistość przy tym widziana nie była jednak tak przekonywująco realna, jak zmieniające się prawdziwe przedmioty. Widzę łokieć z przyczepioną tarczą herbową. Pojawia się człowieczo-jaszczurcza ręka, żywa, ale zrobiona tak, jakby chińskie „*cloisonné*”<sup>71</sup> w kolorach: żółtym i niebieskim. Tę rękę zdobywa całe mnóstwo rakowatych, bezbarwnych potworków, odbarwiając ją przy tym całkowicie. Zielone węzo-światy na brązowym tle, które powoli przechodzą w chińskie smoki, stylizowane, a jednak żywe. „Miałem wrażenie, że upłynęły dni, a był to kwadrans. Co użyć można w tak krótkim czasie”.

12.30 — Rysuję na małych kartkach zwykłego papieru ołówkiem, mimo wielkiego lenistwa. Przemagam się, aby było parę rysunków markowanych „peyotl” dla paru przyjaciół zbierających moje bardziej „dzikie” wytwory. Rysunki bardzo skromne, ale przedstawiające coś w rodzaju rzeczy widzianych w wizjach. Wykonanie też inne niż zwykle i pewna nieobliczalność tego, co ma się zamiar narysować. Ręka porusza się automatycznie, czego w czasie działania żadnego ze znanych mi dotąd narkotyków nie doświadczałem<sup>72</sup>. Ale szkoda czasu na rysowanie wobec tego, co się widzi. „Jak wykonane węże! Stylizacja i kolory. Perłowe tanki<sup>73</sup> asyryjskich królów”. Często przerywam wizje, aby zapisywać. Tyle rzeczy ginie w tym wirze. Portret Juliusza Kossaka przez Simmlera, wiszący na przeciwległej ścianie, ożył, wystąpił z ramy i ruszał się. Wracam do *tamtego* świata. „Te ilości kolorowych gadów są *potworne*. Akrobatyka wyższa («metafizyczna») kameleonów. Że też one nie giną w tych koziołkach”. Widać tu niejaką naiwność, ale świat wizji jest tak przekonywający, że można wybaczyć nawet pewne zidiocenie wobec niewiarogodnych zjawisk, które się ogląda. „Główniaki na mózgu. Ruchome masy gadów porcelanowych.

<sup>71</sup>*cloisonné* (fr.) — przegroda, tu: parawan.

<sup>72</sup>W dwa lata później miałem podobne wrażenia przy zażyciu *ya-yóo* w postaci harminy Mercka, oczywiście poza seansami portretowymi z peyotlem i meskaliną. [przypis autorski]

<sup>73</sup>*tank* — czolg.

Znowu widzę pułkownika B. — olbrzymia kupa *plynnych świń* wylała mu się z lewego oka, które zniekształciło się przy tym w sposób potworny. Scena teatralna — na niej potwory *sztuczne*. Ohydny świnioryj w zielonej konfederatce z piórkiem”. Wypiłem trochę wódki, „dla otrzeźwienia”. Zupełna pogarda dla papierosów. Wódka była bez smaku, jak woda.

12.55 — Spróbuję nie pisać, tylko bardziej wżyć się w tamten świat. Gaszę lampę na próbę. Nie mogę wytrzymać, żeby nie zapisać: „przekroje gadzinowych maszyn (oczywiście to zaledwie cząstka). Wysiostrzanie się podwójnych rekinów na bęcwałowiskach wodnych”.

1.19 — Druga seria rysunków. Ryczę ze śmiechu. Rysunki były dość humorystyczne, a podpisy pod nimi jeszcze bardziej. Niestety rzeczy nie do zacytowania. „Łażę po pokoju i jem słodczy. Rysunek karykaturalny przedstawiający moich krewnych”. Sprawdzić, co robili. Zamykam oczy na sekundę. Widzę zwierza za rozbitymi pokrywami. Jakieś hiperbydlę włochate, miotające się wśród skorup niedobitego jaja wielkości kilku metrów. Przemiany zwierząt w ludzi w sposób *ciągły, à la fourchette*<sup>74</sup>.

1.28 — „Gaszę lampę i postanawiam nie zapisywać. Nie mogę. Upłynęły wieki, a na zegarze jest 1.37. Zaczęło się wszystko od bolszewików (Trocki) i ich przemian. Hipergenitalia w kolorach rakowych, potem sceny erotyczne nie-do-opisania, a następnie obraz przedstawiający symbolicznie rozkosz w postaci walczących ze sobą potworków w kolorach rakowatych i błękitnych. Czasem kobaltowe oczka migają na jakichś pręcikach. Skończyło się na gadach.

1.40 — Puls sześćdziesiąt osiem. Mam dziwne wrażenie, że zapisuje nie moja ręka, tylko jakiś obcy przedmiot, którym nie wiadomo jak poruszam na odległość. Zamykam oczy przy zapalanej lampie. Pramateria z węzami. Zaczęło się od sceny z Makbetem z *boku i od spodu*, w szalonym spotęgowaniu. Olbrzymia siostra miłosierdzia w przecięciu ze straszliwymi bebechami, widziana z dołu. Trochę chce się palić, ale wstrzymuje mnie od tego tajemny głos wewnętrzny. Wpatruję się w portret mojej żony z lat dziecińczych, roboty Wojciecha Kossaka, wiszący nad łóżkiem. Portret uśmiecha się, rusza oczami, ale nie chce spojrzeć na mnie. *Mam dosyć gadów!* Foki w morzu gęstym jak maź. Całe serie płaskorzeźb brązowo-zielonych, przedstawiających sceny peyotlowe — wysoce artystyczne wykonanie. Klasztor w świetle księżycowym, podminowany węzami, widziany od morza, nad którym się unoszę. Potworny żywy organ kobiecy inkrustowany w skały. W to wali fioletowy piorun i cały klasztor rozpada się w gruzy.

1.52 — Zdaje się, że wizje słabną. Umyłem się jak zwykle, bez większych *trudności* i kładę się do łóżka. Napad wesołości. Prześladuje mnie pieśń (nie znana zresztą): «*kagda ja pierestanu kuszat' pamidory*<sup>75</sup>!»

2.05 — Upłynęły wieki. Całe góry, światy i tabuny wizji. *Za dużo gadów*. Ostatnia: jaskinia zrobiona ze świń. Jestem w olbrzymiej ruchomej świni, zrobionej z *świniowatych* tafelek. Narkotyki stwarzają style w sztuce i architekturze. Chińczycy musieli znać peyotl. Wszystkie smoki i całe Indie stąd. Wtajemniczeni = artyści. *Eine allgemeine Peyotltheorie*<sup>76</sup> — panpeyotlizm<sup>77</sup>.

Muzyka i gramofon z dołu psują powagę wizji. Czy zapalić. Chwilami były czerwone i niebieskie tańczące papierowe figurki.

2.15 — Wizja Augusta Zamoyskiego zwężonego (w tym znaczeniu, że zamienia się ona powoli w kupę węży żółtych w czarne paski). Potem widzę go realistycznie, śpiącego na prawym brzocho-boku pod czerwoną kołdrą. Ból głowy. Wizje szklane, a przy tym zbrodnicze. Hiperbatiary. Zbrodniarze szklanni w maskach japońskich skradają się do willi pp. S. pod miastem i kuszą, aby iść z nimi. Oczywiście odrzucam propozycje z oburzeniem. Początek fantastycznego teatru rozwiewa się. Widzę Alcora — podwójną gwiazdę z Wielkiej Niedźwiedzicy, którą widziałem przez lunetę. Powiększenie jest olbrzymie. Wiem, że gwiazdy składające Alcora mają obrót stosześćdziesięcioletni. Tu kręcą się bardzo szybko.

<sup>74</sup>à la fourchette (fr.) — dosł.: przyjęcie na stojąco bądź śniadanie, na które podawane są zimne mięsa.

<sup>75</sup>kagda ja pierestanu kuszat' pamidory (ros.) — kiedy przestanę jeść pomidory.

<sup>76</sup>Eine allgemeine Peyotltheorie (niem.) — ogólna teoria peyotlu.

<sup>77</sup>Wszystko dosłownie cytowane z nocnego protokołu. Pod wpływem wizji wszystko to zdawało mi się prawdą *dowiedziona*. [przypis autorski]

2.30 — Widzę mózg wariata, ale niepodobny do mózgu, tylko raczej do ogromnej wątroby. Powstają na nim wrzody bulgocące. Z każdego wylazi co chwila coś w rodzaju czarnej jagody i patrzy — jest to właściwie oczko. Mózg ten znajduje się w szponach zielonego pterodaktyla (skrzydlaty jaszczur — praprzodek ptaków), który ma głowę wbita po szyję w mięso. On to szponami wyciska pękające wrzody.

2.35 — Olbrzymia świątynia z czerwonego kamienia. Kolumny po jakie dwa tysiące metrów na tle szarego nieba. W dole czarny pyłek na stopniach czerwonych schodów — to jest cała ludzkość. Góry dookoła zmieniły się w potworne żywe bebechy z różowego, przezroczystego kamienia. Mają po kilkaset metrów długości. Z nich wytryska mi prosto w twarz fioletowa ciecz. Dotykowych halucynacji nie ma żadnych.

2.45 — Jem grahama z masłem z dzikim, zwierzęcym apetytem. Wyglądam za firankę. Już jest prawie jasno. Kamienica naprzeciwko robi na mnie bardzo przykre wrażenie. Zdało się, że rzeczywistości nie ma. Ograniczała się przynajmniej do zamkniętego pokoju. Trzeba będzie wrócić do realnego świata, którego wielkość działa przygnębiająco. Widzę pp. S. śpiących. Ponowne wizje miniaturowych twarzątek. Myślę, że Janusz Kotarbiński z jego charakterem kompozycji więcej by użył tego świata niż np. Rafał Malczewski lub ja. Ale w ogóle mam w tej chwili szaloną, spotęgowaną pogardę dla realistycznego malarstwa, prawie wstręt fizyczny, *jak również do całej tak zwanej nowej sztuki*. Tylko wielkie style starożytne są dla mnie sympatyczne w tej chwili lub co najwyżej prymitywi — reszta sztuki wydaje mi się niegodną egzystencji tandetą.

2.53 — „Straszliwe bebechy, z których wylewają się całe wodospady kolorowych cieczy”.

2.58 — Pochód ze słoniami i perłowym (to znaczy zrobionym z pereł) wielbłądem w masce czarnej. Wspaniały w proporcjach. Szalony realizm. Podglądanie i obejmowanie fantastycznych bebechów przez oczy na długich szypułkach”. Ciekawym faktem jest pojawienie się w wizjach rzeźb i architektur — dzieł sztuki bezwzględnie mi obcych z powodu braku poczucia u mnie trzeciego wymiaru. Mimo że w normalnej świadomości nie potrafiłbym zrobić najmniejszego szkicu rzeźbiarskiego czy architektonicznego (próbowałem raz rzeźbić i raz zrobić projekt na pomnik — były to rzeczy humorystyczne. Lepiej udawały mi się szkice do architektury, ale również odznaczały się brakiem inwencji i absolutną niekonstrukcyjnością), w wizjach widzę wspaniałe skomponowane budowle, i to nie tylko w stylach dawnych, ale jakby jakąś architekturę przyszłości — kombinację dzisiejszego, potwornego dla mnie stylu pudełkowego z elementami dawnej sztuki.

3.00 — „Człowieczek w rodzaju Micińskiego pędzący na księżyc i jego przygody. Opadł na spadochronie ze sflaczałą głową. Huśtawka elfów. (Numer komiczny.) Zrogowaciałe genitalia królowej Saby w muzeum astralnym. (Gdzieś szalenie wysoko to oglądałem. Proporcje olbrzymie.)”

3.05 — Powiedziałem: „dosyć wizji” i zgasilem lampę. Nic z tego. Nastąpiły wizje trupio-erotyczne. (Numer *macabre*.) Czaszka, która stała się płynna i spłynęła po wypuczonym brzuchu. Było to tak ohydne, że czym prędzej zapaliłem lampę. Erotyczny deszcz spódniczkowatych kwiatów. Uśmiechnięty brodacze w stylu Valois w olbrzymich pyskach wolich zamknięty.

3.10 — Hades mego pomysłu. (Pomyślałem sobie: tamten Hades narzucił mi Szmurło — teraz ja zobaczę swój własny.) Była to jaskinia szaro-żółta, z wylotem na również tego koloru pustynię. W jaskini było widno. Piekielna nuda tego obrazu przeraża mnie dotąd. Na prawo stłoczona grupa nieśmiałyh żółtych kościotrupów, na lewo u sufitu łopotały jak nietoperze duszki skrzydlate, również żółto-szare, półzwierzęce, jak *Caprichos* Goyi. Zapiisałem uwagę „panpeyotlową”: „Goya musiał znać peyotl”.

3.30 — Męczące wizje. Walka centaurów przemieniła się w walkę fantastycznych genitalii. Konieczność wyrzeczenia się narkotyków, nawet w formie eksperymentów lub dla celów rysunkowych. Pewnego rodzaju „nawrócenie się” życiowe. Bezwzględnie wyższy poziom duchowy tego stanu w stosunku do całej przeszłości. Mimo potworności wizji, które ukazują mi spotworniałe własne błędy, czuję się w wyższym wymiarze ducha i mam wrażenie, że to będzie trwałe. Olbrzymia czaszka, po której biegają czerwone „kraby zbrodni”. Żłopia coś w ranach tej czaszki. Po czym odpełży bokiem, po krabiemu w ciemność, jakby uciekały przed czymś. Skuropatwienie jastrzębia. Cudownie mądre,



jastrzębio-ludzkie oczy zgłupiały, powieliły się i w ptasich głowach uleciały za okrągły horyzont.

3.45 — Faraon podobny do mnie. Pochody, obrzędy totemiczne — trochę jastrzębio-gadzie. Niosą na olbrzymiej tarczy hiper-jastrzębio-gada. Potem ulecenie tego w postaci zwierzęcych duchów. Gady w płciowym splątaniu. Perwersje szalone legwanów — zupełnie realistycznie przedstawione.

3.50 — Numer realistyczny. Wężę w pustynnych źródłach. *Znowu wizja tego samego mózgu wątrobowego wariata w pewnym wariacie*. Potwór gadzi pterodaktylowaty chlipiący ten mózg z głową zanurzoną wyjął głowę i popatrzył na mnie drwiąco. Miał grzebień jak dinozaurus i żółto świecące fosforyczne oczy. Uśmiechnął się ironicznie zakrwawionym pyskiem. Otchłań płciowa z hipopotamem włochatym „na blond”. W tym okropne oczy. Czaszka pokrywa się sadzą — w tej sadzy zawstydzone topazowe oczko. To jest nikotyna. Pół czaszki oddziela się. Z oczodołu wypelza wąż w tęczowych kolorach i patrzy na mnie czarnymi oczkami. Jest pokryty piórkami kolibrzymi. To jest alkohol. Znowu pół czaszki oddziela się i pokrywa się białym puchem niezmiernie delikatnym. W puchu tym tkwią oczy kobiece błękitne — cudownie piękne i mądre. U dołu wyrasta mała rączka z białego zamszu z czarnymi kocimi pazurkami. Rączka ta ściąga i popuszcza białe lejce, które zachodzą mi na kark, ale bez wrażeń dotykowych. To jest kokaina.

3.58 — Najeżone pojęcia czyste w postaci kolców. Z tych pojęć zamiast prawdy (która stała obok *sztucznie* tyłem odwrócona, w postaci brązowego posążku kobiecego z wypiętym zadem) wyszło dziwne zwierzę, które zmieniło się w dziką świnię.

4.05 — Narodziny brylantowego szczygła. Tęczowy taks<sup>78</sup> rozprysnął się w fajerwerk czarno-różowych motyli na zgiętych różowych patyczkach. Znowu pochody egipskie i asyryjskie. Niewolnica kryjąca się za kolumną. Z tego potem wyrodziła się cała historia pałacowej intrygi w obrazach, zatopiona następnie w ohydnych, zatłuszczonych bebeczach.

4.10 — Zobaczyłem obrazowo wszystkie moje wady i błędy.

4.15 — Przemiana kościotrupa w ciało eteryczne (brylantowe!). Pochody zmieszane — np. rococo<sup>79</sup> z dzisiejszą epoką. Melanż stylów piekielny na fantastycznych wyścigach. Trybuny widziane z dołu. „Zakroczymskie międzykrocz”. Potrzeba wyrzeczenia się — tylko za tę cenę można pokonać to wszystko. Indianie mają rację, że peyotl karze winnych. Trzecia seria rysunków. Chwilami chce się palić, ale wstrzymanie się nie sprawia mi żadnego wysiłku.

4.40 — Lekki ból głowy z tyłu — jakby wewnątrz było beltające się metalowe jajo. Uczucie, którego właściwie dotąd nie znałem. Raz tylko bolała mnie głowa w życiu podczas tyfusu. Portret żony mimo wpatrywania nie ożywia się. Straciłem władzę zmieniania przedmiotów. Zmęczenie wizjami. Chęć snu bez wizji. Puls siedemdziesiąt dwa. Rzeczywistość przy otwieraniu oczu coraz bardziej robi się normalna, a nie niesamowita jak z początku. Wyginania przestrzeni — Einstein w praktyce — zanikają powoli.

4.43 — Grube baby wiszące na linach na Hali Gąsienicowej. Niezrozumiały symbolizm nawet w peyotlu.

4.55 — Chcę zobaczyć marszałka Piłsudskiego. Widzę go siedzącego przy stole pokrytym zielonym suknem. Obok stoi pułkownik P. żywy. Marszałek jest takim, jak na fotografii — nie widziałem go od 1913 r. i nie mogę ożywić jego wizji. Ma szary mundur i czerwoną wstęgę przez pierś. Lewe oko wychodzi delikatnie z orbity i widzę je w znacznym powiększeniu. Z tego oka wylatuje fioletowy meteor i przesywa mi głowę bez bólu. Znajduję się na szalonej wysokości nad Polską i widzę ziemię jak mapę. Ale nie widząc morza, nie mogę zorientować tego obrazu co do południa i północy. Meteor pędzi pode mną. Uderza w jakieś miejsce poprzerzynane różnokolorowymi polami. Następuje wybuch, jak po werźnięciu się w ziemię granatu. Z dymiącego leja wysypuje się masa robaków *żelaznych*, żółtych w czarne prążki i zalewa powoli cały pejzaż pode mną. Namyślałam się, czy miejsce wybuchu jest na Ukrainie czy na Pomorzu. Nie mogę bez znajomości kierunków rozstrzygnąć tego problemu, ale mam wrażenie, że to Ukraina. Mimo że od wojny cierpię na zawrót głowy, uniemożliwiający mi chodzenie po szczy-

<sup>78</sup>taks — jamnik.

<sup>79</sup>rococo — rokoko, dekoracyjny styl w sztuce europejskiej w latach ok. 1720–1790.

tach, i mimo że jestem na jakieś dwadzieścia kilometrów nad ziemią, nie odczuwam nic podobnego.

5.00 — Tajemnicza historia „damy z kresów” w obrazach. Żandarm, pop i staruszek w „szlacheckim mundurze” (którego nigdy na oczy nie widziałem). Feldmarszałkowie angielscy — jeden w stosowanym kapeluszu, drugi w mundurze kirasjera<sup>80</sup>, ciągną wśród deszczu wóz z posągami indyjskim. Ma to być kara. Gady. Wszystkie gady zrodzone są we mnie przez używanie alkoholu — tak mało tego było, a tyle gadów!

5.04 — Narodziny potwora. *Cudownie* piękna blondynka z niebieskimi oczami — zawsze ten sam kobaltowy kolor — zawinięta w futro. Nogi jej rozchylają się — ciało tłustociej, łśni i pęka — rodzi straszego gada o głowie okrągłej, z twarzą foki i kota, zmieszanych z pewnym znajomym generałem: oczy wylupiające tego samego koloru co jej oczy, wąsy żółte, szczeniaste. Potwór pełźnie ku mnie. Jest wesoły, ale tak straszny, że gdy dotyka prawie wąsami mojej twarzy, otwieram oczy z krzykiem i (o zgrozo i o cudzie! — jak by wykrzyknął poeta) mimo to widzę z szalonym przerażeniem tę samą scenę na tle szafy.

5.08 — Ponura flota z olbrzymimi twarzami pod sterami. *Mam dosyć wizji.*

5.11 — Gnijąca noga. But się rozpada. Wyłażą robaki różowe, nieprzyzwoite i rosną dalej, jak trawa do góry.

5.18 — Niesłyszanej sympatyczności i ładności panienka zmieniła się powoli w człapiącą, bańkowatą ohydę.

5.20 — Jestem chyba wcieleniem tatrzańskiego króla węzów. Dolina Małej Łąki w Tatrach w zimie. Jestem na nartach. Kiedy dostaję się na Przysłop Miętusi, z przerażeniem spostrzegam, że stoję na grzbiecie olbrzymiego szarego węża, grubości jakieś sto do stu pięćdziesięciu metrów, który ciągnie się gdzieś aż spod Giewontu i spada ogonem w Dolinę Kościeliską.

5.25 — Jakiś przodek mojej żony, *heretyk*, widziany z profilu — wciągnięty w kłębowisko węzów. Tarcza herbowa wrosła w węża i rozlała się. Obok inna tarcza z lwem rozkraczonym. (Numer snobistyczny.) W pokoju mimo firanek coraz jaśniej od dziennego światła.

5.47 — Znowu całe masy wizji. Luksusowy gad w rodzaju dinosaura. Mówię sobie: gad „*pour les princes*”<sup>81</sup>. Żółto-zielony z karminem. Śmieje się do mnie. Słoneczny rycerz pod szkłem, po wizji geograficznej z podwójnym wschodzącym słońcem. Na bardzo zgrabnej nodze pusty pęcherz wypina się aż w nieskończoność. Karykaturalne typy męskie w kostiumach. Sprawa honorowa francuskich oficerów w czerwonych kepi<sup>82</sup> z młodym, piekielnie przystojnym Rosjaninem z bródką. Taką chytrą rzecz, jak malarstwo i rzeźbę, mógł zrodzić tylko peyotl. Muzyka mogła narodzić się sama, ale takie rzeczy, jak dawne style w rzeźbie i architekturze, nie mogły powstać bez wizji. Studnię z potworami biało-czerwonymi w pustyni zasypał zmieszany oddział Beduinów i Francuzów na *perszeronach*<sup>83</sup>. Owrzodziało cyca generała Porzeczko. Nie znam takiego, a jednak widziałem go nagiego do pasa. Sympatyczny zresztą brzuchacz. Hydrocynchytina — cuchnąca moralna.

6.17 — Bez skutku zażywam walerianę. Sen nie przychodzi, bo mimo zmęczenia przeszkadzają ciągle coraz to nowe wizje. Niedopępie ziemskie na stożku, obszczekane przez latające, psie smoki. Ohydny gad, koloru *bleu acier*<sup>84</sup> w czerwone cętki, na dnie płytkiej sadzaweczki — płaski jak raja, bez głowy. Wyrosły z niego bardzo nieprzyjemne węże. Tego gada i mózg wariata widziałem dwa razy — jedyne wizje, które się powtórzyły. Wieże znikające i olbrzymi żalobnik (motyl) oświetlony Słońcem Prawdy.

6.30 — Wypilem resztę waleriany. Mam stanowczo dosyć wizji. Cała brzydota naturalizmu (nie samej natury) wobec tego bogactwa form jasna jak słońce. Nie dziwię się, że dawni ludzie zamiast naśladować naturę stworzyli pod wpływem wizji tak potężne style.

6.38 — Jestem w Zakopanem na werandzie willi „Zośka”. Pada ulewny deszcz. Widzę liście drżące od spadających kropel i błoto na ulicy tak dokładnie, jakbym tam był. Peyotl

<sup>80</sup>kirasjer — żołnierz jazdy pancерnej.

<sup>81</sup>*pour les princes* (fr.) — dla książąt.

<sup>82</sup>kepi — rodzaj sztywnej czapki wojskowej zaopatrzonej w czworokątny daszek.

<sup>83</sup>perszeron — ciężko koń pociągowy.

<sup>84</sup>*bleu acier* — szaroniebieski, stalowy.

nie pozwala mi jednak zaglądać przez okno. (Skonstatowałem później, że tego dnia rano rzeczywiście była ulewa.) Jestem w pokoju śpiącej p. X, ale nie mogę jej obudzić.

7.15 — Franciszek I zamienia się we Władysława Orkana. Znowu cudownie nieprzyzwoita, ale inna kobieta (nie ta blondyna poprzednia) rodzi potworka ptasiego, który wylaniając się z niej pije wodę z kałuży, podnosząc głowę do góry. Ohydny akt płciowy z mnóstwem gadów. Strach przed światłem. Stan trochę nienormalny co do wrażeń przestrzennych, ale zresztą takie zmęczenie mogłoby być i po normalnie nie przespanej nocy w wagonie, bez żadnych ekstrawagancji.

8.15 — Zamierające wizje z tęczy drucików, jak na początku seansu. Śniadanie, mycie się. O dziesiątej kładę się spać i mam jeszcze resztki wizji. Spałem do dwunastej. Stan normalny, tylko lekkie ogłupienie i dezorientacja w przestrzeni. Do wieczora źrenice miałem rozszerzone. Puls normalny. O piątej po południu zapaliłem bez wielkiej przyjemności pierwszego papierosa.

Na następnych seansach z preparatem dr Rouhier miałem zjawiska podobne, tylko o wiele słabsze. Również wizje meskalinowe nie dorównywały działaniu oryginalnego meksykańskiego peyotlu. Kaktus zawiera pięć alkaloidów (między nimi meskalinę), których proporcja najkorzystniejsza dla działania wizyjnego zależy od wieku rośliny i klimatu, w którym dojrzała. Oprócz meskaliny dwa z alkaloidów peyotlu mają działania centralne. To zdaje się być przyczyną, że doświadczenia z samą meskaliną, przynajmniej robione na mnie, który znam działanie preparatu oryginalnego, dały rezultaty o wiele poniżej mego pierwszego spotkania się z peyotlem. Poza tym niektórzy twierdzą, że żaden syntetyczny preparat nie jest w stanie zastąpić naturalnego, chociażby w chemicznej strukturze nie można zauważyć między nimi żadnych różnic. Wiadomo, co się dziś wyrabia z pierwiastkami, cóż więc mówić o skomplikowanych połączeniach. Jeśli chodzi nie o same wizje, tylko o zmiany w psychice w ogóle, to meskalina okazała się o wiele potężniejszą niż ekstrakt peyotlowy w obu wyżej wspomnianych gatunkach. Niestety ci, którzy próbowali meskaliny razem ze mną, nie znali preparatu meksykańskiego i brak jest materiału dla porównania obu działań na większej ilości wypadków. W każdym razie po tamtej niezapomnianej dla mnie nocy powiedziałem sobie: „Teraz mogę umrzeć spokojnie, bo widziałem tamten świat”. Nigdy bym tego nie powiedział o meskalinie. A więc co do mnie działanie jej było następujące: zamiast zwolnionego tętna — przyspieszone aż do stu trzydziestu, ogólny stan fizyczny fatalny: zawrót głowy, osłabienie w nogach; psychiczny: nieprzytomność chwilami dość znaczna, zanik poczucia rzeczywistości, euforia i podniecenie na przemian z niepokojem, depresją i nieokreślonym strachem. Schizofreniczne rozszczepienie graniczące chwilami z lekkim bzikiem. Nieswojość swojej osoby, obcość ciała, poczucie, że wszystko jest *nie to*. Za to rysowanie automatyczne dość precyzyjne — charakter rysunków bezwzględnie inny niż przy alkoholu i innych narkotykach, zbliżony do marki peyotlowej. Deformacje rzeczywistości przy wpatrywaniu się w ciemnym pokoju bardzo znaczne. Ale co do samych wizji, to nie przekraczały one u mnie drugiego stadium: szkice do wizji prawdziwych zrobione przeważnie z kolorowych drucików i ledwo zarysowujące się, precyzyjne wprawdzie w wykonaniu, ale słabo kolorowe pyski, bydłeta dziwne (lew zrobiony z pereł, który wypiął się na mnie jak mandryl), architektury, miasta, maszyny itp., ale wszystko nie przechodzące w wymiar pełnej rzeczywistości, jak przy peyotlu prawdziwym. Ale inni, którzy próbowali meskaliny, „chwalą ją sobie bardzo”. Nie znają, nieszczęśni, tamtego... Dr B., specjalnie<sup>85</sup> wrażliwy na najmniejsze dawki peyotlu nr 2, mający codziennie prawie hipnagogi bez żadnych narkotyków, już po 0,3 meskaliny (maksymalna dawka 0,5 w dwóch porcjach co godzinę) doznał wrażeń zupełnie niezwykłych i nie notowanych w książce Beringera. Poza tym, że miał pierwszorzędne wizje, z których niektóre namalował olejno, i poza rozdwojeniem osobowości, podobnym do opisanego w książce Rouhiera — widział swoją drugą osobę jako świecący kryształ w odległości paru kilometrów — przerobiono z nim eksperyment następujący: zawiązano mu starannie oczy, po czym wykonywano przed nim w odległości paru kroków pewne ruchy. Dr B. powtarzał dokładnie wszystkie ruchy, tylko na odwrot. Kładziono mu na czoło monetę: zawsze poznawał, którą stroną leży. Kiedy mu położono złoty zegarek, zobaczył orła. Sam właściciel zegarka nie wiedział, że na kopercie wewnętrznej jest

<sup>85</sup>specjalnie — tu: szczególnie.

wyryty orzelek. Inni doznawali wrażeń rozdwojenia, obcości własnego ciała, dochodzącej prawie do tego stopnia, który osiągnąłem ja po peyotlu nr 1 w stosunku do własnej ręki. Zaznaczyć trzeba, że czysta meskalina nie wywołuje objawów przyzwyczajania, podobnie jak sam peyotl.

Jeśli chodzi o działanie moralne, to uważam, że peyotl, a może i czysta meskalina powinny być stosowane u nałogowych narkomanów w okresach odzwyczajania się od trucizn. W czasie działania oba specyfiki wywołują ostry wstręt do alkoholu i tytoniu — tak fizyczny, jak i moralny. Wstręt ten trwa dłuższy czas po przeminięciu transu i może być zużytkowany nawet przy jednorazowym użyciu jako podstawa do zaprzestania całkowitego. Trzeba odróżnić narkomana nie mogącego przestać się narkotyzować od nie chcącego tego uczynić. Pierwszy stan jest oczywiście wynikiem drugiego. Do wyjścia z tego ostatniego może znakomicie pomóc peyotl — może zaszczepić niechęć do danego narkotyku, o co w pierwszych stadiach jest tak trudno. Chęć leczenia się (tylko niestety nie u alkoholików — u tych chęć ta jest wyjątkiem) występuje zwykle wtedy, gdy na „domowe środki” jest za późno, a w większości wypadków sanatoryjne leczenie jest niemożliwe. Oczywiście do wszystkiego można się przyzwyczaić, nawet do aspiryny i oleju rycynowego. Jeśli się ktoś gwałtem uprze, to może stać się nałogowym peyotlistą czy meskalinistą — ale będzie to chyba osobnik zupełnie zboczony, i tak, i tak skazany na taką czy inną zagładę. Nie propaguję tu bynajmniej peyotlu jako nowego środka dla „ucieczki od rzeczywistości”, tylko wskazuję na nieocenione jego zasługi, jeśli chodzi o zaczęcie tzw. „nowego życia”. W czasie, gdy spróbowałem po raz pierwszy tego cudotwórczego lekarstwa, byłem w okresie picia z lekka niebezpiecznym. Po wielkich dawkach alkoholu często miałem ochotę na „biały proszek”, chcąc przerwać alkoholiczną nudę. Oczywiście nie chlałem od rana ani codziennie, ale zbyt już często potrzebowałem lekkiego wstrząsu, aby co tydzień czy co pięć, sześć dni zaczynać „nowe życie” na nowo. Na jednej z tzw. „orgii” spotkałem Ossowieckiego<sup>86</sup>, który później dał mi znać, że coś ważnego ma mi do powiedzenia. Niestety musiałem wyjechać nie zobaczywszy się z nim. W jakiś czas potem, kiedy nie piłem już dziewiąty miesiąc, spotkałem go w towarzystwie i spytałem, co chciał mi wtedy zakomunikować. Spojrzał na mnie badawczo i odpowiedział: „Teraz to już jest niepotrzebne”. Na moje nalegania przyznał mi się, że chciał ostrzec mnie przed grożącym mi według niego obłędem. „Miał pan jeszcze dwa do trzech tygodni takiego życia, a potem koniec” — odpowiedział. Otóż wtedy sam nosiłem się z myślą zaprzestania eksperymentów na czas dłuższy, ponieważ częstość ich (drugi raz w życiu) zaczęła przekraczać granice dozwolone nawet dla tak trudno nałogującego się osobnika jak ja. I byłbym to bez wątpienia zrobił sam, bez żadnych sztucznych środków, jak to robiłem kilka razy nawet w mniej groźnych „*obstojatielstwach*”. Ale bezwzględnie pomógł mi peyotl, gdy raptownie przestałem pić i nie wziąłem do ust nic (prócz czasami troszkę(u) piwa) przez przeciąg czternastu miesięcy, i to bez najmniejszego trudu. Oczywiście trzeba na to woli. Na samym peyotlu nikt bez wysiłku daleko nie zajędzie. Ale czasem trzeba tylko umieć zdeklanszować (mgdyknąć, pryksnąć, pierwsoprztyknąć, krwampknąć, plupsnąć) pierwszy odruch zdrowej woli, aby cały gmach dalszy sam się niejako na nim zbudował. A peyotl, poza wstrętem do narkotyków, daje jeszcze głębsze wejrzenie w siebie, co dla osób nie mających specjalnego obowiązku oszczędzania swego mózgu dla rzeczy lepszych jak woda i koko szczególnie może być wartościowym. Ktoś mi powiedział: „No po cóż mam to właśnie zażywać? Kolory widzę i tak, co chcę, mogę sobie wyobrazić, nic wiedzieć o sobie nie chcę więcej, niż wiem w stanie normalnym, nie palę, piję dwa razy na rok, i to mało, niczego innego nie używam”. Oczywiście miał rację. Muszę tylko bronić wizji jako takich. Nikt nie jest w stanie tego zrozumieć, kto tego nie przeżył. Ale że doskonale można żyć (szczególniej będąc pyknikiem) bez takich przeżyć, to jest najświętsza prawda i nikogo na tym miejscu na peyotl nie namawiam. Możliwe, że w moich wizjach za dużo było humorystyki i potworności zmieszanych razem i na ten temat można je zlekceważyć. Ale pomijając cztery stadia zasadnicze, jednakowe u wszystkich, każdy może mieć takie wizje, na jakie zasłużył. Słyszałem o pewnym panu, który przez tydzień po peyotlowym transie nie wychodził z domu i nie chciał nikogo widzieć z obawy, aby mu rzeczywistość nie popsowała cudownych rzeczy, które w widzeniach swych przeżył. Widocznie ja byłem

<sup>86</sup>Ossowiecki, Stefan (1877–1944) — inżynier uważany za jasnowidza.

„niegodnym”, a i tak nie żałuję tego. Peyotlu nr 2 i meskaliny nie zażyłbym już więcej nigdy. Ale oryginalnego meksykańskiego chciałbym użyć raz przed śmiercią, ażeby zobaczyć, jak to tam jest teraz ze mną naprawdę. Niestety stosunki meksykańskie utrudniają bardzo dostanie prawdziwego preparatu.

Oprócz opisanych jądów zażywałem też *ya-yóó* w postaci harminy Mercka, eukodal i haszysz — ten ostatni jako ekstrakt *Canabis Indica*, ale oryginalny, świeżo przywieziony z Persji, i haszysz perski do palenia — zażywałem je i rysowałem pod ich działaniem. Bezsprzecznie każdy jest różny pod względem wywoływanego nastroju i działania na rysunek. Haszysz w dużych ilościach daje, szczególnie zmieszany z alkoholem, pewne wizje dość dziwaczne z powielaniem się przedmiotów i osób aż gdzieś w nieskończoność; daje też stany psychiczne interesujące: utożsamianie się z przedmiotami, zatrącenie poczucia tożsamości na małych wycinkach czasu itp. Ale wizje haszyszwowe „ani umywają się” do peyotlowych. Są to rzeczy zupełnie niewspółmierne. Harmina wywołuje pewną „niesamowitą rzeczywistość” i automatyzm przy rysowaniu. Jednak ze względu na jej działanie na ośrodek ekstrapiramidalny (sic!) i odhamowanie odruchów nie miałem odwagi przekroczyć maksymalnej dawki terapeutycznej. Z głową ostatecznie niech się dzieje, co chce — ale utracić zupełnie władzę nad inercją mięśni, to jak dla mnie przynajmniej zbyt gruba jest historia.

Kończę te rozważania wołając wielkim głosem: „Ocknijcie się, palacze i pijacy, i inni narkomani, póki czas! Precz z nikotyną, alkoholem i wszelkimi «białymi obłędami». Jeśli peyotl okaże się ogólną odtrutką na tamte wszystkie świństwa, to w takim i tylko w takim razie: niech żyje peyotl!”

#### MORFINA

Napisał Bohdan Filipowski, były profesor filozofii ezoterycznej

Gdybyśmy zapragnęli zmierzyć niebezpieczeństwo, jakie ten czy ów narkotyk przedstawia dla ludzkości, gdybyśmy próbowali sklasyfikować porównawczo rozmaite narkotyki pod tym kątem widzenia, to mniemam, iż najprostszą miarą, jaką byśmy mogli w tym celu się posłużyć, miarą opartą o podstawy psychologiczne (a więc zgodne z wytycznymi całokształtu naszego studium), miarą, która się nam prawie narzuca, są wartości emocjonalne danego narkotyku. Jest to tak samo przez się zrozumiałe, iż prawie zbyteczne tego dowodzić, zaś praktyka daje nam przykłady na każdym kroku.

Im szerszy jest zakres, im cenniejszy rodzaj przeżyć psychologicznych, jakie z pomocą danego drogu możemy osiągnąć, tym potężniejszą jest jego siła atrakcyjna<sup>87</sup>, tym silniejsza pokusa, na którą jesteśmy wystawieni wobec ewentualnej okazji.

Spytajmy jakiego bądź narkomana, czemu tak lekkomyślnie naraża swój umysł, zdrowie i nerwy; spróbujmy zwrócić się do niego z tak zwaną perswazją, apelując do trzeźwych argumentów i logiki — a w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto odpowie nam: „ależ, panie, gdyby pan tylko wiedział”... i z entuzjazmem opíše nam niczym nie zastąpione emocje, jakie mu daje jego, *supposons*<sup>88</sup>, alkaloid, wobec wartości których upada całkowicie taka czy inna życiowa rachuba.

Tak jest — i gdy z tego punktu pragnęlibyśmy porównywać różne narkotyki, to bezwarunkowo morfinę umieścić musimy w rzędzie najniebezpieczniejszych! Bowiem „wartości” owe posiada morfina w stopniu bardzo wielkim — niektóre spośród nich zasługiwałyby nawet na miano zgoła wartości pozytywnych, gdyby... w tym „gdyby” właśnie spoczywa cały punkt ciężkości, lecz zanim uczynimy tutaj to ważne zastrzeżenie, pozwólmymy sobie wprzód na małą dygresję, która nie będzie zresztą tak bardzo nieaktualną.

Nie pomnę, który pisarz francuski uparcie obstawał przy twierdzeniu, że własności emocjonalne narkotyków są tylko i wyłącznie negatywne. Wysnuł też cały szereg wniosków równie fałszywych, jak samo założenie.

Twierdzi on mianowicie, że narkotyki absolutnie nie są w stanie dostarczyć nam wrażeń i przeżyć psychicznych posiadających jakąkolwiek pozytywną wartość, że historie o fantasmagoriach i sensacjach opium, haszyszu etc., opisy sztucznych rajów są od początku do końca czczym wymysłem; wreszcie że narkotyki mogą jedynie na czas pewien

<sup>87</sup> *atrakcyjny* — przyciągający.

<sup>88</sup> *supposons* (fr.) — przypuśćmy.

usunąć z naszej duszy ból i cierpienia zrodzone ze spraw świata zewnętrznego, czyniąc nas po prostu nieczuлыми na wszelkie, utrapienia, przykrości i dysharmonie życiowe.

Wynika stąd bardzo ważny wniosek, a mianowicie: na to, by zakosztować słodczych rajów narkotycznych, trzeba być wprzód nieszczęśliwym, musi się przejść całą gehennę cierpienia w życiu, aby dopiero znaleźć rozkosz wyzwolenia się od nich w oglupiającym odurzeniu, które zresztą nic ponadto nie przynosi. Tym to faktem również tłumaczy sobie ów autor znane zjawisko, że narkomani zazwyczaj nie są zbyt skorzy do ułatwiania „laikom” zapoznania się z ich specyfiką. Rzeczywiście, w myśl tej tezy rzecz byłaby nieco zbyt skomplikowana, wszak trudno na zawołanie unieszczęśliwić gruntownie swego *compagnon*<sup>89</sup>, aby móc w następstwie otworzyć mu drogę do prawidłowej oceny jakiegoś alkaloidu.

Jak widzimy, usiłują nam tu przedstawić narkotyki wyłącznie jako rodzaj psychicznego *anestheticum*<sup>90</sup>.

Dobrym jest choć to, że autor szczerze zaznacza, że narkotyki są mu znane tylko całkiem z daleka, na podstawie „opowiadań dość luźnych” (dodajmy: prawdopodobnie pochodzących z czwartej ręki). Szkoda jednak, że na podstawach tak kruchych buduje gmachy twierdzeń doprawdy bardzo dalekich od rzeczywistości.

Rzeczywistość bowiem ma nam zgoła inne prawdy w tej kwestii do wyjawienia.

Każdy, kto miał z narkotykami w praktyce do czynienia, wie dobrze, że rozmaite białe i brunatne trucizny kryją w swym łonie możliwości przeżyć psychicznych o wiele przerastających wszystkie fantazje literackie na ten temat stworzone; a to już choćby z tej prostej przyczyny, że częstokroć znaczna część owych fantasmagorii z jadu zrodzonych zaledwie z trudem da się słowami wyrazić i opisać.

W rzędzie zaś drogów obdarzonych tymi właściwościami białe matowe kryształki formy kubicznej<sup>91</sup>, zaopatrzone etykietą z napisem *Morphium muriaticum*, zajmują miejsce zgoła poczesne.

I dlatego powiedzieliśmy, iż morfina jest środkiem ogromnie niebezpiecznym, bo ogromnie kuszącym, posiada bowiem wartości rozliczne pozytywne, nie tylko subiektywnie rzecz biorąc jako źródło emocji, lecz nawet wartości takie, które jako zgoła obiektywne traktować by można, gdyby nie to, że wartości te nigdy i w żaden sposób na dłuższą metę wykorzystać się nie dają, i gdyby nie potworna wprost cena, jaką za nie płacić trzeba, i to zapłacić z rachunków bieżących swego zdrowia fizycznego, moralnego i psychicznego w sposób, który grozi szybkim i zupełnym bankructwem...

Spróbujmy tedy naszkicować możliwie wierny i plastyczny zarys owych stanów psychicznych, jakie przeżywa człowiek z pomocą tak prostego kompletu utensyliów, jak: 1. strzykawka marki „Record”, 2. igła przeważnie cienka nr 17–20 i 3. flaszka z roztworem.

Powiedzieliśmy już, iż pragnieniem naszym jest, aby szkic ten był *możliwie wierny*. Odrzućmy precz wszelkie apriorystyczne nastawienia w jakimkolwiek kierunku, niech nam nie zależy wcale na tym, aby przemawiać ze stanowiska wroga owego narkotyku. Bo i po co? Jeśli morfina zasługuje na pochwałę, to w imię czego być jej wrogiem? A jeśli godną jest potępienia, to żaden wróg nie będzie dla niej tak groźny, jak sama naga prawda. Postarajmy się wprowadzić czytelnika *in medias res*<sup>92</sup> tych jedynych w swoim rodzaju stanów, z całym stopniowaniem ich rozwoju, z ich apogeum i decrescendo<sup>93</sup> i wraz z wszelkimi towarzyszącymi im reakcjami i objawami pobocznymi we wszystkich częściach człowieczego „ja”.

Jak większość narkotyków morfina za pierwszym razem nie daje jeszcze właściwych wrażeń. Organizm potraktowany po raz pierwszy danym specyfikiem jest przede wszystkim ogólnie oszołomiony i to oszołomienie góruje nad wszystkim, nie pozwalając nerwom sprecyzować i sklasyfikować otrzymywanych wrażeń. To stadium przygotowawcze trwa w zależności od organizmu zazwyczaj od jednego do trzech seansów. Dopiero tedy za drugim względnie trzecim lub czwartym razem przeżywamy wszystkie typowe wrażenia i stany psychiczne właściwe morfinie.

<sup>89</sup>*compagnon* (fr.) — towarzyszy.

<sup>90</sup>*anestheticum* (łac.) — środek znieczulający.

<sup>91</sup>kubiczny — sześcienny.

<sup>92</sup>*in medias res* (łac.) — od środka, bez zbędnych wstępów.

<sup>93</sup>*decrescendo* (z wł.) — stopniowe wyciszenie, wygasanie.

W kolejnym ich opisie zaczniemy od punktu zapewne najszerzej znanego, który również służył za podstawę rozumowania owemu autorowi, którego cytowaliśmy wyżej.

Własność ta jest jakby punktem wyjścia dla szeregu dalszych stanów, przejawia się najwcześniej i jest prawie bez wyjątku powszechna dla wszystkich organizmów. Określić ją można w krótkości, jak następuje: *morfina jest uniwersalnym analgeticum*<sup>94</sup> *fizycznym i psychicznym*.

Fakt, iż w kwadrans po iniekcji<sup>95</sup> ustępują prawie że wszelkie, nawet bardzo dotkliwe cierpienia fizyczne, o tyle dobrze jest znanym, o ile nas tutaj najmniej interesuje, jako należący do domeny rozpraw medycznych.

Analogiczne zjawisko na płaszczyźnie psychicznej posiada za to dla nas wagę pierwszorzędną.

Człowiek, który wyjąwszy igłę spod skóry po dokonaniu zabiegu obserwuje siebie w oczekiwaniu fenomenów, jakie nastąpią w jego duszy, prawie nigdy nie zdoła pochwycić momentu, w którym czar zaczyna działać. Zupełnie tak, jak ze snem. Dopóki skupiamy uwagę na fakcie zasypiania, pragnąc zbadać, jak się to właściwie dzieje — dopóty sen nie przychodzi; odwróćmy jednak na chwilę tylko myśl naszą — już śpimy!

To samo tutaj. Zupełnie niepostrzeżenie, nie wiadomo kiedy i jak, zmienia się całkowicie nasz stosunek do świata, wkładamy na oczy kompletnie odmienne nowe szkła, światopogląd nasz, począwszy od najbliższego otoczenia, aż do najdalszych nam psychicznie cząstek bytu, ulega gruntownej, och! jakże zasadniczej przeróbce.

Nie zdołaliśmy uchwycić momentu granicznego dwu stanów, lecz w pewnej chwili (pod warunkiem oczywiście zachowania zdolności samokrytycyzmu i obserwacji w zależności od stopnia ich wyrobienia) konstatujemy fakt niezaprzeczony, że oto już od pewnego czasu znajdujemy się na torach myślowych zupełnie odmiennych od zwykłego.

Bo cóż się właściwie z nami stało? Ba! Stało się coś zupełnie niesamowitego, coś, co zdaje się pochodzić nieledwie z innego wymiaru; bo czyż zdoła kto w pełni przeniknąć całą wagę słów, które zaraz wypowiem, a których brzmienie jest co najmniej szalone:

*Zło zniknęło...*

Co takiego?!... No tak — po prostu! — zniknęło, podziało się gdzieś czy przeniosło na inną płaszczyznę bytu, wsiąkło, zapadło się na samo dno otchłani Arymana<sup>96</sup>, zdmuchnięte, zwiane i *ziewane* w dalszym ciągu coraz bardziej, coraz dokładniej i absolutniej, byleby nie zostało ani jednego atomu przekłętego *principium*<sup>97</sup> w tej błogosławionej sferze, w której *my* się znajdujemy.

Zła nie ma już... i to pod *żadną* postacią — cierpienia rozmaitego rozmiaru i gatunku, strapienia i obawy, złość ludzka i okrucieństwo świata, wrogość tysięcy elementów, jakie nas otaczają, wszystko to rozplynęło się, stopniało jak cukier w ukropie, w cieplej, miłej, przyjaznej atmosferze — i to tym razem bez żadnych przerośni, nawet każda cząstka powietrza, która nas otacza, jest naszym przyjacielem, powietrze faluje dokoła nas w ten sposób, aby nam zrobić przyjemność (zresztą i sobie samemu także, atomy powietrza znajdują przecież rozkosz w samym zetknięciu z naszym ciałem).

Jesteśmy mili całemu światu, a świat sprawia nam radość samym swoim istnieniem.

I jakżeż mogłoby być inaczej, skoro świat jest *takim* właśnie, a życie tak bardzo jest piękne!

I piękną jest cała przyszłość nasza, począwszy od chwili obecnej (przeszłość *wydawała nam się szara lub przykra* czasami *tylko* dlatego, że nie umieliśmy żyć!) Bo żyć z ludźmi trzeba zupełnie inaczej, niż to czyniliśmy dotąd — jak? ależ bardzo prosto! Przede wszystkim prosto, przy tym *szczerze*, no i co najważniejsza — *przyjaźnie*. Ach, jakimiż głupcami byliśmy, gdy nam się zdawało, że ta a ta sprawa najeżona jest trudnościami, a człowiek, z którym ją mamy omówić i załatwić, taki szorstki, zimny, niechętny, no i w ogóle trudny.

Absurdy! Należy pójść do niego i po prostu *wythumaczyć* mu wszystko, ot tak, tak, tak i tak (Boże! jakżeż to jasne, toż przecie bardziej niż oczywiste; a przy tym jak cudownie, krystalicznie pracuje myśl moja — słowa sypią się same jak szmaragdy, rubiny,

<sup>94</sup>*analgeticum* (łac.) — analgetyk, środek znieczulający.

<sup>95</sup>*iniekcja* — wstrzyknięcie.

<sup>96</sup>*Aryman* — hinduski bóg ciemności i zniszczenia.

<sup>97</sup>*principium* (łac.) — zasada.

szafiry i ametysty z jakiejś czary bez dna i układają się w najwspanialsze wzory rozsądku, trzeźwości i logiki — gdybyż mógł *on* słyszeć czwartą część tych słów, to musiałby się chyba dziwić, że w ogóle mógł kiedykolwiek myśleć inaczej).

Ale to wszystko jedno; jutro pójdę do niego, powtórzę mu to wszystko lub choćby małą cząstkę i sprawa najcudowniejsza w świecie się załatwi.

*By Jove*<sup>98</sup>! Wszak w ogóle myśli moje są dziś wprost cenne; i co za nawał, co za wichura myśli, słów, zdań tak przejrzystych, tak jedyńskich, że grzechem byłoby wprost to zmarnować!

Pogadajmy! Z kim bądź, ale zaraz i za wszelką cenę... Nie ma nikogo? Wreszcie i to obojętne, a może nawet lepiej: rozmawiać będziemy z *samym sobą*, co przy takim bogactwie materiału jest chyba najlepszym jego wykorzystaniem.

Płyną więc dalej rozmowy z samym sobą i z urojonymi interlokutorami<sup>99</sup>; nie kończące się dyskusje, przemowy i wykłady, wygłaszane z takim zapalem, jakbyśmy mieli przed sobą audytorium z kilkuset najwdzięczniejszych słuchaczy, rozprawy na wszelkie tematy: filozoficzne, naukowe lub czysto życiowe; najbardziej abstrakcyjne i teoretyczne, to znów obracające się w zakresie najpospolitszych kwestii życia codziennego.

Zdajemy sobie przy tym sprawę, że cały ten stan wywołany jest sztucznie, co nam jednak wcale nie przeszkadza rozkoszować się nim i cenić go wysoko.

I co najdziwniejsze, ocena nasza, obiektywnie rzecz biorąc, jest trafna. Na specjalne podkreślenie zasługuje ten punkt właśnie, odróżniający morfinę od innych narkotyków. Gdy np. pod większą dawką kokainy częstokroć wygłaszamy całe steki nieprzytomnych lub przynajmniej dziwacznych paradoksów z przeświadczeniem, że są to rewelacje bezcenne dla ludzkości — morfina podnieca nas do tworzenia myśli, którymi bynajmniej pogardzać później nie będziemy. Jeśli stany wymienione przeżywa umysł twórczy w jakimkolwiek kierunku: artysta, uczonec czy literat, to stworzy on dzieła o niewątpliwiej, ściśle obiektywnej wartości, osiągając przy tym wielkie rezultaty z nieproporcjonalną łatwością. I to właśnie, co zdawałoby się decydować o istotnej wartości naszego drogu, stanowi zdaniem naszym najgorsze, potworne wprost niebezpieczeństwo. Dlaczego tak jest, zaraz zobaczymy. Po tym, co powiedzieliśmy dotąd, zbyt czcym byłoby chyba przekonywać, że w dziewięciu wypadkach na dziesięć eksperyment morfinowy zostaje po krótkim czasie powtórzony kilkakrotnie z tymi samymi objawami dodatnimi, a *prawie* bez żadnych ujemnych. Bo czyż wobec tak pięknych rzeczy, jakie nam biały jad daje, zwróci ktokolwiek uwagę na takie drobnostki, jak to, że pierwotna dawka jednego do dwóch cntgr. zostaje już po paru razach podniesiona do trzech cntgr. lub też, że cały system trawienia, uspijony narkotykiem, reaguje nań gwałtowną obstrukcją, która zaczynając od pierwszego seansu nie opuści morfinomana aż do końca. Poza tym tak zwany katzenjammer przeważnie minimalny, w formie słabo dostrzegalnej reakcji i znużenia. Awansujemy tedy!

A godzi się spostrzec, że awansujemy wcale<sup>100</sup> szybko, a nawet coraz to prędzej. Po krótkim czasie dochodzimy do poczucia pewnej dumy na ten temat. Organizm nasz wydaje się nam godzien podziwu: wszak dawki, które używamy „jak nic” w trzecim czy czwartym miesiącu, byłyby zdolne zabić słonia (porównanie z poczciwą dawką końską pozostało dawno poniżej naszego standardu).

Z drugiej strony przychodzi refleksja, żeśmy się jednak trochę zagalopowali! Wszystko dobre, ale w miarę itd. — w rezultacie szlachetne postanowienie schowania strzykawki gdzieś między nieużyteczne graty na dłuższy wypoczynek.

I tu właśnie *Vampir-Morphium* pokazuje nam po raz pierwszy swoje pazury, niestety już w momencie, gdy tkwią one mocno a głęboko w najczulszych centrach naszej istoty.

Okazuje się bowiem, i to w sposób o wiele gorszy, niż byśmy się spodziewali, że nasz piękny zamiar jest po prostu niewykonalnym, że po strzykawkę *musimy* sięgnąć znowu, i to z pośpiechem, że po krótkim i jakże fatalnym szamotaniu się przekonałszy się niezbitnie, że tkwimy oto w takiej niewoli nałogu, wobec której niewola przeciętnego palacza lub alkoholika jest jeszcze igraszką.

<sup>98</sup>*By Jove* (ang.) — na Jowisza.

<sup>99</sup>*interlokutor* (z łac.) — rozmówca.

<sup>100</sup>*wcale* (daw.) — całkiem.



Wiemy, iż każdy nałóg narkotyczny musimy analizować z dwóch stron podstawowych, a mianowicie: 1. ze strony psychicznej i 2. fizjologicznej. Ściśle biorąc, na każdy nałóg składają się oba te czynniki. W praktyce jednak w takich dwóch najbardziej u nas rozpowszechnionych nałogach, jak alkoholizm i palenie, czynnik psychiczny odgrywa rolę dominującą, przynajmniej w tych wypadkach, gdzie nałóg nie osiągnął już bardzo wielkiego stopnia nasilenia.

Wiemy dobrze, że gwałtowne pozbawienie kogoś czy to papierosów, czy alkoholu wywołuje pewne zaburzenia fizjologiczne, tym niemniej przeciętny palacz, powtarzamy: *przeciętny*, powraca po nieudanej walce do tytoniu po prostu dlatego, że mu się gwałtownie chce zapalić, tak bardzo chce, że cały system nerwowy jest wytrącony z równowagi.

Decydującym więc czynnikiem jest tutaj *chęć, pragnienie*, element psychiczny. Zdajemy sobie w pełni sprawę, jak bardzo ciężka może być walka z tym jednym choćby czynnikiem, ale podkreślamy raz jeszcze: nie da się to nawet porównać z tym, na co naraża znalógowany organizm gwałtowny brak morfiny.

Morfina działa na najważniejsze centra nerwowe, regulujące w naszym organizmie czynności tak zasadnicze, jak oddychanie, funkcje serca, obieg krwi itp.

Gdy centra te przywykną w ciągu długich miesięcy funkcjonować mniej więcej prawidłowo pod działaniem olbrzymich dawek narkotyku i gdy następnie narkotyk ten nagle zostanie odjęty, zachowują się one mniej więcej tak, jak gdyby otrzymały równoznaczną dawkę w przeciwnym kierunku działającej trucizny.

Organizm zostaje wtrącony w stan strasznego szoku, podstawowe tryby i wiązania naszej maszyny życiowej, rozdygotane jak pod ciśnieniem ośmiokrotnej liczby atmosfer, grożą katastrofą, krew faluje we wszystkich naczyniach, płuca i serce szaleją...

Nierówny i nienaturalny oddech zmienia się w brak tchu, człowiek się dusi, pod piątym żebrzem młot parowy rozsądzić chce swe komory; kurcze żołądka niebawem przynoszą rozstrój nieopisany, we wszystkich stawach rwie coś i łamie, i tętni, tętni *wszędzie*, tętna tłuką setkami na minutę... piana na ustach... I ratunek jest tylko jeden, wszak domyślcie się, jaki? Nowa dawka — *tylko ten jeden, jedyny!*

Tak się tedy przedstawia z morfiną zabawa i takie to są przyczyny, które morfinomanowi uśmiechać się *każą*, gdy słyszy o nałogowcu innej kategorii, którego cały kłopot polega na tym, że *mu się aż tak bardzo chce...*

Po pierwszej zatem próbie oswobodzenia amator morfinowego rajy (sic!) dowiedział się, że jest skazanym rabem<sup>101</sup> swej igły i roztworu.

Ponieważ z niewoli tej bezpośredniego wyjścia nie widzi (o kuracjach potem), przeto gdy już pogodzi się ze swym losem, stara się „urządzić sobie życie możliwie wygodnie”. Tłumacząc to na język praktyczny — będzie kropił dawki takie, by już przynajmniej „mieć coś z tego”, chociaż w zakresie emocji.

I tą drogą właśnie dochodzi się najszybciej do poznania kolejno wszystkich ujemnych wrażeń towarzyszących „ewolucji morfinistycznej”.

Pierwsza niemiła okoliczność to to, że doprawdy trudno jest „dogonić” powiększaniem dawek ciągle słabnący ich efekt. Wspaniałe stany początkowe tracą wciąż na sile, zaś na ich miejsce pojawia się reakcja w formie jakby odwrócenia biegunów. Wszelkie podniecenie jest coraz słabsze i coraz krócej trwa po każdym zastrzyku, natomiast wydłużają się niezmiernie i przybierają na sile okresy ogólnego znużenia i upadku sił. Ogólna apatia, zniechęcenie do wszystkiego, niebywały spadek energii psychicznej, rozleniwienie — słowem, ogólne sflaczenie mentalne i moralne — wszystko to trwa godzinami. Chwile lepszego samopoczucia nie tylko zredukowały się do *kilku minut zaledwie* bezpośrednio po iniekcji, lecz czasami nie ma ich wcale.

Zaczyna się wówczas zupełnie już rozpaczliwe powiększanie dawek, aż do zatrucia, torsji itd., lecz co jest doprawdy potworne, to to, że dawki te przynoszą już tylko *coraz gorsze rozdrażnienie*.

Jak czuje się dany osobnik w tym punkcie błędnego koła, to już pozostawiam samodzielnej wyobraźni każdego z naszych czytelników.

Bądź jak bądź, jeśli w chwili danej nie rozpocznie kuracji, to pozostaje mu tylko jedno: drobne stopniowe zmniejszanie dawek do punktu, w którym niegdyś morfina działała

<sup>101</sup>*rab* — niewolnik.

normalniej, i to tylko w celu, aby natychmiast w skróconym tempie powrócić do tego samego kryzysu.

Podkreślić trzeba z całym naciskiem, że szereg objawów wybitnie ujemnych towarzyszy morfinomanii już w okresach znacznie poprzedzających kryzys.

Każdy morfinoman umiejący obserwować siebie dostrzeże np. (i to w czasie, gdy jeszcze jest ze swego alkaloidu ogólnie zadowolony) wybitny upadek woli. Każda decyzja kosztuje całą masę wysiłku, każdy czyn, odkładany z godziny na godzinę, wykonywany jest pod najwyższym przymusem, każda drobna czynność życia codziennego — i ta nawet — staje się wkrótce ciężarem. Natomiast nabieramy skłonności do częstych a długich „wypoczynków” w pozycji leżącej, podczas których morfinowe marzenia na temat wielkich rzeczy (które się nigdy nie spełnią) zastępują nam znakomicie czynność istotną. Wypoczynki te tym więcej są nam wskazane, że coraz bardziej prześladuje nas nieustająca senność (dochodzi to w stadiach dalszych do tego, że narkoman usypia za każdą przerwą w rozmowie lub też pozornie słuchając dalej tematu).

Niechęć do życia czynnego staje się jeszcze silniejsza pod wpływem ogólnego rozstroju i rozklekotania nerwowego, wraz z którym zjawia się nie wiadomo skąd rosnąca wciąż nieśmiałość, schizofreniczna trema w stosunku do ludzi, i to trema gnębiąca te właśnie osoby, które by się najmniej tego po sobie spodziewać mogły.

Jedynym czynem realnym, na który energii nie zabraknie, jest niewątpliwie ciągła pogoń za niezbędnym alkaloidem, którego zdobywanie w „odpowiednich” ilościach, z natury rzeczy niemożliwe na drodze normalnej, stanowi jeszcze jedną rozkosz żywota morfinomana.

Żywot ten zresztą mieć może tylko dwa rodzaje epilogu w niedalekiej przyszłości. Albo katastrofą, jeśli osobnik dany miał dość wytrwałości w kierunku zrujnowania swego organizmu aż do stanu beznadziejnego; albo też jeśli resztką instynktu samozachowawczego w czas przemówi, perspektywa tak zwanej kuracji odzwyczajania. Kuracja taka bywa w ogromnej większości wypadków przeprowadzana w jednym z zakładów zamkniętych, a co do jej szczegółów, musicie mi państwo wybaczyć, że wam takowych dostarczyć nie podejmę się! Trudno! Nie jestem bowiem ani Ewersem<sup>102</sup>, aby wam to opisać, ani też Goyą, aby to odmalować!

Nadmieniam tylko, że nieścislą jest wersja, powtarzana czasem nawet przez lekarzy, jakoby dawny system odzwyczajania gwałtownie, bez żadnych stopniowań, nie groził katastrofą organizmowi. Annale medycyny francuskiej notują dwa wypadki, które skończyły się radykalnym odzwyczajaniem pacjenta od życia na tej ziemi...

Dziś już stosują metodę tę rzadko i to tylko w połączeniu z uspianiem na przeciąg kilku dni.

Inna zaś polega na odzwyczajaniu *bardzo a bardzo powolnym*, poprzez umiejętne stopniowanie i środki zastępcze. Gdyby mnie kto o radę pytał, rzekłbym, iż w ogóle tylko ten ostatni sposób nadaje się do dyskusji, dodając na podstawie znanych mi wypadków, iż metoda ta daje najlepsze wyniki przy stopniowym zastępowaniu morfiny dioniną z małym dodatkiem heroiny, które to mieszaniny *znowu kolejno stopniają się w dawkowaniu*.

Szczegóły oczywista nie wchodzą w zakres naszych rozważań.

Pytaniem podstawowo ważnym jest kwestia procesu znalógowania oraz czasu, jaki jest na to potrzebny.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wersje głoszące, jakoby już po paru zastrzykach człowiek „nie mógł sobie rady dać bez morfiny”, są straszną przesadą lub też próbą usprawiedliwienia swej słabości ze strony niektórych morfinomanów.

Nie ma najmniejszych podstaw do obaw, że np. dziesięć iniekcji pod rząd stosowanych może uczynić danego osobnika niewolnikiem narkotyku w tym naprawdę strasliwym i przerażającym znaczeniu, o którym mówiliśmy wyżej. Dla stworzenia nałogu w fizjologicznym znaczeniu organizm musi być zatrutowany przynajmniej przez trzy, cztery lub więcej tygodni. To zaznaczamy z całą szczerością!

Ale podkreślamy jednocześnie z największym naciskiem: niech nikt nie wysnuje stąd wniosku, iż dwurazowe użycie morfiny niczym mu nie grozi. Wszak już parokrotna próba pozwala zakosztować pełni wrażeń ze wszystkimi ich urokami. Choć tedy człowiek taki nie

<sup>102</sup>Ewers, Hanns Heinz (1871–1943) — niemiecki poeta oraz autor literatury grozy.

jest narażony na rozpaczliwe przeżycia organicznego braku, to jednak impulsy psychiczne występują od razu w całej pełni. A któż z nas ośmieli się poczytywać siebie za takiego tytana woli, aby móc zaręczyć, iż nie ulegnie pokusom tym potężniejszym, im ciekawsze były przeżycia. Jeszcze raz! jeden lub dwa! Dziś musimy się uspokoić po tych lub innych kłopotach; jutro — czyż nie opłaci się stokrotnie jeszcze jedna dawka gwoli obudzenia tych krystalicznych myśli, które pozwolą nam ukończyć z powodzeniem tę lub inną pracę umysłową...

Powodów przecież nigdy nie braknie. I w ten sposób, tak bardzo nieznacznie, tak wprost nie wiadomo kiedy, człowiek staje się skazańcem.

Czyż trzeba nadmieniać, że gorącym naszym pragnieniem byłoby uchronić i przestrecz choćby skromną liczbę jednostek przed czymś, co musimy uważać za ciężkie niebezpieczeństwo, grożące zupełnym lub częściowym zniszczeniem ludzkiego istnienia?

Nie będziemy usiłowali kreślić przed oczyma czytelnika opisów niedoli morfinomana, opisów, które gdyby posiadały odpowiednie bogactwo środków literackich, odpowiednią ekspresję i barwę — mogłyby też posiadać pewną realną wartość.

Ufamy natomiast, że skromna i prosta treść tego rozdziału wystarczy być może czytelnikowi, który zechce potraktować ją poważnie, to jest jako być może niezręczne, być może słabo skonstruowane, tym niemniej wierne odbicie najwyższej prawdy.

## ETER

Napisał dr Dezydery Prokopowicz

### *LE CATOBLEPAS*

*buffle noir, avec une tête de pourceau tombant jusqu'à terre et rattachée a ses épaules par un cou mince, long et flasque comme un boyau vide*<sup>103</sup>.

Personne, Antoine, n'a jamais vu mes yeux ou ceux qui les ont vus sont morts. Si je relevais mes paupières roses et gonflées, tout de suite tu mourrais<sup>104</sup>.

### *ANTOINE*

Ah! ah!... celui-la... a... a! Eh bien!... Si j'avais envie de les regarder, ces yeux? Mais oui, sa stupidité feroce m'attire! je tremble!... Oh! quelque chose d'irresistible m'entraîne à des profondeurs pleines d'épouvante<sup>105</sup>!!!

G. Flaubert, *La Tentation de St. Antoine*

Zapoznałem się z eterem z okazji operacji, którą mi robiono, gdy miałem siedem lat. Zaspiając usłyszałem jakiś szczególny rytm, który zdawał się wszystko przenikać. Rytm ten usłyszałem i przy następnych eterostanach. Sądzę, iż pochodzenie jego jest następujące: eter zaostrza ogromnie słuch (stan ten trwa jeszcze kilka godzin po eteryzacji), skutkiem tego dochodzi do świadomości rytm uderzeń krwi w uszach. Zdawało mi się, że umarłem i lecę w przestrzeni międzygwiazdnej, która wyglądała jak ciemnoniebieska tapeta, pokryta złotymi, kilkoramiennymi gwiazdkami. Wszystko drgało w tym szczególnym rytmie. Myślałem z ironią: „Oni mnie tam operują na ziemi, a nie widzą, że ja — umarłem”. Podniesiono mi na chwilę maskę z eterem: zobaczyłem mój dziecienny pokój, leżałem na stole. Pomyślałem: „Umarłem, jestem w piekle, gdzie są diabły? Może za moją głową?” Usiadłem, by się obejrzeć za siebie. Założono mi maskę i trzech lekarzy siłą, z trudem ułożyło mię na dzieciennym stole, który służył za stół operacyjny. Z dalszych wizji przypominam sobie niewyraźnie jakiś jakby rajski ogród. Upał. Dwoje nagich, czerwonych, tłustych, „obfitych” ludzi opycha się winogronami. Coś tropikalnego, bogatego, zmysłowego i obrzydliwego. Po narkozie z radosnym zdumieniem

<sup>103</sup>*buffle noir, avec une tête de pourceau tombant jusqu'à terre et rattachée a ses épaules par un cou mince, long et flasque comme un boyau vide* (fr.) — czarny byk z głową świni opadającą do ziemi, którą łączy z tulowiem wąską, długą i płaską szyją, jak opróżnione jelito (tłum. Paweł Koziol).

<sup>104</sup>*Personne, Antoine, n'a jamais vu mes yeux ou ceux qui les ont vus sont morts. Si je relevais mes paupières roses et gonflées, tout de suite tu mourrais* (fr.) — Nikt, Antoine, nigdy nie widział moich oczu, a ci, którzy je widzieli, nie żyją. Gdybym podniósł swoje różowe i obrzmiałe powieki, umarłbyś natychmiast (tłum. Paweł Koziol).

<sup>105</sup>*Ah! ah!... celui-la... a... a! Eh bien!... Si j'avais envie de les regarder, ces yeux? Mais oui, sa stupidité feroce m'attire! je tremble!... Oh! quelque chose d'irresistible m'entraîne à des profondeurs pleines d'épouvante* (fr.) — Ach! ach! tamten! a... a! A gdybym miał ochotę spojrzeć w te oczy? Ależ tak, jego straszliwa głupota mnie przyciąga. Och! Coś nieodpartego przyciąga mnie w głębie pełne grozy! (tłum. Paweł Koziol).

przekonałem się, że żyję. Z uczuciem roztkliwienia i szczęścia dotykałem przedmiotów, stwierdzając, że są, że są twarde i że „przecież jestem znów w rzeczywistości”.

W wieku lat czternastu zabijanie owadów eterem podsunęło mi chęć spróbowania ponownie tego narkotyku. Napajając chustkę eterem przykładalem ją do nosa i wdychałem głęboko. Było lato. Siedziałem wśród zbóż na osłonecznionym pagórku. Za chwilę posłyszałem *ten sam* rytm, wszystko pozostało takie samo, a jednak stało się jakieś inne, podobne do tego, co było *wtedy*. I tu nastąpiła najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek przeżyłem pod eterem i którą potem na próżno usiłowałem odnaleźć. Widziałem otaczające zboża, pagórek, słońce — ale nie ja to widziałem: *jaźni znikła, pozostała bezosobowa świadomość*. Wkrótce potem stworzyłem bardzo konsekwentny logicznie system panteistyczny, gdzie ponad stanem indywidualnej jaźni umieszczałem ponadosobowy świadomy *byt*.

Odtąd ertyzowałem się coraz częściej. Maksimum osiągnąłem jako uczeń ósmej klasy. Lubilem przechadzać się wieczorem po ponurych dzielnicach warszawskiego Powiśla z chustką pod nosem i flachą eteru w kieszeni. Eter nigdy nie dawał mi nawet śladów euforii: tylko dziwność i ponurość. W owych czasach byłem głęboko niespokojny i zrozpaczony (jak to często bywa we wczesnej młodości) i szukałem zapomnienia o sobie, o własnym nieszczęściu w nauce (studiowałem prawie bez przerwy) i w narkozie. Wytworzyła się we mnie jakby „*seconde personnalite narcotique*”<sup>106</sup>. W normalnym stanie nasz czas układa się od czuwania do czuwania, wieczór zszywamy z rankiem, a senne marzenia — to niewyraźne marginalia; w owych czasach istniało dla mnie jeszcze drugie, ciągle w sobie życie — pod narkozą, które od czasu do czasu dopominało się bezwzględnie o — dalszy ciąg. Podobnie kobieta „przyzwoita” nie myśli o życiu erotycznym lub myśli z obrzydzeniem. Ale przecież od czasu do czasu wyżyć się musi. Jak? Wiedzą jej kochankowie. W zwykłym stanie pamiętałem (i pamiętam) tylko szczątki głębokich i silnych doznań narkotycznych; ale wystarczyło kilka razy głęboko wciągnąć powietrze przez chustkę nasyoną eterem — i w kilka sekund już byłem gdzie indziej, tam, od razu odpознаwalem swój stan i przeżywałem niejako drugi raz pewne rzeczy lub ich dalszy ciąg.

Oto te resztki, które przechowała moja normalna świadomość: czas jest niejako zwolniony, zdaje się, że upływają niezmiernie długie okresy — a trwa to kilka lub kilkanaście sekund. Przestrzeń też olbrzymieje: most Poniatowskiego robił na mnie wrażenie czegoś nieskończenie wielkiego. Dzięki eterowi zacząłem rozumieć poezję symboliczną. Każda latarnia, pęknięcie płyty trotuaru<sup>107</sup>, przechodzący pies, wszystko to było symbolem, koniecznością, miało nieskończenie głębokie znaczenie, było straszliwie ważne. Wszystko jest piękne i straszne; jakiś pagórek z jesiennymi drzewami, noc zostawiły niezatarte wspomnienie niewypowiedzianej wielkości i tragicznego piękna — jak *Ulalume* Poego. Ta symboliczność, piękno i konieczność, to, że wszystko rozwija się jak wspaniała symfonia, przypomina doznawanie rzeczywistości w początkach schizofrenii. Wydaje się, że ma się zdolność przewidywania. Myślę: „Tam — ktoś idzie”. Odwracam się i rzeczywiście spostrzegam przechodnia. Sądzę, że daje się to objaśnić w ten sposób: słyszy się przechodnia, ale do świadomości dochodzi nie odgłos kroków, lecz tylko wynikający z tego wrażenia sąd: „Ktoś idzie”. Stąd złudzenie „proroczości”. Fontanny uczuć i myśli zalewają świadomość, zdaje się, że życie jest jak puchar przelewający się przez brzegi. Powiedziałem wtedy do siebie: „Każda chwila jest godna Szekspira”. To znowu przychodzi tak straszliwe, niemożliwe do zapamiętania, martwe przerażenie, taka samotność „kosmiczna”, jaką przeżywa chyba tylko samobójca i o której zdaje się nikt nigdy nie przyniósł wieści, bo znają ją tylko ci, co odchodzą. Są to stany poprzedzające omdlenie spowodowane nadmiarem narkotyku. Pomyślałem w takiej chwili: „Gdybym mógł spamiętać to, co teraz czuję, to już nigdy nie mógłbym się śmiać”.

Myśli moje i doznania odnosiły się do metafizyki: rzeczywistość odczuwałem jako nieustanną, wytężoną walkę Boga z Nicością. Równowagę, spokój rzeczywistości widziałem jako równowagę potężnych, zmagających się ze sobą sił. Rzecz psychologicznie interesująca: w owym czasie byłem panteistą — deistą miałem stać się kilkanaście lat później, a jednak pod eterem byłem, a raczej bywałem właśnie deistą. Mówię: bywałem, gdyż

Bóg

<sup>106</sup>*seconde personnalite narcotique* (fr.) — druga, narkotyczna osobowość.

<sup>107</sup>*trotuar* (z fr.) — chodnik.

niekiedy zdawało mi się, że Nicość zwyciężyła Boga. Pamiętam, że raz w takim właśnie stanie usłyszałem, jak w ubogim domku robotniczym babka uspakajała małe wnuczátko. Doznałem głębokiego wzruszenia. Myślałem: „Boga nie ma, życia zagrobowego nie ma, na tamtym świecie nie ma więc nagrody dla tej staruszki, ale i na tym świecie też jej nie będzie, bo nim wnuczek się odwdzięczy — babka umrze. A jednak ona go tuli. Oto prawdziwa, bezinteresowna miłość”.

To znowu zwyciężał Bóg. Widziałem jasno Jego istnienie. Wytwarzałem jakieś oczywiste rozumowania, które tego dowodziły. Zapisałem je, odczytałem na trzeźwo — kompletna bzdura. Raz tylko napisałem niezły wiersz pod eterem:

Nie, ja nigdy, nigdy nie zapomnę,  
Jakie Moce, światłe, przeogromne,  
Morza Mocy drżały wokół mnie.  
— W chwili tej Bóg mówił do mnie.  
Oceany słońc... otchłań słońca...  
Jasność... jasność... jasność... bez końca!...  
— Bo mój Bóg był wtenczas ze mną.

Pamiętam, że kiedyś przebudziłem się z omdlenia eterowego i poczułem nagle jakąś obecność, bliżej niż chmury, która opiekuje się mną i prowadzi mnie przez życie. Poczułem tak wyraźnie, że upadłem na kolana, zalany łzami, z okrzykiem: „Boże — jesteś!” Sądzę, że ten intensywny dualizm: Bóg — Nicość, ich wzajemna walka, której polem zdawał się świat cały, to być może nic innego, jak rzutowanie na metafizykę wewnętrznych, organicznych procesów: walki mojego ciała z trucizną — eterem.

I jeszcze jedno. Dręczyła mnie w owych czasach myśl, którą w ten sposób sformułował św. Bazyli Wielki: „Nie znam kobiety, ale nie jestem dziewicą”. Eter nie tylko nie dawał mi ukojenia, lecz przeciwnie, myśl ta stawała się okropną, nie do zniesienia pod wpływem narkotyku. Nigdy, jak wtedy, nie odczuwałem nędzy zupełnej samotności.

Gdy poznałem kobietę — intensywność doznań eterowych osłabła. Siła metafizycznych wdzierañ się ku Bogu nie była tak tragiczna, momenty pełni nie były tak rozsadzające ani też przerażenie samotności tak zupełne. Stopniowo przestawałem używać eteru; nie czując tak gwałtownej potrzeby ucieczki od siebie, nie pragnąłem tej okropnej odmiany świadomości i gdy jako chłopiec siedemnastoletni eteryzowałem się co kilka tygodni, teraz jako dorosły mężczyzna nie robiłem już tego od kilku lat, i to bez specjalnego wysiłku woli.

Przedstawiłem wedle możności to, co pamiętam ze stanów eterowych, ich dziwność jednak wymyka się spod opisu. No ale wszak nie mam robić propagandy proeterowej. Przedstawię więc szkodliwość eteru, starając się wmówić ją sobie i innym z tą samą siłą przekonania, z jaką małżonkowie w chwili zawierania małżeństwa starają się wziąć na serio przeświadczenie o tym, że chcą naprawdę i będą sobie nawzajem wierni.

Sądzę, iż jednym z głównych uroków — a zarazem jedną z najgłębszych szkód — narkotyku, nawet tak przykrego i nie dającego euforii jak eter (przynajmniej dla mnie), jest to, iż gwałci on niejako sanktuarium duszy; jak świętokradca rozbija święte naczynia i wyjmuje bezbronnego Boga, którego nie powinny dotykać takie ręce i widzieć takie oczy, napawa się Jego widokiem, dotknięciem i niszczy Go, tak samo narkotyk wdziera się w głębie podświadomości, gdzie drzemią i rozwijają się jakieś myśli, jakieś stany, które dopiero znacznie później, gdy dojrzeją, mają wejść w naszą świadomość. Jest to więc coś, co przypomina też poronienie: niedojrzały, potworny jeszcze embrion zostaje wydobyty na światło dnia. Tak było np. u mnie z deizmem. Dzięki więc narkotykowi poznajemy własne głębie, ale nie we właściwej porze, drogą gwałtu. Sądzę, iż działa to niszcząco na podświadomość i przedwcześnie odsłonięte jej twory nie rozwiną się już nigdy tak harmonijnie, jak by to miało miejsce bez interwencji narkotyku.

Ciekawe są same doznania: myśli wydają się ciekawymi tylko, dopóki się jest pod narkozą. Eter to kłamca, i to na krótką metę.

Następnie podkreślam, że eter nie daje euforii ani zapomnienia o rzeczywistych cierpieniach duszy, lecz przeciwnie — potęguje je, a potem po wytrzeźwieniu następuje bardzo przykry katzenjammer.

Ślub

Zauważyłem też, iż działa on fatalnie na płuca: prawie zawsze po eteryzowaniu się miałem prędzej lub później, po upływie kilku dni — do dziesięciu, uporczywe zaziębienie z gorączką, tak że musiałem kłaść się do łóżka, nieraz na dwa tygodnie.

Wreszcie zapach eteru jest ohydny i denuncjuje on eteromana na kilka kroków, i to nawet na drugi dzień po eteryzacji. A zdarza się też, że nieprzytomnym zaopiekuje się komisariat czy pogotowie ratunkowe i będą płukać żołądek domniemanemu „niedoszłemu” samobójcy.

Nie znam wprawdzie narkotyku dającego tak silne metafizyczne wzruszenia, lecz mijają one szybko, a opłacane są zdrowiem. W rzeczywistości takie rzeczy każą na siebie czekać, ale samotna wycieczka górską może też dać potężne metafizyczne przeżycia, które znacznie lepiej utrwalają się w świadomości od kradzionych przeżyć i wymuszonych ekstaz narkomana.

## APPENDIX

O myciu się, goleniu, arystokratomanii, hemoroidach i tym podobnych rzeczach

### Wstęp

Zaznaczam z góry, że cała ta część mojego „dziełka” może się wydać wielu ludziom śmieszna, a nawet zbyteczna. Śmieszna to ona może i jest, ale co do zbyteczności, to śmiem w nią wątpić (lub *o niej* wątpić, jak chcą niektórzy — ja jestem za równouprawieniem obydwu zwrotów. Pierwszy jest silniejszy niż drugi, a nie jest taką już znów potwornością językową, którą trzeba ukatrupić na miejscu). Oczywiście zbyteczność różnych rozdziałów będzie różna. Ale ponieważ piszę tę książkę absolutnie dla wszystkich, więc nie mogę brać pod uwagę tego, że pewni ludzie, lub nawet ugrupowania społeczne, nie znajdą w niej nic nowego. Chcę podzielić się z ogółem pewnymi doświadczeniami własnymi, a nawet wiadomościami, które mam od innych ludzi, a których ci nie mogli dla różnych przyczyn uczynić własnością publiczną. Jestem prawie pewny, że w pewnych kołach durniów i draniów książka ta będzie przyczyną jeszcze gorszego psucia mojej i tak już przez wymienione P. T. czynniki popsutej opinii. Trudno. Przeciw zorganizowanej głupocie i świństwu jeden człowiek walczyć nie może. Muszę zbierać teraz owoce całego życia poprzedniego, w którym starałem się zawsze mówić to, co myślałem naprawdę, bez względu na osobiste dla mnie skutki.

### I. O brudzie

Czystość fizyczna osobista nie jest wcale rzeczą tak drogą, jak to się niektórym wydaje. Nie mówię o czystości publicznej (domów, ulic, placów itp.) — nie będę też wdawał się w kwestie czystości mieszkań, jakkolwiek sądzę, że też za psie pieniądze po prostu jest ona osiągalna. Mimo to często widzi się mieszkania, w których wiszą na ścianach drogocenne obrazy, i wszystko jest udywanione i wypoduszkowane, a jednak panuje w nich brud, a nawet smród, często subtelny, ale jakościowo bardzo jadowity. Mam wrażenie, że czystość mieszkań, a dalej czystość publiczna jest funkcją czystości osobistej. Trzeba zacząć od siebie, a z czasem wszystko powoli się wyczyści, bo czysty człowiek nie potrafi żyć w otaczającym go brudzie. Lenistwo i nieświadomość co do tego, jakimi środkami zdobyć czystość, zdają mi się być przyczynami tego stanu rzeczy, który chcę opisać i podać przeciw niemu środki zaradcze. Czemu większość ludzi, którzy bezwzględnie śmierdzieć nie powinni, jednak śmierdzi? Mówię tu o tak zwanej inteligencji, półinteligencji i warstwach poniżej leżących. Nie będę się tu wdawał w analizę smrodologiczną arystokracji niższej i najwyższej, ponieważ zbyt mało znam tę sferę. Ale na podstawie pewnych ni-kłych danych mam wrażenie, że i tu dałoby się coś na ten temat powiedzieć. Poza kwestią mycia się występuje tu problem zmiany bielizny i ubrania. (Ostrzegam z góry, że będę mówił rzeczy przykre — kto nie chce ich słyszeć, niech nie czyta.) Ale jakiegokolwiek są stosunki bieliznowo-ubraniowe danego człowieka, będą one bezwzględnie lepsze, o ile człowiek ten będzie się myć porządnie. Oczywiście ideałem byłaby codzienna zmiana całej bielizny i jak najczęstsze zmienianie ubrań. Ale jeśli ktoś na to nie ma, może przedłużyć czas zmiany za cenę pewnej pracy nad czystością ciała.

Są narody czyste i są brudne. Powiedzmy sobie otwarcie, że należymy do tych ostatnich, i starajmy się temu zaradzić. Czytając powieści polskie, rosyjskie lub francuskie, zawsze mam ten problem na myśli: czy aby ci wszyscy ludzie są dobrze wymyjni. Przeszkadza

Brud

mi ta myśl w przejmowaniu się losami występujących postaci, psuje mi najpiękniejsze sceny, zaćmiewa horyzonty najwznioślejszych uczuć. Mimo wszystkich wad literatury angielskiej wiem jedno — cokolwiek robią, czują i myślą Anglicy, ci są prawie na pewno na ogół czystszy. Rosjanie mają tę wyższość nad innymi narodami brudnymi, że jakkolwiek cały tydzień się nie myją, co sobotę jednak wyprażają się w „bani”, wyszorowują maczałkami, wybijają się różgami i przynajmniej przez niedzielę, a może i poniedziałek mają otwarte pory skóry całego ciała, a nie tylko niektórych jego, najbardziej skłonnych do tak zwanego nieprzyjemnie „zaśmierdzania się”, części. Okropne rzeczy, ale raz trzeba powiedzieć je otwarcie. Człowiek jest, wzięwszy go cielesnie, dość paskudnym stworzeniem. Pewien *hrabia* (!) raniony w rękę nie odwijał jej długi czas i trzymał ją pod gumowym bandażem. Ręka zaczęła śmierdzieć. Pokazywał ją innym krzyżąc *znamiennie*: „Żadna noga tak nie śmierdzi, jak moja ręka. Niech pani powącha”. I pchał obecnym pod nosy swoją wspaniałą, rasową, hrabiowską rękę, która rzeczywiście wydzielala subtelną, ale skondensowaną woń przepojonego kulturą dziesięciu wieków ciała. Hrabia — a cóż dopiero mówić o zwykłej „wysokiej szlachcie, świetnym korpusie oficerskim i P. T. publiczności”, jak to było napisane na cyrkowym afiszu z czasów austriackich. Przyczyną przykrych zapachów ludzkości są ubrania. Daleko mniej śmierdzą (pomijając przykre dla nas, jako należących do innej rasy, różnice jakościowe) ludzie dzicy, chodzący nago. A jakże wspaniałe są pod tym względem wszelkich rodzajów bydłota — zawsze świeże, z doskonale wywentylowaną skórą, wydrapane, wygryzione, wylizane, jak to mówią, na „*hochglanz*”<sup>108</sup>. Człowiek jest, ogólnie biorąc, szczególnie w parażach klimatu średniego i zimnego, najbrudniejszym bydłem świata, i to głównie z powodu konieczności noszenia ubrań. Ogólnie wiadomo, że na ogół ręce *mniej* śmierdzą niż nogi — a czemu? Bo nie są zamknięte (*exemplum*<sup>109</sup> ów hrabia i jego rączka) i są oczywiście częścią myte. Chodzić gołym nie można, ale wszystko można nadrobić myciem się, zapamiętałym, fanatycznym, wściekłym. Koszta są minimalne, a czas również bardzo niedługi daje się z łatwością wydrzeć zachłannemu snowi przy minimalnym wysiłku woli. A więc do dzieła, brudasy, a za kilka lat ludzie w mieszkaniach swych i gmachach publicznych: kinach, teatrach, poczekalniach itp. instytucjach, nie będą potrzebowali wdychiwać potwornego niepachu wydzielin niedomytej trzody ludzkiej, z czego wyniknie daleko większa wzajemna życzliwość i pogoda w odniesieniu do tzw. „innych”, której tak brak w naszych stosunkach społecznych. Przecież w porównaniu do innych narodów Polacy są pod tym względem wprost straszni. Ile energii idzie choćby na okazywanie sobie wzajemnej pogardy na ulicy. Nigdzie indziej tego nie ma, przynajmniej w tym stopniu. A wewnątrz gmachów stanowczo smród potęguje to nieprzyjemne zjawisko. Niestety każdy niedomyjec nie zdaje sobie sprawy, że sam jest elementem ogólnego niepachu, że dla innych jego smrodki, które u siebie toleruje, wcale nie są znów tak przyjemne, jak dla niego samego, a może i dla najbliższych.

Otóż moja ogólna teoria smrodu ludzkiego jest następująca i prosta, jak teoria równań różniczkowych czy tensorów: niedokładne mycie całego ciała, a dokładne mycie pewnych jego części: twarzy, szyi, nóg, pach itp., jest powodem, że wszystkie świństwa, które muszą się wydzielać z organizmu przez całą skórę, wydzielają się tylko przez te części, których pory skóry są odetkane. Znałem pewnego eleganckiego pana, który narzekał ciągle, że mu śmierdzą nogi. Mył je po trzy razy dziennie i im dokładniej to czynił, tym było gorzej. Po prostu nie mył się cały dokładnie i wszystko, co miał w sobie najpaskudniejszego, wychodziło mu z ciała przez nogi. Oczywiście są choroby, na które nie ma ratunku. Ale z chwilą dokładnego mycia się zniknęłyby te wszystkie środki, o których ogłoszenia w gazetach czyta się ze specyficzną zgrozą: „Antismrodolin usuwa przykry zapach pach, nóg...” itd. Brrrr... Co za świństwo. Zamiast wydawać pieniądze na podobne ohydy trzeba je zużytkować na kupienie:

1. Dobrego, prostego nawet mydła — zupełnie wystarczy dla ludzi względnie prostych dla *umycia codziennego całego ciała*.

2. Szczotki — najlepsze są dla tego celu szczotki firmy Bracia Sennebaldt (Bielsko, Biała, Śląsk), 29 H N°2, 30 F N°2 i 137 ε), które przez tę firmę polecane są do bieli-

<sup>108</sup>*hochglanz* (niem.) — wysoki połysk.

<sup>109</sup>*exemplum* (łac.) — przykład.

zny. Wszyscy, którym ofiarowałem szczotki te (a rozdałem już przeszło dwa tuziny dla propagandy), błogosławią mnie i tę firmę. Szczotki są szczecinowe i na pierwszy „rzut oka” robią wrażenie za twardych. Wymoczone trochę w gorącej wodzie stają się wprost wspaniałe. Znałem panie skarżące się na chroniczną chropawość skóry. Po użyciu szczotek stały się gładkie jak alabastry. Pumeks jest tu niczym — wygładza powierzchnie. Tylko szczotka jest w stanie odetkać pory zalepionej tłustym brudem skóry. Wiele osób uważających się za czyste tonie w brudach jak nieboskie stworzenia. Iluż znałem ludzi przerażonych twardością szczotek tych, którzy potem z rozkoszą tarli nimi swe ożywione jakby cudem, sflaczały ciała nieomal do krwi. Ostatecznie szczotkę można stosować nie co dzień (co drugi lub trzeci dzień), ale mycie codzienne całej skóry mydłem jest obowiązkiem każdego, który chce się za człowieka uważać. Oczywiście są ludzie, którzy nawet nie bardzo się myjąc, mało stosunkowo śmierdzą. Tym lepiej dla nich i dla innych. Ale to nie uwalnia ich od mycia się ze względu na ich własne zdrowie. Naturalnie że zwiększająca się ilość mieszkań z łazienkami i łazienek publicznych przyczynia się znakomicie do wzrostu czystości ogólnej. Ale łazienki trzeba też umieć używać. Znałem ludzi należących do „najlepszego towarzystwa”, którzy poprzestawali w ciągu tygodnia na zimnym prysznicu bez mydła (używali je tylko do części zasadniczych, i to nie bardzo) i następnie wycierali się włochatym ręcznikiem. Codzienna długa ciepła kąpiel jest niezdrowa, szczególnie dla osób nie mających nadmiaru energii. Ale wymyć się mydłem w całości ciepłą, a potem zimną lub choćby tylko zimną wodą jest absolutnym obowiązkiem każdego.

3. Dla ludzi nie posiadających łazienek służyć może w tym celu blaszana duża balia, a dla podróżujących (ze względu na brak odpowiednich urządzeń w większości niższej marki naszych hoteli) „tub” gumowy składany, rzecz trochę kosztowna, ale dla której można wyrzec się mniej istotnych przyjemności (wódki, piwa, papierosów, dancingu, radia, dorożek, aut, kina) na pewien czas, aby ją sobie za uskładane w ten sposób pieniądze kupić.

4. Gąbki albo też tzw. po rosyjsku „maczałki”.

Oto wszystko, czego trzeba, no i trochę czasu (który zawsze znaleźć można) i szacunku dla siebie i swego zdrowia, a także trochę względu na innych, którzy też są przecie ludźmi. Ale te mycia się poranne, które udało mi się widzieć, te absolutne niemycia się wieczorne (wieczorem trzeba umyć przynajmniej części zasadnicze), które obserwowałem — to są rzeczy wprost potworne. I to, powtarzam, tam, gdzie zdawałoby się, że powinno to być rzeczą samo-przez-się zrozumiałą.

To właśnie spowodowało napisanie tych słów, co nie było dla mnie wcale zabawnym ani przyjemnym. Myślę, że może niejedena(na) zaczerwieni się czytając je i będzie mu (jej) wstyd i przykro — ale może za to doprowadzą go (ją) do opamiętania. A przecież nie chodzi tu tylko o względy estetyczne, ale i o zdrowie, bo skóra jest bądź co bądź zasadniczym narządem wydzielania. Wiadomo, że człowiek ze zniszczoną nagle w dwóch trzecich skórą umiera, ale powoli można się przyzwyczaić do każdego zatrucia, a więc i do niefunkcjonowania własnej skóry. Chłopi nasi, którzy się prawie nie myją, nie giną od tego i nie śmierdzą tak znów bardzo jak inne warstwy społeczne. Ale to nie jest dowód: nie śmierdzą, bo nic już przez zatkałe pory nie wydzielają, a nie giną z zatrucia, bo się przyzwyczaili przez długą praktykę — wytwarzając widać jakieś antytoksyny. Ale jacy by byli, gdyby się myli, tego nie wie nikt.

II. O gimnastyce

Jestem wielkim przeciwnikiem rozwydrzenia sportowego, które się w ostatnich latach rozwinęło. Te „ambasatory” polskie (szczególnie polskie wobec zacofania na innych punktach) za granicą, te Ciumpały i Wyprztyki<sup>110</sup>, które reprezentują tężyznę narodu i są czczone jak bogi jakie, to jest gruba i niezdrowa przesada. Nawet już nie zazdroszczę sportowi miejsca w gazetach codziennych ani pism specjalnych, których nie mogła się doczekać nigdy nasza sztuka. Sztukę najwyraźniej diabli biorą i może naprawdę nie warto się już tak bardzo nią zajmować. Ale to ciągle zaprzętanie umysłów młodzieży tylko tym, że Jasiak Wątorok skoczył o trzy cm wyżej niż Maciek Wąbała, jest objawem przykrym i mogącym na długich dystansach dać w wymiarze ogólnej kultury narodo-

Sport

<sup>110</sup>Proszę mnie nie posądzać o jakiś fałszywy arystokratyzm, tylko że przeważnie jakoś takie dziwne nazwiska zdarzają się w sferach sportowych, bo oczywiście w warstwach nie zdegenerowanych jest więcej ludzi o tęgich mięśniach. [przypis autorski]



wej wyniki bardzo smutne. Tym bardziej że sport rekordowy musi mieć, jak i wzrost, i siła ludzka, określone granice, których się nie przekroczy, choćby się nawet i pękło. Oczywiście muszą być specjaliści, którzy tylko rekordowemu sportowi poświęcać się będą mogli. Niech sobie będą i niech nawet dla odpoczynku pewna ilość ludzi zajmuje się ich wyczynami. Ale nie może to dochodzić do tego stopnia, żeby na nic już innego czasu w życiu nie zostawało, przynajmniej w sferze myśli. Bo oprócz tego jest radio (jako radiokręciicielstwo, a muzycznie biorąc jako to, co nazywam „wyjąłym psem”<sup>111</sup>), dancing, niekiedy już od rana, jest kino, które coraz mniej nowego ma do powiedzenia i w którego obiecywaną wspaniałą przyszłość coraz mniej chce się wierzyć, jest gazetka, puchnąca z dnia na dzień i zastępująca niektórym wszelką inną lekturę, dla tych np., dla których Wallace czy nasz Marczyński (o Boże!) jest już literaturą zbyt ciężką. Na żadne tzw. „wyższe” zainteresowania nie ma się już czasu: grozi zupełne zbydlęcenie i ogłupienie. Ciągłe obniżanie poziomu artykułów, książek i teatru do gustu danego przekroju społecznego doprowadza do tego, że wychowuje się coraz niższej wartości pokolenia, do których poziomu znowu trzeba się obniżyć, i w ten sposób dojdzie się wreszcie do społeczeństwa kretynów, dla których naprawdę sztuki Kiedrzyńskiego będą „niezrozumiałym” w teatrze z powodu ich zbyt głębokiej filozoficznej głębi, dla których muzyka kabaretowa nawet stanie się poważna, a wagonowa lektura dzisiejsza będzie tak trudna, jak dziś jest dla nich teoria Einsteina. Zanika na wszystkich punktach ambicja stworzenia czegoś doskonałego samego w sobie, chęć prawdziwego wysiłku i szczerości, i dążenia do prawdy — chodzi tylko o zdobycie pieniędzy za wszelką cenę. A temu stanowi rzeczy pomaga oczywiście bezecna wprost krytyka literacka, uprawiana przeważnie przez ludzi, którzy już do niczego innego zdolni nie są i dlatego muszą być krytykami, bo inaczej by po prostu wymarli. Następuje przefalszowanie wartości na wielką skalę, jakie dawniej, w czasach przedwojennych, trudno było nawet sobie wyobrazić. Zmiany te zachodzą powoli i nieznacznie — zmieniają się w naszych oczach ludzie, których zwykliśmy cenić za prawdziwość ich w stosunku do nich samych i do innych. „*Umwertung aller Werte*”<sup>112</sup>, ale *in minus*. Rozwydrzenie sportowe jest jedną z sił składowych ogólnego przesunięcia się na stronę ciemności. Tym niemniej sport uprawiany przez niezawodowców umiarkowanie jest rzeczą wspaniałą i przeciwdziałającą fizycznej degeneracji. Kto zaś nie może się oddawać sportom, musi, ale to koniecznie i koniec, robić codziennie gimnastykę Müllera, bez przyrządów. Można do niej co najwyżej dołączyć hantle. Dla codziennej gimnastyki trzeba mieć jednak trochę więcej woli niż dla codziennego porządnego mycia się. Zerwać się o dwadzieścia minut wcześniej niż koniecznie trzeba na to, aby z ciężką, nie dospaną głową robić pozornie bezsensowne ruchy, to jest wysoka marka dla przeciętnego pracownika umysłowego, a nawet zmysłowego. Ale trzeba się na to zdobyć — nie ma po prostu rady, a po miesiącu lub dwóch dostrzeże taki nieszczęśnik, który tego dotąd nie robił, co przez ten czas stracił, a po roku lub dwóch, pomijając już poprawę stanu psychicznego i wzmoczenie sił fizycznych, dostrzeże nawet ze zdumieniem zmiany w budowie swego (może przedtem zanędniałego) ciała. Pod wpływem masażu znika tłuszcz i nawet chropawa skóra staje się gładka, pęcznią mięśnie i całe ciało nabiera niebywałego wigoru i lekkości. Dzień, w którym dla różnych powodów nie można było zrobić gimnastyki, staje się dniem przeklętym. Cały czas odczuwa się brak czegoś nieokreślonego, a nawet lekki wstręt do siebie. Oczywiście nie trzeba przesadzać, zaczynając od niewielkiej ilości ćwiczeń (ćwiczenia rano — masaż na noc), a nade wszystko nie zniechęcać się początkowym bólem wszystkich mięśni, a w szczególności brzucha. Na brzuch, tę najbardziej zaniedbaną część ciała, kładzie Müller największą wagę. Śmiech i kaszel są w pierwszych dniach wykluczone. Ale ból ten przechodzi w trzy do czterech dni zupełnie i zostaje tylko czysta rozkosz. Oczywiście nie w chwili samego gimnastykowania się. Jest to poza goleniem się największy wysiłek z tych codziennych, programowych. Ale opłaca się stokrotnie w ciągu dnia, chociażby jako obowiązkowy akt woli, do czego niektórzy w dalszym przebiegu doby mają niekiedy mało sposobności. Do innych właściwości gim-

<sup>111</sup>„Wyjący pies” to taki typ, którego jest pełno w sferach radiowych (90%), a który słucha muzyki nie muzycznie, tylko uczuciowo, i któremu prawie wszystko jedno jest, czy słyszy Szymanowskiego, czy granie pijanych górali np. na harmonii. [przypis autorski]

<sup>112</sup>*Umwertung aller Werte* (niem.) — przewartościowanie wszystkich wartości; główny postulat filozofii Friedricha Nietzschego.

nastyki Müllera należy dodatni jej wpływ na funkcje kiszek i żołądka. Ćwiczenia należy bezwzględnie robić przed śniadaniem i przed pierwszym papierosem — oczywiście jeśli znajdzie się taki, który po przeczytaniu niniejszej książki będzie śmiało palić.

### III. O goleniu się

Ktoś powiedział: „Dobrze się namydlić i mieć ostrą brzytwę czy nożyk do maszynki — oto wszystko”. Otóż nieprawda: golenie się jest rzeczą stokroć zawilszą. Nie każdy człowiek obowiązany wprost do posiadania całkowitej o nim wiedzy naprawę ją ma w wymaganym dla jego potrzeb stopniu. Obserwacja wielu znajomych i fakt ten, że po dwudziestu pięciu latach golenia się teraz dopiero doszedłem do niektórych podstawowych wiadomości, skłania mnie do poświęcenia temu trudnemu problemowi kilku stron tego appendixu. (Szalenie lubię appendixy, dygresje, wyjaśnienia, dodatkowe wnioski i poprawki — tylko nie w portretach, a szczególnie na żądanie klienta — to jest wprost wykluczone.) A więc oczywiście trzeba mieć dobry pędzel i dobre mydło<sup>113</sup>. Następnie *bardzo gorącą* wodę, w której umoczywszy pędzel należy zwilżyć nim miejsca mające być golonymi; po czym posmarować je mydłem i mydlić jak najdłużej. Oczywiście nie godzinę lub dwie. To są rady banalne dla zupełnych już prymitywów golenia się. Ale tu następuje rzecz, o której nie wie każdy z samogolarzy-amatorów: *trzeba znać topografię swojej twarzy*, to znaczy wiedzieć dokładnie, w którą stronę rosną włosy w danym miejscu, co nie u wszystkich bywa jednakowe. Zbadawszy to, *należy od razu wszystkie miejsca (nawet wąsy) golić pod włos, i to raz tylko*, a nie golić raz w kierunku rośnięcia, potem mydlić znowu i golić za drugim razem dopiero pod włos. Jest to tylko niepotrzebne rozdrażnienie skóry i strata czasu. Następnie nie każdy wie, że żyłkę specjalnie *należy trzymać pod kątem mniej więcej 45° do kierunku ruchu*. Nie każdy również wie, że rączkę żyłki trzeba regulować co do siły jej zakręcenia i że im więcej jest rozkręcona, tym ostrzej goli, i że stan większego rozkręcenia nadaje się bardziej do golenia zarostów starych i twardych. Oto wszystko. Ale to wszystko jest niczym, o ile ktoś nie posiada maszynki do ostrzenia nożów „Allegro” — *to jest wprost cud*. Każdy golący się, a szczególnie golący sobie wąsy, wie, jak piekielnym problemem, którego rozwiązanie korzystne lub niekorzystne rzuca światło lub cień na cały dzień, bez względu już na jego wypełnienie, jest golenie się. Mogę powiedzieć (a nie jestem bynajmniej agentem firmy produkującej te maszynki), że zacząłem dosłownie nowe życie od czasu, jak używam błogosławionego „Allegro”. Tajemnicą jest dla mnie, dlaczego żadna firma nożowa, poczynając od genialnego skądinąd Gillette'a, nie wyrabia kopert dla noży tak zaklejonych i ostemplowanych, żeby uniemożliwić podkładanie starych noży, na jeden raz naostrzonych na nowo i owiniętych w tłusty papier, do starych kopert. Kupuje się pięć żyłek, z których jedna lub dwie są dobre, a reszta po jednym użyciu okazuje się do niczego. Humor całego dnia, powodzenie, twórczość, sprawy państwa zależne są od takiego drania, który żyje sobie cudownie z podrabianych noży. Wściekłość od rana, porznięcie pyska, pieczenie tegoż przez cały dzień itp. nie istnieje z chwilą, kiedy się ma „Allegro”. Kosztuje dużo (około 28 zł teraz), ale oplaca się bezwzględnie. Jeśli nie amortyzuje się dość szybko (*jeden nóż można używać dwa, trzy miesiące!*), to bezwzględnie oplaca się już choćby w nie dających się przeliczyć na pieniądze wymiarach psychicznych. Wszystkie inne maszynki, które wypróbowałem, są wobec niego niczym.

### IV. O hemoroidach

Kiedyś przed laty wpadł do mnie rano mój przyjaciel (podobno był nawet hrabią) Xawery X. i zakrzyknął w te banalne słowa: „Eureka! eureka!” Muszę dodać w dyskrecji, że cierpiał od dawna na hemoroidy<sup>114</sup> (czyli hemeroidy, jak mówią ludzie dystyngowani) i że obecne rewelacje moje nic go już obchodzić nie mogą, ponieważ zginął w wojnie przeciwbolszewickiej w r. 1919. Był kawalerzystą, i to dobrym. Przekłete „guziki” czy „śliwki”, jak mawiał, przeszkadzały mu bardzo, a na operację w czasie wojny zdobyć się nie mógł. „Eureka” — ryczał i tańczył biedaczek z radości. Kiedy się uspokoił, zapytałem go się z polską: „Co zacz?” „Odparł” natychmiast: „Pomyśl, Stasiu: u pięciu doktorów się leczyłem: dawali mi czopki, radzili operację, a żaden z nich nie powiedział mi tego, co sam

<sup>113</sup>Co do tej kwestii muszę powiedzieć rzecz przykrą. Oto krajowe mydła, których używałem i które z początku dorównywały zagranicznym, popsuly się i zmusiły mnie do powrotu do Colgate'a. Zdobyć markę dobrym wyrobem, a następnie obniżyć wartość produktu dla doraźnych dochodów wydaje mi się być bardzo złą zasadą w przemyśle. Moja firma tak nie postępuje. Ostatnio firma Puls osiągnęła niezłe wyniki. [przypis autorski]

<sup>114</sup>hemoroidy — choroba objawiająca się guzami w odbycie.

odkryłem dziś”. (Było to w kwietniu 1918 r.) „Zapychanie — oto tajemnica wszystkiego. To, co dawniej robiłem siodłem przez godzinę, dziś zrobiłem palcem w dwie minuty”. (Oczywiście nie ręcę za dosłowność tej rozmowy — jednak utkwiała mi ona tak w pamięci, że możliwe są chyba tylko drobne dewiacje od rzeczywistego jej tekstu.) „Smaruję się zawsze oliwą przed, potem myję się zimną wodą, ale nigdy mi nie przyszło na myśl zapchać wszystkiego palcem. Otóż dziś, prawie mimo woli, wiedziony jakimś tajemnym przecuciem spróbowałem. I, o cudzie! — wszystko weszło, nic mnie nie boli i nie potrzebuję na razie operacji. Pojutrze jadę na front i nic mnie nie obchodzi. Jeśli zginę, to szczęśliwy”. I znowu zaczął tańczyć śpiewając znaną piosenkę:

*Ja by dawno uż był gieroj  
No u mienia jest giemoroj*<sup>115</sup>.

„Czemuż Roztopczyn nie wiedział o tej metodzie” — dodał po chwili, bo był bardzo wykształcony w historii. Poradziłem system Xawerego kilku moim znajomym i byli wprost zachwyceni. Dziś podobno leczą tę straszną („samaja niepoeticzeskaja bolezn<sup>116</sup>” — jak mówił jakiś literat rosyjski) chorobę zastrzykami. Ale kto nie ma na razie odwagi na operację albo nie może sobie pozwolić na zastrzyki, temu polecam system biednego śp. Xawerego.

V. O tzw. «puszeniu się»

Pierwszy Boy zwrócił uwagę na charakterystyczny dla nas Polaków fakt niczym nie usprawiedliwionego tzw. „puszenia się” pewnych ludzi. Np. Dziedziński, szlachcic co najwyżej średni, ma trochę pieniędzy, może się porządnie ubrać, manier pewnych nauczył się. Nawet jest „skoligacony<sup>117</sup>”, bo ktoś tam ze sfer naprawdę wysokich popełnił kiedyś w przystępie szału mezalians<sup>118</sup> i ożenił się z jakąś Dziedzińską. I nagle pan taki zaczyna „bywać”, jedzie coraz wyżej i wyżej. Bóg z nim, jeśli bywanie robi mu przyjemność — dla mnie bywanie byłoby torturą nie-do-zniesienia. Ale im więcej bywa, tym więcej się puszy. Zaczyna z pogardą patrzeć na szlachciców równych mu, a nawet lepszych od niego, maniery ma coraz lepsze, w głowie za to robi mu się coraz puściej i po pewnym czasie zaczyna wierzyć, że jest prawdziwym arystokratą — jeszcze chwila, a już z pobłażaniem patrzy na pomniejszych hrabiów, już mu nie imponują Lubomirscy czy Sanguszkowie, już marzy o małżeństwie z jakąś Habsburżanką (wszystko przecie jest możliwe) i nagle widzimy, że Dziedziński *jest* faktycznie arystokratą. Wywodzi się od jakiegoś pra-Dziedziera z czasów przed-Mieszkowych, opowiada dzikie rzeczy o przodkach swych i, co najdziwniejsze, wszyscy prawdziwi panowie wierzą mu i traktują, przynajmniej pozornie, jak równego sobie. Może się tam który czasem uśmiechnie pod wąsem lub o ile takowego nie ma, po prostu staropolskim zwyczajem w kułak, ale na ogół Dziedziński ma wrażenie, że jest wielkim panem, a o to właśnie chodzi. Lubię czasami prawdziwych wielkich panów — nie jestem arystokratycznym snobem — chyba może *un tout petit bout de soupçon*<sup>119</sup>, jak każdy zresztą beziopiry dwunóg, ale w prawdziwie wielkich panach jest coś sympatycznego, coś paleontologicznego — tego się nie da w krótkim szkicu adekwatnie wyrazić. Ale bądź co bądź byli oni czymś kiedyś i jako tacy mają bezwzględnie inny odcień niż ci, których przodkowie niczym nigdy nie byli, tylko miazgą, na której wyrastały tamte kwiatki. Nie można odmówić arystokracji pewnych specyficznych właściwości, bo się wpada w przesadę i popełnia się niesprawiedliwość. Tak jak nie można powiedzieć, że byle kundel jest to samo, co bardzo rasowy taks<sup>120</sup> czy san-bernard<sup>121</sup>; tak samo nie można twierdzić, że jakiś książę a Ciumpała to jedno. Chodzi o to tylko — jeśli już jesteśmy w tych nieistotnych sferach i problemach — aby byle kundel nie udawał prawdziwie rasowego bydlęcia. Uwagi te mogą się wydać niektórym nie na czasie.

<sup>115</sup>*Ja by dawno uż był gieroj No u mienia jest giemoroj* (ros.) — ja już dawno byłbym bohaterem, ale mam hemoroidy.

<sup>116</sup>*samaja niepoeticzeskaja bolezn* (ros.) — najbardziej niepoetycka choroba.

<sup>117</sup>*skoligacony* — spokrewniony.

<sup>118</sup>*mezalians* — małżeństwo z osobą biedniejszą lub niższego pochodzenia.

<sup>119</sup>*un tout petit bout de soupçon* (fr.) — najmniejsza część szczypty.

<sup>120</sup>*taks* — jamnik.

<sup>121</sup>*san-bernard* — bernardyn.

Nieprawda. Właśnie teraz, gdy mamy republikę i gdy zniesiono oficjalnie przywileje i tytuły, ogarnął wielu ludzi, nawet tych, którzy przedtem nigdy się podobnymi głupstwami nie zajmowali, jakiś niepokój co do ich pochodzenia. Są ludzie, którzy doskonale żyją z samego potwierdzania tytułów, wyrabiania szlacheckich dyplomów i dociągania genealogii do najdalszych krańców możliwości, aż do pęknięcia. Dlatego właśnie pożądanym byłoby teraz zhierarchizowanie wszystkich rodów i uniemożliwienie dalszego puszenia się Dziedzierskich i innych, co jest czasami dla niektórych bardzo nieprzyjemne. Mnie osobiście to nie dotyczy — ja nie „bywam”, ale dla niektórych problem ten jest stosunkowo dość jadowity. Dlaczego za granicą nie ma tego podobno zupełnie. Tam tyle się ktoś puszy, na ile ma prawo i koniec. Wypuszy się, ten drugi, o ile chce, odda mu należną jego stanowisku w tym wymiarze cześć i potem mogą już swobodnie mówić, o czym chcą. A tu u nas puszyć się trzeba ciągle, ciągle podtrzymywać swój autorytet przy pomocy specjalnych uśmiechów, niedomówień, drgnięć twarzy itp. Ile energii na to idzie — strach pomyśleć. Saint-Simon stracił pół życia podobno na udowodnianie, że jest o jeden stopień wyższej marki diukiem od ks. de Luxembourg, i miał ze swego punktu widzenia rację, że o to walczył. Czy mu się udało, nie wiem. Ale w każdym razie tam było to na miejscu, były jakieś kryteria, według których można było udowodnić wyższość lub niższość w tych wymiarach. U nas panuje pod tym względem chaos. Niech się zbierze jakaś Wielka Heraldyczna Rada, niech popracują, zhierarchizują według pochodzenia i koligacji, niech wydadzą odpowiednie wspaniałe almanachy (zarobią na tym idiotyzmie kolosalne sumy) i niech ukróć puszenie się. Ktoś wchodzi i mówi: „Seria A, oddział drugi, nr trzeci” — wszyscy wstają, kłaniają się i już jest z tym skończone. Ale nie te ciągle wysiłki wywyższenia się, te ciągle szprynce i szpryngielki, aby udowodnić innym i samemu uwierzyć, że się jest nie tym, kim się jest, tylko czymś o wiele lepszym — i to w takim wymiarze! Wstyd!

VI. Trochę recept i już koniec

Na zakończenie chcę podać do wiadomości parę recept, które mnie i moim znajomym oddały nieocenione usługi.

Otóż kiedy miałem ból artretyczny w ramieniu, śp. dr Janowski z Warszawy przepisał mi następującą maść, która okazała się znakomitym środkiem na tego rodzaju cierpienia. Wcierać trzeba trzy minuty kawałek wielkości bobu (koniecznie) aż do suchości.

*Acidum salicyl.* 10,0  
*Oleum. Terebinth.* 10,0  
*Vaselini* 50,0

Albo:

*Ung. porci* 40,0  
*Acid. salicyl.* 12,0  
*Ol. Terebinth.* 8,0  
*Extr. Belladon.* 0,6

w wypadkach ciężkich bólów.

„Aliści” okazały się jeszcze inne właściwości tej maści. Może się wydać to przesadzonym, co powiem, szczególnie na tle krążących o mnie plotek, ale faktem jest, że mam bardzo delikatną skórę. Od najmniejszego podrażnienia mogę (ale nie muszę) dostać wyrzutów<sup>122</sup>. (Słońce, wiatr, zmiana wody, np. z zakopiańskiej na warszawską lub z cejlońskiej na australijską itp.) Pomyślałem sobie, że salicyl może dobrze na tego rodzaju rzeczy robić. Jako też okazało się, że tak. Maść owa usuwa wszelkie brutalniejsze wyrzuty, zgrubienia skóry, skórki koło paznokci i nagniotki (przynajmniej u innych — ja nie znam tej klęski). A nawet dobrze robi na drobne rany, o ile się nią jeszcze takowe na dodatek po zajodnowaniu posmaruje.

Drugim wynalazkiem zrobionym przez pewną moją ciotkę jest działanie na wszelkie wyrzuty (pomijam trąd, syfilis, raka, sarkomę itp.) maści śp. prof. Wicherkiewicza na

<sup>122</sup>wyrzuty — tu: powierzchniowe zmiany skórne.

oczy. Dobra była na oczy, ale co najmniej równie dobra jest na twarz i w ogóle wszelkie miejsca pokryte nie bardzo jadowitymi wyrzutami, np. szczególnie dobra jest na uporczywe strupiate wyrzuty pokataralne i poopaleniewe około ust i nosa, tzw. herpes. Wcierać lekko na noc. Przepis brzmi:

*Thigenoli „Roche”* 0,50  
*Xeroformi „oryg”* 0, 60  
*Hydr. pr. flav.* 0,15  
*Lanol. Vasel. a* 7,50

Trzecim przepisem, który muszę podać, jest płukanie pewnego mojego znajomego dentysty. Płukanie to (dziesięć kropli na szklanekę wody) może być używane codziennie (trzy, cztery razy na dzień) do zębów, w razie kataru do nosa, a w razie lekkich podrażnień gardła do tego ostatniego. Przepis brzmi:

*Tinct. Rathan.* 10,0  
*Tinct. Myrbae* 5,0  
*Mentholi* 1,0  
*Thymoli* 0,5  
*Spir. vini rect.* 50,0

Na silny katar należy wpuszczać do nosa pipetą krople następujące:

*Glycerini* 10,0  
*Protargoli* 0,1

Nie myślcie, kochani czytelnicy, że to, co w „dzielku” tym napisałem, jest wszystkim, czym chciałbym się z wami podzielić. Jest to zaledwie cząstka, ale dotyczy rzeczy, o których najmniej otwarcie się mówi i pisze. Byle dureń może właśnie na ten temat napisać w jakiejś krytyce literackiej w poważnym organie, że właśnie książka ta jest dowodem, że nigdy nie paliłem, a jestem za to pijakiem i kokainistą, że nigdy nie zażywałem peyotlu, a za to, że się nigdy nie myję i nie gimnastykuję, że się nie golę i mam brodę do pępka, że mam hemoroidy i nigdy nie miałem pryszczów na twarzy i że recept takich nikt nie napisał. Takie czasy, tacy ludzie. Trudno — muszę wśród nich niestety żyć i robić dalej to, co mi nakazuje głos sumienia.

Więc tymczasem żegnam was — może na długo, a może na zawsze. Kto wie? Nie palcie, nie pijcie, nie zażywajcie kokainy — spróbujcie w razie czego peyotlu. Myjcie się porządnie i gimnastykujcie, golcie się moją metodą, nie puszcacie się, bo szkoda czasu, i kupcie sobie zaraz po przeczytaniu tej książki „Allegro” i wymienione specyfiki. Wszystkich zaś wzywam, aby dążyli do zorganizowania ligi mającej na celu prohibicję tytoniowo-alkoholową.

*I have spoken*<sup>123</sup> — reszta należy do was.

---

<sup>123</sup>*I have spoken* (ang.) — przemówiłem.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/witkacy-narkotyki>

Tekst opracowany na podstawie: Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Narkotyki; Niemyte dusze*, oprac. Anna Micińska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1993.

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Jarosława Lipszyca.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Publikację ufundowali i ufundowały: MarcoDiscoPolo, Jacek Diehl, Grażyna Buczkowska, Lukasz Duda, macierzanka, Zbigniew Gałęza, Piotr Świątek, Izabela Ostaszewska, Dorota Kurnal-Opata, Krzysztof Haberski, Tomasz Jurkowski, ar, Anna, Michał Świątek, Michał Świątek, Zbigniew, wkurzsosu.pl, chomik, Julka Pany.

Okładka na podstawie: [PaintedWorksByKB.com@Flickr](mailto:PaintedWorksByKB.com@Flickr), CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie [wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).